

Lawendowa magia

Andre Norton



calibre 0.9.27

Andre Norton

Lawendowa magia

Lawendowa magia

Tłumaczył Włodzimierz Nowaczyk

Tytuł oryginału Lavender - Green Magie

Dla pani Leny May Lanier, która dzięki swym opowiesciom

wprowadziła mnie w świat Wade'ów.

I

Dimsdale

Deszcz z wściekłością walił w okna autokaru, uniemożliwiając dostrzeżenie czegokolwiek na zewnątrz. Ostre poddmuchy wiatru raz po raz wstrzaszały potężnym pojazdem. Wewnątrz szyby zupełnie zaparowały. Powietrze było stęchłe. Holly doskonale wyczuwała słodką won banana jedzonego przez chłopca na przednim siedzeniu i nieprzyjemny zapach przemoczonej odzieży ludzi, którzy wsiedli na ostatnim przystanku. Duchota i ludzki smrodek.

Holly cierpiała. Było jej niedobrze, ale nie zamierzała się poddawać. Tylko maluchy chorują w autobusach. Zaciśnięta usta i nieustannie przelykała ślinę. Uciskając dłońmi żołądek, miała żal do całego świata.

Nie bez powodu zresztą. Wszystko naprawdę było okropne. Nie tylko ta wichura, ale i sam autobus, powody, dla których w nim siedzieli, cały świat, który niespodzianie rozpadł się tak, że już nigdy nie będzie bezpieczny i szczęśliwy jak kiedyś. Znowu przelknęła ślinę. Nie, na pewno nie zwymiotuje. Nie będzie też beczec jak Judy, która od tej strasznej chwili, od czasu do czasu dawała upust łzom.

Crock, Crockett Wade, jej brat siedzący obok, optymistycznie starał się wyrzucić na drogę, przecierając szyby niecierpliwymi ruchami dłoni. Zniechęcony bezskutecznymi wysiłkami opadł na oparcie fotela i uważnie przyjrzał się siostrze.

-Co z tobą? - spytał.

Dala mu kuksanec, uderzając przy tym łokciem o poręcz dzielącą siedzenia.

-Nic! - Ostrzegawczym gestem wskazała fotele z tyłu zajęte przez mamę i Judy. - Zupełnie nic.

Nie odrywał oczu od jej twarzy, aż wreszcie zrozumiał, o co jej chodzi.

-Jasne - mruknął. - Chyba już dojeżdżamy do Sussex.

Holly nie była pewna, czy ta uwaga miała dodać otuchy jej, czy też jemu samemu. Mniejsza o to. Najważniejsze, to pokonać mdłości. Holly Wade nie była przecież maluchem.

Za sobą usłyszała głos mamy, ale bała się odwrócić, żeby mama nie dostrzegła jej wysiłków. Miała dość własnych problemów, aby martwić się jeszcze o córkę, która była już w szóstej klasie i powinna umieć troszczyć się o siebie.

-Holly, Crock, wysiadamy na następnym postoju. Mam nadzieję, że deszcz się trochę uspokoi.

Nagle Holly zapragnęła, aby to nie był już następny przystanek, chciała, aby ta podróż się nie kończyła, bo kiedy już wysiada, zostanie tam na zawsze. Nie będa już w domu, lecz w miejscu, z którego nigdy się nie wydostana.

Wszystko zaczęło się od telegramu.

Holly zaciśnięła powieki. Nie wolno jej płakać i nie wolno wymiotować. Nie mogła jednak zapomnieć o telegramie. Kiedy go przyniesiono, mama natychmiast usiadła na kanapie i przez chwilę trzymała go w dłoni, jakby bała się otworzyć kopertę. Kiedy już to zrobiła... nie, Holly nie chciała pamiętać wyrazu jej twarzy w tym momencie.

"Sierżant sztabowy Joel Wade zaginal podczas akcji" - to wszystko. Mama zapadła się w fotel jakby wypełniło ją nieszczęście", jak mawiała ciocia Ada. Potem dzwoniła do Czerwonego Krzyża, do ludzi, którzy mogliby coś wiedzieć. Tyle,

ze nikt nie mogl jej nic powiedziec.

W koncu mama stwierdzila, ze trzeba cos postanowic. Musi znow byc pielegniarka. Dostala prace w Domu Spokojnej Starosci Pine Mount. To nie bylo w Bostonie, w ktorym mieszkali od wyjazdu taty do Wietnamu, ale gdzies na wsi, na polnocy stanu.

Tylko Judy odwazyla sie zadac pytanie, ktore dreczylo ich wszystkich: - Czy my rowniez tam zamieszkamy?

Podczas calej rozmowy mama usmiechala sie do nich, jakby starala sie, zeby uwierzyli, ze to dobra praca i nalezy sie cieszyć. Usmiech nie zgasl na jej twarzy nawet wowczas, gdy pokiwala przeczaco glowa i wyjawila im reszte swego straszego planu.

-Nie. To miejsce dla starszych ludzi, Zajaczku. (Tato nazwal Judy Zajaczkiem, poniewaz przyszla na swiat na Wielkanoc kiedy, jak mowil, zajac zapomniał koszyczka z jajkami i zamiast niego przyniosl im ja).

-No to co bedzie z nami? - spytal Crockett. Holly stala jak posag, czujac w srodku przerazliwy chlod.

-Zamieszkacie z dziadkiem i babcia Wade w Sussex. To dosc blisko Pine Mount, wiec bede do was przyjezdzac w wolne dni.

-Nie! - Holly nie byla w stanie sie powstrzymac. - Nie!

Kiedy mama spojrzala na nia, usmiech zgasl na jej twarzy. Wygladala spokojnie, jak zawsze kiedy ktos z nich sprawilo jej zawod. Mimo to Holly, trzesac sie z zimna, ktore nia zawladnelo, nie potrafila sie opanowac. Mama musi byc z nimi! Jesli ich opusci, moze takze zostac uznana za "zaginiona".

-Zrozum, Holly - powiedziala mama. - To najlepsze wyjscie dla nas wszystkich. Bede miala dobra prace. Pine Mount ma klopoty ze znalezieniem pielegniarek. To zbyt spokojne miejsce dla dziewczat, ktore po pracy potrzebuja rozrywki. Dlatego pensja jest tam wyzsza, niz moglabym sie spodziewac tu, w miescie. Wiem tez, ze u babci i dziadka bedzie wam dobrze. Juz sie ciesza, ze do nich przyjedziecie.

Holly miala ochote znow zaprotestowac, ale zabraklo jej odwagi. Stlumila kolejne "Nie!" cisnace sie na wargi, tak jak teraz przelykala sline. Potem wszystko potoczylo sie blyskawicznie: wynajecie domu Elandom (Wade'owie nawet nie zabrali swoich mebli, a jedynie odziez i takie rzeczy jak kolekcja znaczkow Crocka, karton scinkow Judy i najukochansze ksiazki Holly) i podroz w nieznanne. Teraz niemal juz dojezdzali do jej straszego kresu, a towarzyszył im placz deszczu, zawodzenie wiatru i wlasny lek.

Holly nawet nie pamietala jak wygladaja babcia i dziadek. Zanim tatus nie wyjechal do Wietnamu, mieszkali w poblizu baz wojskowych, a te znajdowaly sie zbyt daleko od Sussex, aby mozna bylo sie odwiedzac. Tato mowil, ze dziadek z babcia nie nawykli do podrozowania. Zeszlego lata chcial zabrac cala rodzine do Sussex, ale wyslano go za ocean i nic z tego nie wyszlo. Holly pamietala tylko niewyraźna fotografie pokazywana przez ojca - zdjecie dwojga zupełnie obcych ludzi.

Nigdy nie dostali listu od dziadka, ale babcia pisywala do nich regularnie raz w tygodniu. Duze litery na kartce papieru z liniami jak na szkolnej tabliczce. Niewiele w nich bylo interesujacych wiadomosci. Glownie opisy pracy nad szyciem nowej koldry, robieniem zapasow na zime i tak dalej.

Na gwiazdke zawsze dostawali paczke wypelniona rownie dziwacznymi rzeczami. Zestaw naczyn dla lalek w calosci wyrzezbionych w drewnie dla Judy, maciupenki koszyczek ze skorupy orzecha. Dla Crocka zolnierzyki i drewniany piesek. Holly dostala torbe na ramie zszyta z jaskrawych skrawkow materialu. Najpierw pomyslala, ze to dosc glupie i starala sie ja gdzies schowac, jednak mama wymogla, zeby zabrala torbe do szkoły. Wowczas wszystkie dziewczeta w klasie koniecznie chcialy sie dowiedziec, gdzie ja kupila i w koncu wyszlo na to, ze to swietny prezent. Mama dostala mnostwo malenkich buteleczek wypelnionych zasuszonych liscmi i platkami kwiatow. Niektorych uzywala do gotowania, inne wkladala do szafy, zeby bielizna pieknie pachniala.

Wszystko to bylo zupełnie niepodobne do wszystkiego, co Holly ogladala w bostonskich sklepach. Byla pewna, ze Sussex to zupełnie inny swiat, miejsce, w ktorym zdecydowanie nie chciala zamieszkac.

Autokar zwolnil. Holly z calego serca pragnela, aby to jeszcze nie byl ich przystanek. Jednak pragnienia rzadko sie spelniają, zwlaszcza kiedy caly swiat rozpadl sie na kawalki. Zalozyla plaszcz przeciwdeszczowy, zapiela wszystkie guziki i naciagnela na glowe plastikowy kapelusz, ciasno wiazac tasiemki pod broda.

Kiedy schodzili po stopniach autobusu potezny podmuch zaparł im dech w piersiach. Ruszyli biegiem w kierunku drzwi sklepu, przed ktorym byl przystanek. Na szczescie nie musieli martwic sie o bagaz (mama wyslala go wczesniej), a mimo

to Holly czuła się, jakby ktoś wylał jej za kolarz szklanke wody, druga chlusnął prosto w twarz, a wszystko spłynęło do kaloszy.

-Wchodźcie, wchodźcie. - Jakaś kobieta otworzyła drzwi na ich widok i wpuściła ich do środka. Stanela z boku, potraszając głową tak mocno, że grzywa siwych włosów zasłoniła jej twarz i otoczyła głowę niczym dmuchawiec.

Była dużo niższa od mamy, na ramiona narzuciła rozpięty sweter, pod którym miała wielki biały fartuch. Jak tylko wszyscy znaleźli się w sklepie zatrzasnęła drzwi i nadal energicznie kreciła głową, spoglądając przez szyby za oddalającym się autokarem.

-W taką pogodę i kaczka utonie - oznajmiła odwracając się. Spojrzała na nich tak, jakby to właśnie oni byli kaczkami. - Aleście przemokli. I to przez tych parę kroków. Niech pani tego nie robi - zwróciła się do mamy, która zatrzymała się tuż przy progu i gestykulując usiłowała przyciągnąć dzieci jak najbliżej siebie. - Nie szkodzi, że trochę nakapie. W taki dzień przez drzwi wlewa się całe fale. Tych parę kropli, które wniesiecie, nie robi żadnej różnicy.

Sięgnęła ręką za filar, na którym wisiał pek długich miotł i kalendarz, i wyciągnęła moperę. Zdecydowanymi ruchami zaczęła przecierać podłogę przed wejściem, przez które rzeczywiście saczała się stróżka wody.

-No dobrze, co mogę dla was zrobić? Ktoś ma po was przyjechać? A może chcecie, żeby Jim Bachus gdzieś was podrzucił taksówką? Nie liczyłabym na to osobiście. Ciągle go ktoś wzywa. Patrzcie na to. - Wskazała na ścianę z telefonem. Obok aparatu wisiała kartka papieru niemal w całości pokryta pośpiesznie nagryzionymi słowami i numerami. - Wszyscy, dokładnie wszyscy z tej listy dzwoniли po Jima, a ten nie odzywa się już od ponad godziny. Nie zanoszą się na to, żeby był wkrótce wolny.

Holly rozglądała się po sklepie. Zagracone pomieszczenie w niczym nie przypominało supermarketu, do którego w Bostonie mama często wysyłała ją po zakupy. Trudno byłoby jednoznacznie stwierdzić, czy to sklep spożywczy, sądząc po wystawionych puszkach i kartonach, przeszklonych ladach z mięsem i serami oraz wielkiej pacie z ziemniakami, czy też coś innego. Pod jedną ze ścian stał wieszak ze zwisającymi smetnie sukienkami, jakby zawstydzonymi, że je tam umieszczono, stół zarzucony flanelowymi koszulami, rzad topornych gumiaków zupełnie innych niż te, które dostała na urodziny. Były tak ogromne i wysokie, że jeśli nie ona, to Judy na pewno mogłaby w nich schować całe nogi. Na polkach leżały beły materiał, a w przeszklonej szafce umieszczono guziczki, koraliki i zamki błyskawiczne jak w sklepie z pasmanterią.

Powietrze przesycone było mieszaniną najrozmaitszych zapachów, wśród których rozpoznawała jedynie kawę i sery. W głębi stała znajoma skrzynia z charakterystycznym znakiem nad prostokątnym okienkiem: Urząd Pocztowy Stanów Zjednoczonych.

W porównaniu z temperaturą na zewnątrz, sklep wydawał się ciepły, lecz nie był tak przegrzany i duszny jak autobus.

Kobieta ostatni raz machnęła moperem, odłożyła go na miejsce i jeszcze raz spytała:

-Chce pani złapać Jima?

-Mój teść ma po nas przyjechać. Pan Wade, Luther Wade. - Mama uśmiechała się uprzejmie, jak zawsze do obcych, ale Holly wyczuła, że coś jest niezupełnie tak, jak powinno. Mama miała na sobie Isniacy czerwony płaszcz przeciwdeszczowy kupiony przez tatusia (żeby była wesola w szare dni) i czerwone kalosze, takie same jak Holly. Właśnie zdjęła kaptur, więc jej kruczoczarne włosy znowy Isniły pełnym blaskiem. Była naprawdę ładna z gładką brązową skórą i włosami upiętymi na czubku głowy. Kosmetyczka nazywała te fryzury "zmodyfikowanym afro". Holly westchnęła. Chyba jeszcze długo nie będzie mogła nosić włosów w ten sposób.

Nie, mama zdecydowanie wyglądała w porządku. Crock też się niezłe prezentował w swych wyjściowych spodniach i płaszczu. A Judy? W porządku. Z dołeczkami w policzkach, starannie zaplecionymi warkoczami, w brązowej pelerynie i kaloszach. Holly ubrana była w złoty płaszcz i również była starannie uczesana. Wszyscy pasowali do tego, co tatus określał jako "odpowiedni, zadbane wygląd".

-Ach tak - powiedziała kobieta. - Więc to wy jesteście krewniakami starego Lutka. Wszyscy tu zamartwiamy się, od kiedy usłyszeliśmy, że jego syn zaginał taki szmat drogi stąd. Ale, ale - przecież się wam jeszcze nie przedstawiłam. Jestem Martha Pigot, wdowa. Jethro, mój świętej pamięci mąż przejął to imperium - tak właśnie nazywał ten sklep przez ponad pięćdziesiąt lat - po swoim ojcu. Kiedy się zmarło biedakowi, nie pozostało mi nic innego, jak tylko pchać dalej ten wózek. Człowiek musi się przecież czymś zająć.

-Ja nazywam się Pearl Wade. - Uśmiech mamy stał się bardziej zwyczajny, ciepły i przyjazny. - To Holly, nasza najstarsza.

Holly zdolala sie usmiechnac, wiedzac doskonale, ze w takich chwilach mama oczekuje od nich dobrych manier. Zebrala wszystkie sily i dosc uprzejmie wykrztusila z siebie: "Dzien dobry".

-Crockett - mama wskazala Crocka skinieniem glowy, a on zareagowal podobnie jak Holly - i Judy, bliznieta.

Zawsze to powtarzala nowo poznanym, chyba dlatego, ze wcale nie byli do siebie podobni. Crock byl wysoki, chyba juz o cal wyzszy od Holly, co stale jej wypominal bo byla o rok starsza. Z kolei Judy byla malutka, pulchna i nie wygladala na swoj wiek. Jednak doskonale wiedziala jak sie zachowac i choc z natury niesmiala przywitala sie uprzejmie.

-A to mi dopiero wspaniala rodzinka. - Pani Pigot promieniala usmiechem. - Jethro i ja nie dorobilismy sie dzieci, ale jakos nam ich nie brakowalo. Dzieciaki z sasiedztwa upatrzily sobie nasz sklep, wiec czasami wiecej z nimi przebywam niz ich rodzice. Chodźcie tu blizej, do grzejnika. Na pewno przemarzliscie do szpiku kosci w taka pogode. Wlasnie zagotowala sie kawa, a mam tez spory polmisek piernika pani Symmes. Przyniosla mi go rano, zanim jeszcze zaczelo tak lac. Jest dumna ze swoich piernikow. Zawsze piecze wielka blache na koscielne wieczorki i kiermasze dobroczynne w remizie.

Tak wiec juz po chwili Wade'owie znalezli sie w pokoiku na zapleczu sklepu. Mama na krzesle, dzieci na szerokiej lawie, z solidnymi kawalkami wilgotnego, pachnacego piernika w jednej rece i dymiacy kubkiem w drugiej. Mama dostala kawe, a dla dzieci znalazlo sie mleko.

Crockett szturchnal Holly w bok. - Nie jest zle - wymamrotal z ustami pelnymi ciasta.

Jednak Holly nie mogla pozbyc sie niepokoju. Rzeczywiscie, pani Pigot wydawala sie mila i ladnie ich przywitala, ale co z reszta miasta? W Bostonie bylo wielu takich jak oni, dlatego kolor ich skory nie byl niczym szczegolnym. Tu moze byc zupełnie inaczej. Nawet pani Pigot nazwala dziadka "starym Lutkiem", a nie "panem Wade". Holly nie byla tym zachwycona. Mama z poczatku tez zachowywala sie nieco dziwnie, jakby spodziewala sie, ze pani Pigot moze nie byc zbyt mila. Holly chciala, zeby dziadek sie pospieszyl, przyjechal jak najszybciej i zabral ich wreszcie do... nie, nie potrafila nawet w takiej chwili pomyslec o tym miejscu jak o domu. Piernik nagle stracil smak i z trudem przechodzil przez gardlo.

-Stad jest szmat drogi do dawnej siedziby Dimesdale'ow. - Pani Pigot nie usiadla z nimi do stolu. Stala oparta o framuge i nie przestawala mowic. - W taki deszcz Lutek musi jechac bardzo ostrocznie. Nie zdziwilabym sie, gdyby ta stara ciezarowka zaczela mu platac figle. Dluugo zamierzacie zostac na wysypisku?

Wysypisku? Holly przestala jesc i wpatrywala sie w pania Pigot szeroko otwartymi oczami, "Stary Lutek", a teraz "wysypisko"!

-Dostalam prace w Pine Mount - wyjasniala mama pogodnie. - Dzieci zostana u dziadkow.

Pani Pigot pokiwala glowa ze zrozumieniem. - Wiele dzieciakow z miasteczka bedzie im zazdroscic. Nie znam ani jednego chlopaka, ktory nie lubilby tam poszperac, kiedy tylko nadarzy sie okazja. Dla nich to prawdziwe skarby, przynajmniej tak im sie wydaje. Sama tak uwazalam w ich wieku. Oczywiscie wtedy interes dopiero sie rozkrecal. Lutek i Mercy byli mlodym malzenstwem. Stara panna Elvery Dimsdale umarla, kiedy zaczynali drugi rok pracy u niej. Potem pojawily sie klopoty, problemy prawne ze spadkiem, choc Bogiem a prawda niewiele po niej zostalo.

Duzy dom splonal tuż przed smiercia panny Elvery. Cos jej sie w glowie pomieszalo i chodzila po nim przez cale noce. Nigdy nie zalozyla elektrycznosc, wiec swiecila sobie lampa lub swieca. Kiedys wreszcie potknela sie i upadla. Lutek cudem ja uratowal. Nafta z lampy rozlala sie po podlodze i caly dom, a mial ponad dwiescie lat, splonal jak zapalka. Ludzie znow zaczęli gadac o klatwie Dimsdale'ow, kiedy panna Elvery tak sie poparzyła, ze zmarla w cztery miesiace pozniej, a z domu zostaly tylko zgliszczka. Byla ostatnia z Dimsdale'ow, przynajmniej tak to ustalili prawnicy, nie liczac jakiejś dalekiej kuzynki bodajze z Kalifornii.

Nie mogli sprzedac posiadlosci, bo cos bylo nie tak w papierach, a miasto nie znalazlo innego sposobu wykorzystania terenu, wiec zrobiono tam wysypisko. I tak to sie zaczelo.

-Co to za klatwa? - zdolal wtracic Crockett, kiedy pani Pigot przerwala na moment, zeby zaczerpnac oddech.

-To klatwa, jaka czarownica rzucila na caly rod Dimsdale'ow bedzie ze dwiescie lat temu, synku. To taka stara historia, ze nikt juz nie wie, co jest prawda, a co zmysleniem. No, moze panna Sarah z biblioteki. Dzieje miasteczka to jej hobby i byc moze dokopala sie do czegos na ten temat. Dawno temu bywaly tu czarownice. Nie wieszano ich tak jak w Salem. Dimsdale'owie musieli jedna czymś tak rozzloscic, ze oblozyla ich klatwa. Cos w tym musi byc, bo trzeba przyznac, ze pech przesladowal te rodzine. Nieraz tak bywa. Zreszta nie ma ich juz wsrod nas. A Lutek to dobry czlowiek, tak jak i Mercy. Nie przeszkadzalo im cos, co sie stalo zanim przyszli na swiat.

-Czarownica? Z domku z piernika? - Judy spojrzala na ostatni kes ciasta w dloni, jakby pochodzil wlasnie z tej strasznej

budowli tak dobrze znanej wszystkim dzieciom.

-To tylko taka historyjka - powiedziała szybko Holly, żeby wszyscy od razu wiedzieli, co sady o czarownicach i magii. - Kiedyś ludzie wierzyli w takie rzeczy, ale teraz już nie.

Pani Pigot pokiwała głową. - Tak jest, to zwykle ludzkie bajdurzenie. Nie lubili samotnych staruszek, które nie miały do kogo ust otworzyć, nie licząc kota. Nazywali je czarownicami i miały z tego masę kłopotów. Ale nie bój się, kochanie, nie ma czarownic w Dimsdale, a tylko pełno ciekawych rzeczy, które na pewno ci się spodobaą.

W tej chwili drzwi sklepu otworzyły się z hałasem, a deszcz i wichura niemal wepchnęły do środka niewysokiego mężczyznę w mokrym deszczowcu i kaloszach takich, jakie stały na polce. Głowę chronił mu wielki rybacki kapelusz mocno zawiązany pod brodą, bo inaczej spadłby przy pierwszym podmuchu. Mężczyzna zmagal się z ciasnym węzłem, aż wreszcie odsłonił twarz.

-Tato Wade! - mama natychmiast wstała i ruszyła mu na powitanie.

Tatus był mężczyzną słusznego wzrostu, lecz dziadek wydawał się niższy od mamy. Uśmiechal się szeroko, pokazując szczyby po zębach. Przywitał mamę głębokim basem: - Pearl, jesteś piękniejsza od swego imienia. Mercy ma twoje zdjęcie na ścianie, ale w rzeczywistości jesteś ze dwa razy ładniejsza.

Wydawał się zaskoczony, kiedy mama pocałowała go w oba policzki. Potem złapał ją za ramiona i przycisnął do siebie w ostrożnym uścisku, jakby się bał zrobić jej krzywdę.

-A to dzieciaki! - Odwrócił głowę, żeby się im przyjrzeć, ale mamy nie puścił. - Chyba mnie oczy nie mylą?

-Dziadek! - Judy zdecydowała się natychmiast. Podbiegła do niego tak, jakby biegła przywitać się z tatusiem - z otwartymi ramionami. Dziadek uwolnił mamę i objął Judy. Z Crockettem wymienili uścisk dłoni - dziadek doskonale wiedział, że przytulaniu są dla dziewczynek i kobiet, mężczyźni witają się inaczej. Holly zbliżyła się do niego ostatnia.

Malenki staruszek w pocerowanym swetrze i kombinezonie pod wyswiechtanym płaszczem - nie potrafiła przywitać go tak serdecznie jak Judy. Jak mama pocałowała go w policzek i nie opierała się, kiedy przygarnął ją do siebie, mimo że aż zmarszczyła nos, czując jego dziwny zapach. Miała wrażenie, że nigdy jeszcze nie była równie daleko od tego, co zawsze kojarzyło się jej z ciepłem i bezpieczeństwem.

Przed sklepem czekała na nich niewielka ciężarówka. Mama i Judy zmieścili się z dziadkiem w kabinie, ale Holly i Crck musieli wejść na platformę, chowając się pod wyplamioną brezentową plachtą. Kiedy ruszyli, ze smutkiem wpatrywała się w oświetlone okna imperium pani Pigot, które teraz wydawało się ostatnim przyczółkiem cywilizacji.

-Jak myślisz, gdzie będziemy mieszkać? - spytała Crocketta. - Pani Pigot powiedziała, że dom się spalił.

-Na pewno jest jeszcze jakiś - odpowiedział bez większego zainteresowania. - Może dziadek zbudował nowy dom. Przecież mieszkają tam już kope lat. Tatus się tam urodził.

-Na wysypisku! - Holly dała upust swej złości. - Będziemy mieszkać na starym, brudnym wysypisku śmieci, Crock. Nie mogę w to uwierzyć! Mama na pewno nie zdawała sobie z tego sprawy, inaczej nie pozwoliłaby nam zostać w takim miejscu!

-Poczekamy, zobaczymy. - Najwyraźniej Crockett niewiele się tym przejmował. Chłopcy nigdy nie zaprzatają sobie głowy takimi sprawami.

-Będziemy musieli tu chodzić do szkoły. - Przypomniała mu. - Chcesz, żeby wszyscy wiedzieli, że mieszkasz na smietniku?

-Pani Pigot mówiła, że dzieciaki z miasta lubią przychodzić do Dimsdale. To musi być fajne miejsce.

-Może i fajne - powiedziała bez przekonania Holly - o ile nie trzeba tam mieszkać. Mama musi nas stąd zabrać. Musi! - podniosła głos, ale umilkła, kiedy Crock scisnął jej rękę tak mocno, aż zabolalo.

Patrzył na nią ze złością - Holly Wade, daj mamie spokój! Ani się waz teraz narzekać! Zrozumiałas!

Wszystkie zgryzoty, jakie były jej udziałem od chwili nadejścia telegramu, skumulowały się nagle w jej duszy. Wyrwała się bratu. - Nie będziesz mi mówić, co mam robić!

-A własnie, ze bede! Zwlaszcza kiedy chodzi o mame. Ona juz dosc przezyła. Mylisz, ze jestes taka madra, bo masz dobre stopnie w szkole i jestes starsza niz ja i Judy, ale tak naprawde jestes wyjatkowo glupia. Nie dociera do ciebie, ze mamie trzeba teraz pomagac. Jestes podla i w ogole sie z nia nie liczysz! Tatus wstydzilby sie za ciebie!

Holly miała ochotę wrzeszczec, dopasc Crocka i z calych sil stluc te jego wredna gebe, ale to swiadczyloby o dziecinnym braku opanowania, tak jak wymiotowanie w autokarze. Nie, nie da mu poznac jak bardzo jej dokuczyl. Nigdy, przenigdy! W glebi duszy i tak doskonale wiedziala, ze mama ich stad nie zabierze, bez wzgledu na to jak mocno by ja blagala. Trudno, bedzie musiala stac sie nowa Holly Wade, taka, ktora mieszka na smietniku, jezdzi stara ciezarowka, kryjac sie przed deszczem pod brezentowa plachta, zyje w miejscu, gdzie jakas wiedzma rzucila klatwe na cala rodzinę...

Rzucila klatwe... Ciekawe, jakie to uczucie: byc czarownica z bajek i moc spelniac swoje zyczenia? Holly nie miała najmniejszych watpliwosci, jakie byloby jej pierwsze zyczenie: telegram miał w ogole nie przyjsc, mieli nadal mieszkac w Bostonie, wszystko mialo byc po staremu. Gdyby zostala czarownica zaczelaby od tego.

Dodawala coraz to nowe szczegoly do swoich marzen, kiedy ciezarowka zjechala na boczna droge. Otoczyly ich drzewa i krzewy, poglebiajac mrok i sprawiajac, ze dzien wydawal sie jeszcze bardziej ponury.

II

Skarbczyk

W Dimsdale stal jednak dom, choc byla to dosc niezwykla budowla. Wlasciwie Wade'owie nie bardzo mieli okazje go obejrzec, poniewaz szybko przebiegli z ciezarowki wprost do obszernego wnetrza. Dopiero tam Holly mogla zsunac kaptur i rozejrzec sie dookola. Znajdowala sie w wielkiej sali, ktorej narozniki niktelnely w mroku, albowiem jedynym oswietleniem byla lampa stojaca na centralnie usytuowanym stole. Z jednej strony stromo wznosily sie schody, a czesc pomieszczenia byla poprzdzielana przepierzeniami siegajacymi Holly do brody. Wygladalo to jak rzad szaf bez drzwi ustawionych pod sciana. Przegrody byly ciasno wypelnione najrozniejszymi przedmiotami. Dwie mialy polki zastawione stosami talerzy, polmiskow, spodeczkow, a na jednej stal rowny szereg elektrycznych testerow. W pewien sposob przypominalo to zagracony sklep pani Pigot, z tym, ze wszystko bylo jeszcze ciasniej upakowane.

Za stołem Holly dostrzegla ogromny kominek, nigdy dotad nie widziala wiekszego. Jego wnetrze bylo tak obszerne, ze w bocznych scianach znajdowaly sie siedzenia, by ludzie mogli tam wejsc ogrzac stopy i dlonie.

I te zapachy, te dziwne wonie, jedne ostre, inne przypominajace pieczone ciasto i jeszcze inne, ktorych Holly nie potrafilala nazwac. Mimo postanowienia, ze bedzie widziec wylacznie zle strony mieszkania w domu na wysypisku, musiala przyznac, ze pachnialo znakomicie. Nikt ich nie wital. Dziadek odprowadzal ciezarowke do garazu, ktorego nie udalo sie jej zlokalizowac, ale gdzie babcia?

Obok lampy na stole lezaly rozpostarte gazety chroniace obrus w czerwono-biala krate. Staly na nich rozbite naczynia: filizanki bez uszek, pekniete talerze. Czyzby dziadek i babcia byli az tak... az tak biedni, ze to własnie byla ich jedyna zastawa? To przypuszczenie tak wstrzasnelo Holly, ze zapomniala o własnym nieszczęściu. Zanim jednak zdazyla zapytac o to mame, w najdalszym koncu sali otworzily sie drzwi i weszla babcia.

O ile dziadek okazal sie duzo mniejszy niz Holly sobie wyobrazala, to babcia byla wyzsza. Byla chuda i chodzila lekko pochylona do przodu, jakby tak bardzo sie spieszyla, ze glowa zawsze wyprzedzala reszte ciala. Wlosy zaczesywala ku gorze, gdzie spinala je w maly koczek dwoma grzebieniami wysadzonymi Isniacymi kamieniami, jeden czerwonymi, drugi zielonymi. Na nosie miala okulary w jaskrawo czerwonych oprawkach, ktorych boki ostro wznosily sie w gore. Poniemaz niezbyt dobrze sie trzymaly, babcia nieustannie je poprawiala. Choc pomieszczenie bylo dobrze ogrzane przez ogien na kominku i duzy piec z boku, tak ze Wade'owie musieli od razu porozpinac plaszcz, babcia miala na sobie dokladnie zapiety sweter. Na nim i na jasnej spodnicy w krate nosila ogromny fartuch tak pokryty roznokolorowymi plamami, ze trudno bylo stwierdzic, czy kiedykolwiek byl rzeczywiscie bialy.

-Dzieki Panu za jego laske! Jestescie tu cali i zdrowi. Jestem szczesliwa, ze znow cie widze, coreczko! - Wyciagnela rece ku mamie, ktora weszla w jej objecia tak chetnie, jakby niczego bardziej od dawna nie pragnela.

-Bog nam sprzyja, dziecko. - Glowa marny zupełnie zniknela w ramionach babci. Holly poczula uklucie dziwnego leku, kiedy zobaczyla, ze mama, tak zawsze silna, placze jak dziecko. - Wierz w Jego dobroc. W swoim czasie wszystko dobrze sie skonczy. Z nami tez tak bedzie. Luther i ja przezyliśmy wiele czarnych chwil, ale zawsze dobry Bog zsyłal nam pocieszenie. Nie wierze, ze Joel nie zyje. Nie dopuszczaj tej mysli ani do glowy, ani do serca! Joel to wojownik, nie da sie pokonac, nie on!

-Siadajcie. - Podprowadzila mame do lawy z wysokim oparciem stojacej przy kominku. - Dzis taki dzien, ze chyba sam

diabeł chce ukarać wszystkich, którzy muszą wyjść z domu. Siadaj tutaj, coreczko, odpocznij i uspokój się. Jesteś tu bezpieczna, a i Joel tu do nas wróci, kiedy Bóg tak postanowi.

Mama zaczęła się śmiać, choć jej policzki nadal łsnily od łez. - Ty wiesz, jak mi dodać otuchy, mamo.

-Mercy, nazywaj mnie Mercy, coreczko. W naszych stronach to milej brzmi. Oto i dzieciaki. - Poklepała mamę po ramieniu i odwróciła się do wnucząt. Starannie poprawiła okulary na nosie. - Holly - skinęła głową - Crockett i Judy.

-Tatus nazywa mnie Zajaczką - powiedziała Judy. Uśmiech pogłębił zmarszczki na twarzy babci.

-Naprawdę? On zawsze lubił znajdować różne przydomki. Zawsze trafiał w samo sedno. Spójrzcie na zegar. Luther zaraz będzie miał ochotę wziąć coś na zab. Wy też?

Crock wciągnął nosem powietrze. - Coś tu świetnie pachnie. - Uśmiechnął się do babci. - Pieczesz pierniki? Pani Pigot, ta ze sklepu, poczęstowała nas piernikiem.

-Nie, to nie pierniki. Ale jeżeli jesteście podobni do waszego ojca, na pewno zasmakujecie moje nowe ciasto z odrobiną miodu. - Pochyliła się nad stołem. - Trochę tu posprzątam i uszykuje stół dla całej rodziny. - Choć naczynia rozstawione na gazecie były potłuczone, przenosiła je na półkę za jednym z przepierzeń, jakby to były prawdziwe skarby.

-Sa potłuczone - zauważyła Judy.

-Jasne, że tak. Dlatego tu trafiły. - Szerokim gestem wskazała zagrażone półki. - Tylko tu można im pomóc. Jeśli tylko mam ochotę, potrafię wyczarować prawdziwe cudenka z tych starych skorup. Wszystko z odzysku. Zdumiewające, czego to ludzie nie wyrzucają, zdumiewające! To, co dla jednych jest śmieciem, może być skarbem dla innych. Luther ma złote raczki, naprawdę, i naprawia mnóstwo rzeczy, które tu trafiają.

Nie przerywając mówienia, szybko uprzątnęła stół, starannie złożyła gazety i położyła na stosiku przy szafce. Z wysokiej szafki wyjęła inne naczynia, tym razem już całe.

-Chodź tu, Holly. - Skinęła głową tak energicznie, że okulary znów się zsunęły i musiała je poprawić. - Ty i Judy możecie nakryć do stołu. Miseczki do zupy, reszta...

Holly ochoczo zabrała się do pracy. Żadna z rozstawianych misek nie pasowała do pozostałych, ale przynajmniej nie były popękane, a jedna lub dwie, ozdobione kwiatkami i ptaszkami, naprawdę jej spodobały. Talerze też były różne, tak samo jak i widelce, łyżki i noże, które starannie rozkładała Judy. W sumie była to dość dziwna zastawa stołowa. Mama wstała, żeby dołączyć do pracy, wzięła w ręce jedną z misek, odwróciła ją do góry dnem i zdumiona powiedziała:

-Ma... Mercy, przecież to Minton!

Babcia zaśmiała się z zadowoleniem. Stała przy piecu, zaglądając pod pokrywki garnków i wachając wydobywającą się z nich parę, jakby mogła jedynie po zapachu ocenić ich zawartość.

-Znalazłam ją wśród różnych skorup. Pewnie nie uwierzysz, że była na pół pęknięta. Potrzeba wiele czasu i cierpliwości, żeby to tak naprawić. Czasu mi nie brakuje, a cierpliwości stale się uczę. Staram się jak mogę. Ale oto i Luther. Teraz możemy usiąść do stołu. To coś do czego cierpliwość nie jest wcale potrzebna. Wystarczy dobry apetyt.

Kiedy jedli gulasz babuni - nazywała go zupa, choć bardziej przypominał gulasz z jarzynami - i jej świeżo upieczony chleb (to chleb indyjski, powiedziała mamie - mąka kukurydziana i żytnia pieczone przez całą noc w staroswieckim piecu z octem melasy i innych dodatków dla lepszego smaku) szczerze posmarowany ziołową galaretką lub miodem, babcia nie przestawała opowiadać. W ten sposób wiele się dowiedzieli o Dimsdale.

Babcia tylko tak nazywała to miejsce. Ani razu nie użyła słowa "wysypisko". Opowiadała o wszystkim, co ich otaczało, co przechowywała w budynku, który kiedyś był stodołą, a odtąd miał stać się ich domem. Mówiła o tym wszystkim w taki sposób, jakby oboje z dziadkiem rzeczywiście byli strażnikami jakiegoś skarbcza. Wszystko co trafiało na wysypisko, starannie sortowano. Złom trafiał do punktu skupu w miasteczku, jednak reszta niepodzielnie należała do babci i dziadka. Rzeczy stłoczone w przegrodach, które kiedyś służyły koniom, czekały na naprawę.

-Lem Granger wrócił z Korei bez nóg, ale on na pewno nie z tych, co się poddają nieszczęściu. Co to to nie! - Babcia postawiła na stole nowy polmisk z pajdami chleba. - Poszedł do jakiejś szkoły prowadzonej przez weteranów i nauczył się naprawiać urządzenia elektryczne. Kiedy tylko kończy zamówienia i ma wolną chwilę, wpada tu, żeby się rozejrzeć. Na przykład te tostery - wskazała broda rzad zapelniający jedną z półek. - Na pewno zabierze je do siebie i tak odnowi, że będzie mógł je u siebie sprzedawać.

Letnicy nie lubia zawracac sobie glowy, kiedy cos sie zepsuje, po prostu to wyrzucaja. Wszyscy bylibyscie zdumieni, widzac co mozna znalezc w ich smieciach pod koniec sezonu. Od czasu gdy pobudowali te nowe osiedla za rzeka, nie ma dnia, zeby ktos sie u nas nie zjawil z pelnym workiem.

Tutejsze stare rodziny, ktorych jest juz coraz mniej, urzadzaja wyprzedaze po smierci krewniakow. Czego nie da sie sprzedac, przywoza do nas, stad mamy mase dziwnych rzeczy. Jest tu taki mily mlody czlowiek, nazywa sie Correy, ktory wraz z zona zalozyl sklep ze starociami w starej kuzni. Czesto przyjezdza do nas na lowy. Odkladamy dla niego rzeczy ze starych domow. To on nauczyl mnie kleic porcelane. Teraz mowi, ze jestem w tym lepsza od jego nauczycielki.

Dostajemy tez mnostwo starych ksiazek i wtedy dzwoniemy po panne Sarah, ktora prowadzi biblioteke. Skauci szukaja zabawek, w ogole wydaje mi sie, ze dzieciaki lubia I tu grzebac. Naprawiaja je, maluja, a potem wszystko trafia na Blazedale Farm - do sierocinca. Miasto placi troszke Lutherowi za pilnowanie tu porzadku, ale ledwo mozna z tego wyzyc. Mamy swoj ogrod, ziola, sprzedajemy, co sie da naprawic i wszystko razem daje nam calkiem niezle dochody. Kiedy czytam w gazetach o tym, co sie teraz dzieje na swiecie, wiem, ze nam sie w zyciu poszczescilo!

Dziadek odlozyl lyzke obok pustej juz miseczki. - Mercy kocha czytac - ma tu prawdziwa biblioteke. Zawsze tez jest gotowa czegos sie nauczyc, na przyklad klejenia porcelany.

-Daj spokoj, Luther, pod tym wzgledem jestem taka sama jak ty, Przeciez to ty naprawiles te wszystkie stoliki i krzesla, ktore potem pan Correy sprzedal od reki w swoim sklepie. Placil nam po sto dolarow za stol i dziesiec za krzeslo, tak dobrze je Luther odnowil! A krewniak starego pana Appelby sadzil, ze nadaja sie juz tylko na podpalke.

Holly miala wrazenie, ze wysypisko ma nieco inny charakter niz poczatkowo przypuszczala. Poczula to po raz pierwszy, kiedy mama podniosla miseczke Mintonna i uwaznie ja ogladala.

-Nie widze tu sladu po klejeniu, Mercy. To czary!

-Jak te, czynione przez czarownice - wtracila wowczas Judy. - Babciu, czy widzialas kiedys czarownice, te, o ktorej pani Pigot powiedziala, ze tu kiedys mieszkala?

Dlon babci sunela wlasnie do gory, zeby poprawic okulary, ale zamarla w polowie drogi.

-Czarownica! - powiedziala niemal gniewnie. - Ludzie, co maja za malo roboty, lubia bez potrzeby rozpuszczac jezyki. Nie ma zadnych czarownic. Mieszkamy tu z Lutherem od czterdziestu lat i nigdy ich nie widzielismy. Czarownice zyly w dawnych, zlych czasach - teraz nie zawracaja ludziom glowy. Opowiadano takie bzdury o pannie Elvery, bo lubila zyc sama i nie byla zbyt mila dla tych, co wpadali dowiedziec sie jak sie miewa. Zawsze tak bylo: ludzie, ktorzy nie mowili wszystkiego, co wiedzieli i nie otwierali drzwi na osciez przed byle Tomem, Dickiem czy Harrym, byli bohaterami wszelkich plotek. Panna Elvery byla dobra, bogobojna kobieta, ktora przez wieksza czesc zycia miala pecha. Nie byla zadna wiedzma!

Sila, z jaka babcia to powiedziala, uciszyla Judy. Tyle, ze pani Pigot nie mowila, ze panna Elvery byla czarownica, lecz ze ona - czy tez jej rodzina - byli ofiarami rzuconej klawy. Holly jednak uznala, ze nie jest to najlepszy moment na wprowadzenie babci z bledu. Bylo az nadto widoczne, ze babcia nie chce rozmawiac na ten temat.

Babunia chyba pragnela, aby zaraz po kolacji wszyscy zeszli jej z oczu i polozyli sie spac. Zagonila ich predko na gore, zeby pokazac im dawne mieszkание stangretow i strych stodoly, ktore teraz zamieniono na szereg niewielkich pokoi. Kazdy mogl pomiescic jedynie lozko, krzeslo i wysoka drewniana skrzynie z drzwiami. Mama wyjasnila im, ze to szafa na odziez, mebel pospolity w czasach, zanim pojawily sie wbudowane garderoby. Przy zadnym pokoju nie bylo lazienki z biezaca woda. Holly sceptycznie patrzyla na miske i stojacy w niej dzbanek z woda w pokoju, ktory miala dzielic z Judy i poczula nawrot fali sprzeciwu. Coz to za dom, gdzie trzeba sie myc w wodzie noszonej do gory i na dol. Juz, juz miala wybuchnac, lecz spojrzala na zmeczona twarz mamy, przypomniala sobie ostrzezenie Crocka i pohamowala sie.

Pokoj jej i Judy musial byc jednym z wiekszych. Byl przerazliwie zimny, wiec rozebraly sie blyskawicznie i naciagnely cieple pizamy rozlozone przez babcie na lozkach. Na komodce stala lampa naftowa, ktorej mama nie pozwolila im dotykac. Powiedziala, ze sama po nia przyjdzie.

-Podoba mi sie to wysypisko - stwierdzila Judy, kiedy skonczyly modlitwe i usadowily sie wygodnie pod starymi ale miakkimi koldrami. - Polubilam babcie i dziadka i ciesze sie, ze tu przyjechalismy.

Holly nie odzywala sie. Nasluchiwala zawrozenia wiatru, ktore tu na gorze bylo znacznie wyrazniejsze niz na dole, przy kominku. Slyszala przerozne tajemnicze skrzypienia i szmery. Uwazala, ze to normalne w starym domu, stodole wlasciwie, ktora miala sporo ponad sto lat, jak mowil dziadek. Jednak nie chciala spac w starej stodole, pragnela byc w domu, we wlasnym lozku, w swoim lozku... Mimo wiatru, skrzypienia i ponurych mysli usnela niespodziewanie szybko.

Rano mama wniosła na górę wielki miedziany dzban gorącej wody i pilnowała, aby się dobrze umyły. Powiedziała, że od tej chwili będzie to obowiązkiem Holly, ponieważ sama wyjeżdża najbliższym autobusem do Pine Mount. Holly starała odsuwać od siebie myśl o nieuchronnym wyjeździe mamy, ludząc się, że mają jeszcze sporo czasu. Teraz właśnie ta chwila nadeszła. Założyła jeansy i sweter, posłała łozko i pomogła Judy ułożyć posciel w nadziei, że gdy będzie zajęta, nie będzie myślała o wyjeździe mamy.

Kapy na łozkach były z kolorowych latek, które w oczach Holly rozjaśniały pokój jak lampa wieczorem. Za oknem było tak szaro i chłodno, jakby czas skoczył naprzód o dwa miesiące i już nadeszła zima, choć nie było śniegu.

Na dole babcia stała przy piecu, fachowo podrzucając naleśniki.

-Nie ma jak stara patelnia - mówiła do mamy. - Te wszystkie elektryczne nowinki zawsze się psują lub przypalają. Z taką patelnią nie ma żadnych kłopotów, o nie!

Naleśniki były takie jak należy. Babcia ustawiła pełen polmisek obok dużej szklanej karafki ze szczupłą rączką i szyjką rznietą tak, że lśniła jak diamenty.

-To prawdziwy syrop klonowy - powiedziała. - Zaden tam kupny ze sztucznymi dodatkami. Mamy go prosto od Hawkinsa. Luther często pomaga mu przy nocnym warzeniu.

Nie było płatków ani soku pomarańczowego, które Holly zawsze jadła na śniadanie, ale bekon, naleśniki i duża szklanka mleka. Choć dreczyła się myślą o wyjeździe mamy, jadła z apetytem.

-Nie ma sensu, żebyście dziś szli do szkoły - ciągnęła babcia. - Zostały dwa dni do końca tygodnia. Nie zaszkodzi, jak zaczniecie od poniedziałku. Autobus zabierze was z podjazdu. Luther rozmawiał z Jimem Backusem, kierowcą. Powiedział, że macie tam czekać w poniedziałek. Luther ma sprawę do załatwienia w miasteczku, kiedy odwiezie waszą mamę. Trzeba zabrać resztki z wyprzedazy w domu Elkinsów, Boże, wydaje się, że stare rody zaczynają coraz szybciej wymierać. Elkinsowie zakładali to miasto razem z Dimsdale'ami, Pigotami, Noyesesami i Oaksami. Dobrze przynajmniej, że nie zburza ich domu. Ktoś z zewnątrz go kupił i ma odnowić, żeby wyglądał jak dawniej. Jest na liście zabytków. Luther ma wywieźć wszystko, co tam zostało i na pewno przydadzą mu się pomocnicy. Może moglibyście mu pomóc?

Uśmiechała się, jakby to był jakiś szczególny zaszczyt. Holly chciało się wyc, ale zabrakło jej odwagi. Choćby nie wiem co, było to wysypisko, śmietnik. Dziadek objeżdżał miasto rozwalając się ciężarówką i zbierał to, co ludzie wyrzucali. Jak śmieciarz w Bostonie. Teraz oni mieli z nim jeździć - pomocnicy śmieciarza! Wszystkie dzieci ze szkoły ich zobaczą. Holly aż skurczyła się w sobie, patrząc na wybrudzony syropem talerz. Żałowała, że w ogóle jadła - teraz było jej niedobrze.

-To super! - Crock przełknął ostatni kęs i głośno dawał upust radości.

Judy chwyciła mamę za rękaw. - Nie chce, żebyś wyjeżdżała! - Słychać było drzenie w jej głosie. Holly doskonale ją rozumiała. Mama usiadła przy niej i objęła ją ramieniem.

-Posłuchaj kochanie, tydzień minie, zanim się obejrzyś i znów tu będę. Bedziemy miały sobie mnóstwo do powiedzenia. Zapisuj wszystko, co się wydarzy w dzienniczku, to o niczym nie zapomnisz. Możesz też do mnie pisać, a ja na pewno odpowiem na twoje listy. Możesz wziąć moje czerwone pióro i masz przecież papeterię, którą Lucy podarowała ci na urodziny, te z kotkami.

-Jeśli mowa o kotkach...- w drzwiach pojawił się dziadek. Trzymał w rękach małego kota, który nie mógł mieć więcej niż dwa miesiące. Zupełnie przemoczony, leżał bezwładnie na dloniach dziadka z na wpół przymkniętymi powiekami. Kiedy jednak poczuł ciepło bijące od kominka wydal z siebie cichy pisk, który nie był jeszcze miauknięciem.

-Znów to zrobili! - Dziadek delikatnie dotykał kotka, szukając rany czy złamania. Zwierzątko drżało, lecz nie próbowało go udrapnąć.

-Przyniosę jakiś koszyk, Luther. Trzymaj go przy ogniu, niech trochę obeschnie. Nie łatwo mnie rozgniewać - większość ludzi ma powody, żeby być podłymi. Jednak ani ja, ani Luther nie możemy pogodzić się z podłością wobec bezbronnych zwierzątek.

Weszła do jednego z boksów po sporych rozmiarów koszyk z urwanym palakiem. Wysłała go najpierw gazetami, a na wierzch włożyła spłowiałą poduszeczkę, moszcząc w ten sposób wygodne gniazdko.

-Co za ludzie! - rzuciła gwałtownie. Poprawiła okulary na nosie tak energicznie, że Holly pomyślała, że czerwone oprawki zaraz pękna. - Potrafią być gorsi od wszystkich złośliwych skrzatów i diabłów, jakie zesłał na nich szatan. Ponieważ tu jest wysypisko uważają, że nie ma nic złego w tym, żeby porzucić tu te biedne istoty, które nie

zrobily im nic zlego! - Spojrzala na dzieci zgromadzone wokol koszyka z kotkiem i powstrzymala sie. - Nie, nie bede przy dzieciakach opowiadala, co juz tu widywalismy. Luther, postaw kosz i nalej mu troche mleka na spodek. Zostawmy go na razie w spokoju. Jezeli sam nie dojdzie do siebie i nie napije sie, przygotowuje mu butelke ze smoczkiem.

-Czy moze go poglaskac? - Judy zawsze pragnela miec kota, ale mama twierdzila, ze w miescie, przy calym tym ruchu ulicznym, moze to byc dla zwierzecia niebezpieczne.

-Za chwile. - Dziadek ulozyl kodaka na poduszczyce. - Jest jeszcze dziki i mysl, ze caly swiat jest przeciw niemu. Zreszta slusnie, po tym, jak go potraktowano. Trzeba bedzie sie z nim powoli zaprzyjaznic.

Tuz przed wyjazdem do miasteczka deszcz przestal padac, ale dzien nadal byl szary i ponury. Holly i Crock usiedli na stosie workow na pace. Mama i Judy wsiadly do szoferki. Tym razem Holly mogla lepiej przyjrzec sie drodze dojazdowej do szosy. Przez luki w otaczajacej ja scianie drzew i krzewow widziala wlasciwy teren wysypiska. Im wiecej widziala, tym mniej sie jej to podobalo.

Wyjechali z wyboistego podjazdu na gladki asfalt i skierowali sie w strone miasta, napotykajac po drodze coraz wiecej domow. Bylo tak ciemno, ze w niektórych swiecily sie lampy. Rowniez w sklepie pani Pigot, przed którym sie zatrzymali, wszystkie swiatla byly wlaczone.

Mama miala bilet, a autobus powinien przyjechac lada moment. Holly nie cierpiala takiego oczekiwania. Nie mozna w nieskonczonosc powtarzac "do widzenia" i "pamietaj o tym i o tamtym". Wkrotce nie bylo juz o czym mowic i pozostawal jedynie nieznosny ucisk w gardle i przemozna chec, zeby ze wszystkich sil wolac, ze mama musi zostac, ze trzeba wrocic do domu, zeby wszystko bylo jak dawniej. Bojac sie, ze nie zapanuje nad soba, Holly starala sie nie patrzec na mame.

Wkrotce autokar wjechal na przystanek. Dziadek z Crockiem wniesli walizki mamy. Pocalowala Holly i Judy, przeszla na druga strone i szybko wspiela sie po schodkach, jakby i ona nie byla w stanie nic wiecej powiedziec. Autobus warknal i juz go nie bylo. Holly podniosla reke i pomachala troche, choc wiedziala na pewno, ze mama na nich nie patrzy. Reka bezwladnie opadla.

-Robi sie chlodniej - powiedzial dziadek, prowadzac ich do ciezarowki. - Wejdzcie wszyscy do szoferki. Nie chce, zebyście zamarzyli przez droge.

Crock wcisnal sie na miejsce tuz przy dziadku, Judy usiadla na kolanach Holly. Zaslonila tym samym prawie caly widok. Holly byla z tego zadowolona. Nie plakala, ale wymagalo to wielkiego wysilku. Ciezarowka kolysala sie, skrecajac w kolejne uliczki, az wjechala na podjazd i tyly duzego, ciemnego domostwa. Tu tez stala stodola, choc nie tak wielka jak w Dimsdale. Wrota byly zamkniete, a okna pozabijane deskami. Obok drzwi staly jednak rozne beczki, pudla i stare, ogromne skrzynie, wyszczerbione, z polamanymi zawiasami.

-Jestesmy - rzucil wesolo dziadek. - Mam nadzieje, ze nic nie bedzie dla nas za ciezkie.

Crock od razu zabral sie do przenoszenia. Judy i Holly stanely z boku. Holly nie miala najmniejszej ochoty dotykac tych zakurzonych, brudnych rzeczy. Judy pewnie odczuwala to samo. Jednak dziadek sprawial wrazenie, ze liczy na ich pomoc, wiec zabraly sie do pracy.

Holly trafila na skrzyneczke zaslonieta przez solidny kufer. Upuscila ja w drodze do ciezarowki - byla okropnie niewygodna w niesieniu - i wtedy na ziemie wypadla poduszka. Byla mala, jak poduszka dla niemowlaka, czy raczej dla duzej lalki, a na jej poszewce byl wyszyty dziwny wzor, który nie probowal niczego przedstawiac - po prostu kola w nieregularnych odstepach. Podniosla ja pospiesznie i poczula jej zapach, dziwna won, która przypominala jej... nie, wlasciwie Holly nie miala pojecia, co przypominal jej ten zapach. Wsunela poduszczyke pod kurtke, a ten zapach dochodzil do niej przy kazdym poruszeniu. Taka dziwna rzecz, ale w jakis sposob wazna. Dlaczego? Na to Holly nie potrafil odpowiedziec.

III

Tomkit i poduszka marzen

Wniesli skrzynki i dwa kufry do szopy. Dziadek powiedzial, ze pozniej przejrzy ich zawartosc. Holly nie wierzyła, ze ktorakolwiek z tych rzeczy moze sie do czegos przydac. Jednak Crock i Judy zdawali sie wierzyc, ze pod wierzchnimi warstwami smieci paki kryja w sobie prawdziwe skarby. Przez cala droge z miasteczka dziadek opowiadal im o cudenkach, jakie czasami znajdowal.-Czasami - mowil - ludzie sami nie wiedza, co maja. Chca uporządkowac strych albo piwnice, wiec wyrzucaja wszystko bez ogladania. Mowia, ze nie maja czasu albo, ze na pewno nic wartosciowego tam nie wstawiano. Wezmy na przyklad ten kufer...

-Jest caly polamany - wtracila Holly. Przez to, ze Judy siedziala jej na kolanach i przyciskala sie do niej, zapach

wydobywający się z poduszeczki był silniejszy niż przedtem. Nie była nawet pewna, czy można uznać go za przyjemny. Zaczęła zalogować, że nie wrzuciła jej do jakiegos paczki zanim ruszyli.

- Jasne, że tak. - Dziadek nie przejął się jej uwagą. - Ale można go naprawić. Dzisiaj wielu ludzi zapłaci nieźle pieniądze za stary kufer. Pan Correy sprzedał już trzy takie, a dwa z nich były w jeszcze gorszym stanie. Elkinsowie to stara rodzina, mieszkali tu od początku, oni i Dimsdale'owie. Trzeba się więc dobrze przyjrzeć tym gratom. Nigdy nic nie wiadomo.

- Będziemy mogli ci pomóc, dziadku? - dopytywał się Crock.

- Jasne. Przydadzą mi się młode, bystre oczy.

Nawet Holly poczuła ukłucie ciekawości.

Dziadek mówił dalej: - Nie będziemy mogli zabrać się do tego już dzisiaj. Pani Dale ma przyprowadzić do nas swoje zuchy. Chcą wyszukać zabawki, które będą się nadawały do naprawy, na kiermasz w przyszłym miesiącu. Zawsze mają z tego nieźle zyski, a resztę zanoszą do sierocinca.

Smieci, czy też skarby, z domostwa Elkinsów złożono w szopie i wszyscy wrócili do stodoły, łakomie patrząc na to, co babcia stawiała na stole. Odsunęła żeliwne drzwiczki w ścianie kominka i za pomocą specjalnej szuflki z długą rączką wyciągała brązowy gliniany garnek.

- Od samego zapachu człowiek nabiera apetytu. - Dziadek powoli odwijął z szyi długi szal.

- Fasola z wieprzowina - powiedziała babcia. - Pożywnie. Udalo ci się zwieźć wszystko za jednym razem?

- Tak. Miałem dobrych pomocników - gestem głowy wskazał na dzieci.

- Woda i mydło są tam. - Babcia poprawiła okulary i podprowadziła ich do ławy pod ścianą. Stały na niej trzy miednice i talerzyk z dziwnym, nieregularnym kawałkiem mydła. Na końcu stała spora konewka wody.

Dziadek porozlewał wodę do misek. - Trzeba się umyć zanim Mercy dopuści nas do stołu.

Crock natychmiast zabrał się do mycia. Judy miała zdziwiony wyraz twarzy, ale posłusznie ruszyła ku ławie. To było coś zupełnie innego niż bieg na górę do łazienki na prośbę mamy. Holly znowu poczuła potrzebę powrotu do domu, gdzie wszystko było na swoim miejscu i takie jak trzeba. Rozpięła suwak i powoli schyliła kurtkę. Mała poduszka upadła tuż przed babcią, która niosła właśnie talerz z kromkami chleba na stół.

Holly podniosła poduszkę z ziemi. Teraz pachniała zbyt intensywnie. W dotyku nie przypominała też zwyczajnej puchowej poduszki, miało się wrażenie, że była wypchana kawałkami liści lub trawą.

- Wypadła z małego kuferka, kiedy ładowaliśmy ciężarówkę - powiedziała szybko Holly. - To poduszeczka, przynajmniej tak mi się wydaje. - Widząc ją teraz w pełnym świetle, zwątpiła, czy pierwsze wrażenie było słuszne. Na pewno była zbyt mała, by pochodzić z normalnego łożka, z kolei nie była dość ładna, by ozdabiać kanapę.

Materiał poszewki był szorstki i żółty. Wyszywany wzór tworzył poprzerywane kółka, jakby miejscami szew puczył. Jednak nie można było tego uznać za wzór miły dla oka, jak na przykład liście paproci, które mama wyszywała w zeszłym roku na poduszkach.

Mama wyszywała... Dłonie Holly mocniej zacisnęły się na brzydkiej poduszce. Znowu poczuła ucisk w gardle. Mama odeszła jak reszta tamtego życia, które było bezpieczne i szczęśliwe.

Babcia postawiła chleb na stole. Wyciągnęła rękę i Holly podała jej poduszkę. Była zadowolona, że pozbyła się tej brudnej staroci. Babcia obracała znalezisko w dłoniach, uważnie oglądała brakujące fragmenty zaglądając pod spód, wsadziła paznokieć pod wyszyte kregi. Potem uniosła ją do twarzy i długo wachala.

- Melisa, złocien. - Jeszcze raz pociągnęła nosem. - Płatki róży, mięta, goździki i coś jeszcze, czego nie potrafię nazwać. - Kolejny raz powachala poduszkę. - Nie, nic z tego. Nie mogę określić, co to jest. Jeśli zaś chodzi o resztę, to żółta poduszka, Holly. Robili takie dla ludzi, którzy nie sypiali dobrze po nocach. Panna Elvery miała podobną. Używała jej przy bólach głowy. Kiedyś pokazała mi, jak to się robi. Potrzeba mięty, balsamu pszczelego i trochę kłaczka kosacza. Ta poduszka jest bardziej interesująca niż na pierwszy rzut oka. To płótno jest naprawdę stare, nie zdziwiłabym się wcale, gdyby tkano je ręcznie, przynajmniej tak wygląda. No i bardzo dobrze się trzyma. - Scisnęła ją mocno w dłoń. - W środku jest pewnie tylko proszek, ale to - przejechała palcem po wzorze - to mi coś przypomina. Tyle że sama nie wiem co. Moja Boże, fasola stygnie. Połóż to na polce, Holly. Muszę się nad tym zastanowić, co mi chodzi po głowie.

Holly polozyla poduszke na wolnym miejscu na polce ze skorupami i poszla sie umyc. Mimo dziwnego wygladu mydlo mialo mily, korzenny zapach. Kiedy siadala do stolu, Judy wskazywala na niezwykly przedmiot zbudowany ze stojacych na podszewce metalowych rurek polaczonych ze soba jak piszczalki w organach. - Co to, babciu?

-Dzieki temu zarabiam na swoje kieszonkowe, Judy. Pan Correy pozwala mi czasem cos wystawic w swoim sklepie. W tym urzadzeniu robie swiece ziolowe. Ludziom podoba sie ich zapach, wiec je kupuja. Ta forma jest chyba tak stara jak to miasto. Luther, mozesz zmowic modlitwe?

Holly poslusznie zamknela oczy i sluchala slow dziadka o jedzeniu, ktore dal im dobry Bog. Dodal tez cos o mamie i tatusiu. Chcialaby moc umiec zamknac uszy na te chwile, bojac sie, ze moze sie rozbeczec.

Szybko wsadzila do buzi lyzke fasoli. Byla pyszna, rownie dobra jak wczorajszy gulasz. Mimo wszystko Holly byla glodna.

-Babciu! - Judy przelknela ostatnia lyzeczke deseru nazywanego przez babcie szybkim budyniem i podawanego z syropem klonowym. - Dlaczego nie macie tu prawdziwego swiatla, jak u nas w domu?

-No coz, panna Elvery nie miala pieniedzy, zeby zaplacic za przyciagniecie tu linii, kiedy wprowadzili elektrycznosc. A gdy miasto przejezo Dimsdale, zaklad oczyszczania nie chcial za to zaplacic. Oni nie wydadza centa wiecej, niz naprawde musza. My z Lutherem zawsze uzywalismy lamp naftowych i swiec. Dla nas to cos naturalnego. Tak samo jak czerpanie wody ze studni i inne rzeczy dziwne dla miastowych. Moja mamusia, Judy, byla naprawde biedna. Pragnela z calego serca, zeby jej dzieci mialy lepiej i tak sie stalo. Moj brat, Jas, poszedl do pracy na kolei i dobrze sie urzadzil. Missy i Ellie May znalazly prace w duzych miastach przy dobrych rodzinach, ktore bardzo je sobie cenia.

Mnie i Lutherowi takze sie powiodlo. Nie jestesmy na zadnym zasilku i mamy swoj dom. Luther ma tu dobra prace... Wasz tatus rowniez zawsze szedl naprzod. Bez problemow skonczyl szkole srednia i zaciagnal sie do armii. Mowil, ze tam sie mozna wiele nauczyc. Na komisji poborowej powiedzieli mu, ze mimo sluzby moze zdobyc dobry, cywilny zawod. Byl dobry w tym, co tam robil - cos przy radiostacjach. Tak dobry, ze - babcia zamyslila sie na moment - sam pulkownik chcial, zeby pojechal z nim do Wietnamu. Mowil, ze na nim moze polegac. Sadze, ze i Joel w pewnym sensie byl zadowolony, ze tam jedzie. Zawsze ciagnelo go w swiat. Nie mozna bylo go oderwac od National Geographic, ciagle je czytal i czytala. Zmuszal mnie i Luthera, zebysmy z nim czytali.

My z dziadkiem niewiele chodziliśmy do szkol. Musielismy pracowac. Tato Luthera zmarl, kiedy ten byl w wieku Holly, wiec poszedl do pracy w tartaku w Riverton. Jego mamie przydawal sie jego zarobek. Ale potrafil juz czytac, liczyc i pisac, a przeciez mozna sie samemu uczyc, jesli sie nie jest leniwym. Chodziec no i spojrzcie na to...

Gwałtownie odwrocila sie od stolu, ciagnac ich za soba. Poszli za nia w chlodniejsza czesc pomieszczenia, z dala od cieplego pieca. Ostatnia przegroda byla wypelniona polkami ciasno poustawianych ksiazek. Niektore z nich byly podniszczone, bez okladek, ale staly rowno, a babcia delikatnie gladzila ich grzbiety.

-Biblioteka. Mamy tu swoja biblioteke. Oboje przeczytalismy kazda z tych ksiazek. Oczywiscie, dwa razy w miesiacu przyjezdzia bibliobus, ale staje przy podjezdzie, wiec zima nieraz trudno sie do niego dostac. Szosa jest odsniezana, ale podjazd juz nie. Jednak nigdy nie brakuje nam ksiazek, nawet kiedy nie dostaniemy sie do bibliobusu.

Crock przygladal sie polkom. - Niektore sa naprawde stare, prawda?

-Tak sadze. Panna Sarah bierze do biblioteki te, ktore sie tam nadadza, ale duzo zostaje. Rowniez czasopisma. Stad nasza biblioteczka. Dobrze miec cos takiego na zimowe wieczory, kiedy nie ma wiele do roboty. Kiedys znalazlam cala paczke ksiazek o ziolach. Trzymam je zawsze pod reka i korzystam z przepisow, wiele z nich zostalo juz dawno zapomnianych. Sa tu tez ksiazki dla dzieci. Tylko pamietajcie - traktujcie je jak nalezy. Ksiazki to prawdziwe skarby. Wiele przemyslen i ciezkiej pracy trzeba, zeby je pisac.

-No, dobrze. - Wrocila do stolu. - Pani Dale przyprowadzi tu po szkole swoje zuchy, wiec musimy troche posprzatac. Luther, ty i Crock mozece rzucic okiem na boks z zabawkami i troche je rozlozyc, zeby dzieciaki latwiej poznajdowaly, czego im trzeba. My posprzatamy naczynia.

Troche przez zaskoczenie Holly znalazla sie przy cynowej balii, wycierajac sciereczka cieple talerze, kubki i miseczki myte przez babcie. Podawala je Judy, ktora odkladala je na wlasciwie poleczki.

-Razem szybko nam idzie - powiedziala babcia. - Dobrze, ze pani Dale dzis tu przychodzi, bedziecie mogli ja poznac. Uczy piata klase w duzej szkole.

-Ja jestem w piatej klasie - powiedziala od razu Judy. - Czy bedzie moja pania?

-Tak jest. Ty, Holly, będziesz pewnie miała pania Finch. Jest dużo starsza od pani Dale. Niektórzy mówią, że jest surowa. Ale jest sprawiedliwa i traktuje uczniów jak należy, chce jedynie, żeby uczciwie się starali.

-W zeszłym roku Holly dostała świadectwo z wyróżnieniem - powiedziała Judy. - Mama pozwoliła jej samej wybrać nagrodę, a ona wybrała wspólne wyjście do kina. Obejrzeliśmy film Disneya. Nie był nowy, ale przedtem nie widzieliśmy go w całości, tylko kawałki w telewizji. Był świetny, o małym jelenku.

-Naprawdę? Może ci się poszczęści i zobaczysz tu prawdziwego jelenia. Luther ma dobre serce dla zwierząt. W ostre zimy dokarmia je sianem. W zeszłym roku mieliśmy tu jelenie.

-Babciu - Judy spojrzała na puste miejsce przy kominku. - Kotek, co się stało z kotkiem?

-Podjadł sobie, umył się i poszedł rozejrzeć się po domu. Gdzieś tu musi się krecić. Koty to lubią, są ciekawskie, chcą wszystko wiedzieć o miejscu, gdzie zamierzają się osiedlić. O, widzisz - pewnie usłyszał, że o nim mówimy.

Szary kot wylonil się z cienia i podszedł do paleniska. Usiadł tuż przed dużą, wypolerowaną kamienną płytą. Kiedy zauważył, że na niego patrzy, otworzył pyszczek jakby miauczał, lecz Holly nic nie usłyszała. Nie wyglądał już tak złośnię jak na rekach dziadka, ale był straszliwie wychudzony.

-Znowu pora karmienia? - Babcia pokreciła głową, ale nalala mleka do miseczki i pokruszyła pajdę ciemnego chleba. - Wydaje się, że ten chleb mu smakuje. Niektóre koty mają dziwne upodobania.

-Zatrzymacie go? - chciała wiedzieć Holly. Kot nie przypominał tych, które oglądała w albumach przynoszonych z biblioteki. Miała nadzieję, że kiedyś będzie miała prawdziwego syjamczyka czy persę. Ten zaś przypominał dachowca, jakie czasami widywała w mieście.

-Jeśli zechce tu zostać, proszę bardzo - powiedziała babcia. - Koty same wybierają sobie dom, nie zostają z ludźmi, którzy im się nie spodobały ani w miejscu, które nie wyda im się odpowiednie. Zobaczymy, co postanowi.

-Jak go nazwiemy? - dopytywała się Judy.

-Tomkit! - Holly sama była zaskoczona swoją reakcją. Zaproponowała takie głupie imię. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek je słyszała. Skąd jej to przyszło do głowy?

-Tomkit - powtórzyła Judy. - Ach, jak Tom Kitten, o którym mama nam czytała, ten z opowieści Roly-Poly. Prawie o nim zapomniałam. Czytaliśmy to, kiedy byłam bardzo mała.

-Tomkit - powtórzyła babcia w zamysleniu. - W porządku, niech będzie Tomkit.

Szary kotek przestał pochłaniać zawartość miseczki i spojrzał w górę. Holly była pewna, że na nią. Zupełnie, jakby słyszał już to imię. Może rzeczywiście zapamiętała je z bajek, choć trudno jej było w to uwierzyć. Mimo wszystko pasowało do znajdy.

Obie z Judy pomagały babci w uporządkowaniu domu-stodoły, jak go Holly nazywała w myślach. Potem poszły obejrzeć rzeczy, które dziadek z Crockiem wyciągneli z końcowego boksu. Były wśród nich dwa rowery w dość oplakany stan, wózek bez kół, jakieś wypchane zabawki, część zestawu kolejki. Większość tak zniszczona, że zdaniem Holly do niczego się nie nadawały. Nie miała ochoty zajmować się tym balaganem. Powiedziała babci, że chce napisać list do mamy i poszła na górę po papier i długopis.

Już miała je w rekach i była gotowa zejść na dół, kiedy usłyszała hałas i domyśliła się, że pani Dale i jej zuchy już przybyli. Wszyscy mówili jednocześnie, a była ich setka lub przynajmniej dziesiątka. Holly przysiadła na łozku. Nie miała serca, żeby zejść i stawić im czoło. Smietnik - co oni sobie myśla o Wade'ach mieszkających na smietniku i pomagających w zbieraniu smieci z miasteczka? To przecież był smietnik, a oni mieszkali w starej stodole po brzegi wypełnionej smieciami...

Rzuciła się na łozko i zacisnęła żeby na koldrze. Nie, nie rozplacze się! Mamo! Nie chciała do niej pisać, chciała ją zobaczyć, tu i teraz, w tym pokoju. Żeby weszła i powiedziała, że to nieporozumienie, że wracają do domu i że wszystko będzie jak dotąd.

-Holly?

To była Judy. Nie chciała na nią spojrzeć, ale bała się, że siostra pojdzie do babci i powie, że ona płacze, czy coś takiego.

-Czego chcesz? - spytała ostrym tonem.

-Nie zejdziesz, Holly? Babcia daje nam paczki, a pani Dale jest taka miła. Chodź, Holly.

Judy chyba miała rację. Tylko czy ona zupełnie już zapomniała o mamie? Czy nie chciała wrócić do domu? Holly zeskoczyła z łózka.

Jezeli nawet Judy umyła się przed obiadem, to teraz nie była zbyt czysta. Pokrywał ją kurz i miała oleiste plamy na bluzce. Jeden z warkoczyków rozplotł się i włosy opadały na oczy. Odgarniając je zostawiała ciemna smuga na czole.

-W porządku. - Holly miała ochotę zostać w pokoju, ale bała się, że babcia tu wejdzie i sama sprowadzi ją na dół.

Pani Dale była naprawdę miła. Holly musiała to przyznać, choć niełatwo się poddawała. Chłopcy przekopując się przez sterte zabawek przywitani ją od niechcienia, nie odwracając głowy. Chłopcy są zawsze tacy sami. Zauważyła jednak, że wszyscy byli biali.

Co będzie, jeżeli okaże się, że są jedynymi czarnymi w szkole? Z kim się będą przyjaźnili? Nie lubiła się wpychać tam, gdzie jej nie chcą. Będzie musiała uważać na Judy, żeby tego nie robiła. Rozmawiając uprzejmie z panią Dale, tak jak ją mama uczyła, Holly nie przestawała się martwić. Nie potrafiła jednak zebrać się na odwagę i zadać wprost dręczącego ją pytania. Dalaby wiele, żeby już teraz znać na nie odpowiedź.

Myśli o szkole nie opuszczały Holly przez cały weekend. W niedzielę pojechali do kościoła, ale kościół był za miasteczkiem, za rzeką, w budynku, w którym kiedyś mieściła się jednoizbowa szkoła. Spotkali tam przyjaciół babci i dziadka. Wszyscy byli równie starzy jak oni. Zresztą nie było ich zbyt wielu, a ksiądz, nazywany bratem Williamsem, był chyba najstarszy. Żadnych dzieci, nie licząc niemowlaków i kilku nastolatków uważających się już za dorosłych. Holly miała wrażenie, że to bardzo dziwny kościół, a poza tym brakowało w nim mamy.

Nie mając nic lepszego do roboty, po południu zbadali zawartość domowej biblioteczki. Rzeczywiście były w niej stare książki dla dzieci. Judy przypięła się do powieści Nancy Drew bez połowy okładki i ze stronami pozlepianymi taśmą. Crock znalazł stos magazynów National Geographics. Tylko Holly, znudzona i nieszczęśliwa, wyciągała książkę za książką bez większego zainteresowania. Znalazła wreszcie podniszczony tom, który wyglądał jak trzy razem oprawione magazyny. Na wyplamionej oprawie z trudem zdołała odczytać tytuł: "Święty Mikołaj". Strony wewnątrz były brudne i wielokrotnie naprawiane, a ilustracje wydawały się jej bardzo dziwne. Książka musiała być bardzo stara, bo wewnątrz okładki znalazła datę 1895. Przewróciła kilka kartek, starając się ich nie podrzeć. Nadszedł czas kolacji.

W poniedziałkowy poranek wstali z łóżek, gdy było jeszcze ciemno. Trzesąc się z zimna przeszli przez podjazd, do szosy, żeby czekać na szkolny autobus. Czekali tak długo, że Holly zaczęła mieć nadzieję, że kierowca o nich zapomniał i kolejny dzień im się upieczą.

Jednak autobus w końcu przyjechał. Był zatłoczony i nie pozostało im nic innego jak przepychać się na sam koniec pojazdu, narazając się na ciekawskie spojrzenia nieznajomych. Crock zobaczył jednego z zuchów, który kiwał do niego, wskazując wolne miejsce. Holly i Judy musiał jednak dotrzeć na sam koniec. Holly miała pewność, że jej najgorsze koszmary się spełniły - w autobusie nie było żadnych czarnych dzieci poza nimi.

-Judy. - Mocno chwyciła siostrę za łokieć i scisnęła go, żeby mieć pewność, że ta ją słyszy. - Bądź ostrożna...

-Jak to, ostrożna, Holly?

-Nie widzisz? Tu są sami biali, może nas nie lubią.

Staraj się nie naciskać, zaprzyjaźnij się jedynie z tymi, którzy robią sami pierwszy krok. Bądź dobra i się nie narzucaj. Inaczej zaczną o nas gadać...

-Co mogą gadać?

-No, że mieszkamy na śmietniku i że jesteśmy inni, coś w tym stylu.

Z twarzy Judy zniknął zwyczajny blask. Wyglądała na zaniepokojoną. - Ale ten chłopak, on sam prosił Crocka, żeby usiadł przy nim.

-Z chłopcami, to coś innego - powiedziała Holly. - Staraj się nie dawać powodu tym białym dziewczynom, żeby myślały, że są lepsze od nas, żeby się z nas wysmiewały. Po prostu bądź ostrożna i czekaj, jak się będą zachowywać.

-Holly, czy ty się boisz?

To była właśnie ta rzecz, do której Holly nigdy by się nie przyznała. Zwłaszcza wobec Judy, młodszej o cały rok i czasami zachowującej się jak dziecko.

-Nie. Chce jedynie, żebyś była ostrożna.

-W porządku, Holly - głos Judy był bardzo cichy. Usiadła wygodniej, patrząc na swój tornister na kolanach. Kanapki przygotowane przez babcię tworzyły wyraźne wyrzucenie.

Holly była ostrożna, bardzo ostrożna. Odzywała się jedynie wtedy, kiedy ją o coś pytano, sama nie włączała się do rozmowy. W klasie nie zgłaszała się na ochotnika nawet wtedy, gdy znała odpowiedź. Podczas przerw i lunchu nie próbowała dołączyć do innych dziewczynek tylko szukała Judy. Cały czas poruszała się bardzo ostrożnie, czekając aż ktoś powie "smietnik", czy "czarna" lub też rzuci inną obraźliwą uwagę. Z początku niektóre uczennice próbowały ją zagadywać, ale chłodno potraktowane, zostawiły ją w spokoju. Była z tego nawet zadowolona. Nie będzie się pchała gdzie jej nie chcą.

W całej szkole była oprócz nich jedynie trojka czarnych dzieci i to wszystkie w niższych klasach. W czwartek Judy nie wyglądała na szczęśliwą, kiedy Holly odnalazła ją w przerwie na lunch.

-Debbie prosiła, żebym z nią zjadła. Debbie jest miła. Dlaczego nie mogę z nią usiąść?

-A, idź sobie. - Holly wstała, sciskając w dłoniach torbę zjedzeniem. - Idź sobie do niej! Niech się z ciebie śmieją za plecami, jeśli tego chcesz!

-Zaczekaj, Holly, proszę. - Judy chwyciła ją za rękaw. - Zostan. Debbie usiadła przy Rum i Berty. Chyba naprawdę mnie nie chcą.

Holly czuła się jednak trochę głupio, kiedy wróciła do stołu. Wiedziała, że zrobiła Judy przykrość. Może ta Debbie rzeczywiście była inna, jak dziewczynki w domu. Tyle, że... Nie mogła przelknąć pasztecika z dna torby, więc dała go Judy.

Kiedy wieczorem wróciły do domu, znalazły Tomkita wyciągniętego na ulubionym miejscu przy palenisku na poduszeczce, o której Holly zdążyła już zapomnieć. Wyciągnęła ją spod niego, nie zwracając uwagi na pełne niezadowolenie mruczenie, i lekko scisnęła. Zapach nic nie stracił ze swej mocy. Babcia powiedziała, że zrobiono ją dla ludzi, którzy mieli kłopoty ze snem. Jak jednak mogła podzielać na sny?

Sny! Ostatniej nocy nawiedził ją koszmar. Obudziła się z płaczem i tak wystraszyła Judy, że ta niemal do niej dołączyła. Potem przyznała się jej, że także sniła o mamie i tatusiu, którzy gdzieś zgineli i nie mogła ich odnaleźć.

-Posłuchaj, Judy, pamiętasz, co babcia mówiła nam o tej poduszce, że pomaga usnąć? Być może odpędza także złe sny. Gdybyśmy mogły to wypróbować...

-Nie możemy obie spać na takiej małej poduszeczce - zaprotestowała Judy.

-Jasne, że nie. Zróbcie to po kolei - wtracił się Crock.

Holly mocno przyciskała poduszeczkę. Tak bardzo jej pragnęła, że chciała krzyknąć, że jest tylko jej. W końcu to ona ją znalazła. Musiała jednak przyznać, że Crock ma rację. Tatus zawsze powtarzał, że wszystko należy robić sprawiedliwie. Trzeba tylko wylosować kolejność.

Czekając aż Crock odwróci się do nich, trzymając w zamkniętej dłoni dwa paski papieru stanowiące losy, Holly starała się zrozumieć, dlaczego tak bardzo chciała mieć tę poduszkę. Było to dziwne uczucie, ale nie przerażało jej, zupełnie jakby poduszka nie tylko do niej należała, ale i była jej potrzebna. Tak samo czuła się przed wielu, wielu laty, kiedy nie mogła położyć się spać, nie tuląc swego misia Puchatka.

-Gotowe, ty pierwsza, Judy. - Crock odwrócił się do dziewczynek.

-Masz trzy paski - zdziwiła się Holly.

-Jasne, mogę się chyba przekonać, o co tu chodzi, nie? Ty pierwsza, Judy - powtórzył.

Długo? się zastanawiała, w końcu sięgnęła po środkowy pasek. Holly wybrała prawy, zostawiając ostatni Crockowi. Kiedy jej porównali, okazało się, że wygrała Judy.

Holly oddała jej poduszkę z niechęcią przekonana w głębi duszy, że los znowu ją krzywdzi.

Furtka labiryntu

Choc tej nocy nie dreczyły jej koszmary, Holly zbudziła się wcześniej niż zwykle. Pokój, który dzieliła z Judy, miał tylko jedno niewielkie okno, przez które przeciskalo się niewiele światła. Kiedy usiadła na łozku, żeby rzucić okiem na Judy, dostrzegła długie, futrzane ciało Tomkita wyciągniętego jak struna. Głowe miał tuż przy twarzy Judy tak, jakby wspólnie korzystali z poduszeczki snow. Holly wyraźnie wyczuwała zapach ziół unoszący się w całym pokoju. Zrzuciwszy z siebie koldre, zadrzała z zimna. Szybko założyła ciepłe, wybite futerkiem pantofle i zawołała siostrę.

Judy nie poruszyła się. Holly podeszła do jej łozka i usłyszała cichutki szmer. Wargi siostry poruszały się, jakby coś mówiła, lecz słowa były tak ciche, że nie można było ich zrozumieć. Nawet kiedy Holly pochyliła się nad siostrą.

Było coś przerażającego w tak głębokim śnie i szeptaniu Judy.

-Judy! - Tym razem krzyknęła głośniejszym głosem i dotknęła dłoń policzka siostry.

Odpowiedział jej przenikliwy syk. Dostrzegła łapę z rozczapierzonymi pazurkami. Spojrzała na Tomkita. Przynajmniej on się obudził. Siedział i wpatrywał się w nią wąskimi szpareczkami oczu. Jego uszy ciasno przylegały do małej czaszki. Jeszcze raz prychnął ostrzegawczo.

-Ty kocurze! - wybuchła Holly. - Zmykaj! - Mimo groźby widocznej w jego postawie odwaga się wyszarpnąć poduszkę spod głowy Judy i odrzucić ją w nogi łozka.

Judy odwróciła głowę i otworzyła oczy. Czaił się w nich dziwny blask. Choc skierowała głowę w stronę siostry, można było odnieść wrażenie, że jej nie widzi, że patrzy na coś stojącego obok niej.

-Panna Tamar - powiedziała zaspanym głosem. Potem usiadła, odrzucając koldre i koce. - Poduszka, gdzie jest poduszka? - Kiedy dostrzegła ją na końcu łozka gwałtownie rzuciła się, żeby ją chwycić.

-Judy - powiedziała ostro Holly. - Co się z tobą dzieje?

Siostra obracała poduszkę w dłoniach, uważnie oglądając jej wzór. Nie odpowiedziała od razu. Wydawała się całkowicie pochłonięta przesuwaniem czubka palca po przerywanych kregach: dookola, dookola, aż trafił na srodek. - To tu! - Pokiwała głową, jakby nagle uzyskała całkowitą pewność, że jej przypuszczenia się potwierdziły. - Właśnie tu to znajdziemy!

-Co znajdziemy!?! - dopytywała się Holly. - Coś w poduszce? - Wyciągnęła rękę, żeby odebrać ją Judy i samej sprawdzić, ale młodsza siostra nie pozwoliła na to.

-Ja sama! Ja to znajdę! Panna Tamar powiedziała mi jak tam trafić.

-Dokąd trafić? - Zniecierpliwienie Holly narastało błyskawicznie. - I kim jest, ta panna Tamar?

-Trafić do skarbu w labiryncie - odpowiedziała Judy pośpiesznie, jakby dziwiła się głupocie siostry, która nie pojęła od razu, o co chodzi. - Panna Tamar to... to... - na jej twarzyczce zaczął malować się niepokój. - Holly, ja nie wiem, kim ona jest. Ale ona chce, żebyśmy do niej przyszli, do labiryntu.

-Jakiego labiryntu? - Holly była zdumiona. Co to takiego ten labirynt. Miała niejasne pojęcie, że to jakiś rodzaj zagadki. Nagle zrozumiała dziwne zachowanie Judy.

-Miałas sen. Sama wiesz, jakie dziwne rzeczy potrafią się przysnić.

Judy powoli pokreśliła przecząco głową. Przyciskała poduszkę do piersi. - To nie był sen, Holly, to się działo naprawdę. Labirynt istnieje, a panna Tamar chce, żebyśmy ją tam odwiedzili. Pokazała mi drogę, nie mogę się zgubić. Możemy iść tam dzisiaj, jest sobota, mama nie przyjedzie, bo ma jakieś zebranie więc mamy czas.

Było jasne, że Judy świecie wierzyła, że jej sen był prawdą. Holly wzruszyła ramionami i zaczęła się ubierać. Wiedziała, że nie ma sensu spierać się z siostrą, kiedy była w takim nastroju. Zazwyczaj słuchała bez szemrania, jednak od czasu od czasu na jej twarzy pojawiał się ten szczególny wyraz i wówczas nie można jej było do niczego nakłonić ani zmusić.

Labirynt musiał być częścią szczególnie plastycznego snu. Z czasem Judy sama to pojmie. Mimo to, zakładając jeansy, Holly raz po raz spoglądała na siostrę. Choc Judy również się ubierała, trzymała poduszkę blisko siebie. Tomkit

energicznie ja obwachiwał, jakby w środku znajdował się jakiś koci przysmak, choć nie dotykał jej łapa.

Holly żalowała, że to nie ona wylosowała sen na poduszczyce. Judy zachowywała się tak dziwnie. Czyżby wypełniony ziołami woreczek miał moc sprawiania, że sny wyglądają jak jawa?

Nie próbowała nawet przekonywać Judy, że nie pójdą szukać skarbow w miejscu nazywanym przez nią labiryntem. W końcu sama dojdzie do wniosku, że to wytwór sennej wyobraźni. Starannie scieląc łóżko, uznała, że to jedyna metoda. Trzeba pozwolić siostrze, by się sama przekonała, że ani skarb, ani labirynt nie istnieją. Nie ma też żadnej panny Tamar. Coż za śmieszne imię, nigdy o takim nie słyszała. Skąd Judy je wytrzasnęła?

-Schodzę na dół pomóc babci przy śniadaniu - oznajmiła Holly, wciągając przez głowę koszulkę z dużą, czerwoną gwiazdą na przedzie.

-Dobrze. - Judy nawet na nią nie spojrzała. Nie przypominała jej też, że zazwyczaj razem przykrywały łóżka kapami. Jedyne, co ja w tej chwili zajmowało, to ta przeklęta stara poduszka! Dobrze, niech więc poduszka jej pomaga! Ze złością zbiegła po schodach.

Choć było jeszcze wczesnie, babcia krztała się przy piecu. Smazyła jajecznicę.

-Dzień dobry, Holly. Dla nas soboty to zawsze dni pełne roboty. Każdy, kto ma coś do wyrzucenia, przyjeżdża tu właśnie wtedy! Luther musi wstawac przed świtem, żeby wszystkiego dopilnować. Moglibyście mu pomóc.

Holly porzastała na stole talerze na babciną jajecznicę. Babcia nie dolewała mleka do jajek jak mama. Dodawała szczypte tego czy owego z różnych słoików wypełnionych wysuszonymi liśćmi, które stały w równym szeregu. Jednak najważniejszą sprawą dla Holly było rozwiązanie zagadki snu Judy.

-Słyszałaś kiedyś o labiryncie, babciu?

Babcia sięgnęła ręką do kolejnego słoika. Słyszac ją, zamarła. Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na nią, jakby powiedziała coś niesłychanego.

-Kto ci o nim mówił, Holly?

Czy mogła powiedzieć, że pojawił się we śnie Judy? Babcia nigdy by w to nie uwierzyła. Nie potrafiła też kłamać. Co powiedzieć?

-Czy to prawdziwy labirynt? - wywinęła się pytaniem. Nic innego nie przyszło jej do głowy w tej chwili.

-To taka ozdoba ogrodu z dawnych czasów - powiedziała babcia w zamysleniu. - Sadzili żywopłoty według specjalnego planu, pozostawiając ukryte bramy. Ścieżki między nimi błaznyły na różne strony. Zawsze była w tym jakaś tajemnica. Jeżeli skrecało się w odpowiednich miejscach, można było dostać się do samego środka. Różne historie opowiadano o ludziach, którzy się w nich zgubili i musieli wołać o pomoc. Tu też był kiedyś labirynt. Jednak krzewy tak się rozrosły, że nikt już nie próbuje się do niego dostać, chyba żeby wjechać tam sypczaczem. Większość ludzi zupełnie o nim zapomniała. Słyszałaś o tym w szkole?

Holly znów zrobiła unik. - Judy słyszała. - Nie dodała jednak, że to był sen. Zadrzała niespodzianie, mimo że stała tuż przy wielkim piecu. Jak to się stało, że we śnie Judy pojawił się labirynt, który naprawdę istniał? To wszystko przez te poduszki! Powinna była zostawić ją na śmietniku Elskinów.

-Nie chodźcie tam czasem. Jest cały zarosnięty kolczastymi krzakami i nie dałabym głowy, że nie ma tam weży. To miejsce wprost stworzone dla nich.

Weże! Holly zadrzała ponownie. A Judy chciała tam iść. Coż, nie pozostaje nic innego niż zmówić się z Crockiem i ją powstrzymać.

Korciło ją, żeby spytać o te tajemniczą pannę Tamar. Jeżeli labirynt ze snu Judy okazał się prawdziwy, to może i panna Tamar... nie, to nie może być prawda, to musi być sen, ponieważ panna Tamar kazała Judy wejść do labiryntu. Holly rozłożyła widelce do jajecznicę. Jeżeli labirynt jest tak zarosnięty, jak mówi babcia, to nie powinna się martwić. Judy nie zdoła tam wejść. Mimo wszystko jednak przyrzekła sobie, że nie dopuści nawet do tej skazanej na niepowodzenie próby, przede wszystkim z powodu weży.

Judy zeszła na dół bez poduszczyki. Babcia musiała ją zawołać, kiedy Crock i dziadek wrócili ze spaceru nazywanego przez dziadka obchodem terenu. Ustalał, gdzie należy składować odpadki, żeby miejski sypczacz dokładnie je

poprzykrywał. Musiał pilnować, aby "niedzielni smieciarze" nie wyrzucali swych ładunków gdzie popadnie. Większe odpady trafiały do dziury po wypalanej piwnicy starego domu.

Oczywiście odpadki musiały być sortowane, a wszystko co nadawało się do wykorzystania, przeniesione do jednej z szop lub do stodoły. Butelki, a nawet tacki po mrozonkach mogły być odstawione do skupu i zamienione na gotówkę. W sumie więc, jak nie bez pewnej dumy informował siostry Crock, trzeba się niezłe napracować, żeby nie wyrzucić czegoś, co daje dochód.

Ledwo skończyli śniadanie, usłyszeli dźwięk klaksonu i Crock z dziadkiem znów wyszli. Dziadek powiedział, że to na pewno Larversonowie. Od czasu do czasu wynajmowali ciężarówkę, żeby wywieźć śmieci z dwóch ulic nowego osiedla.

Nalewając gorącą wodę do zmywania naczyń, babcia rzuciła: - To tylko śmieci. Niczego tam nie znajdziecie.

- Jasne, że to nie starocie - zgodził się z nią dziadek, owijając szyję długim szalem. - Ale czasami można tam znaleźć dobre rzeczy dla Lema. Zawsze warto rzucić na to okiem.

Kiedy naczynia były pozmywane, a Holly i Judy posprzątały swój pokój, babcia wskazała im wieszak z kurtkami. - Możecie iść na dwór, w ten sposób nie będziecie mi przeszkadzać przy klejeniu skorup. - Uśmiechnęła się, wepchnęła okulary na nos i zaczęła rozkładać gazety na stole. - Mam tu na dziś niezłą lamigłówkę, to od Elkinsów. Jeżeli uda mi się to dobrze zrobić, pan Correy będzie bardziej niż zadowolony. - Zdjęła z polki starą poszewkę i ostrożnie rozwinęła. Wewnątrz była biała statuetka rozbita na drobne kawałki. Patrząc na nią, Holly nie mogła pojąć, jak można się spodziewać, że ktokolwiek jest w stanie złożyć w jedną całość tę masę porcelanowych okruchów.

Podniosła kawałek, który był częścią głowy. Starannie ściągnięte w tył włosy wystawały spod czegoś, co przypominało czepek jaki mama nosiła w pracy, ale zachodziło niżej na głowę.

- Co to może być? - zastanawiała się głośno, ostrożnie odkładając fragment na poszewkę.

- To kobieta - powiedziała babcia z przekonaniem. - Może to nawet dzieło Rogera. One są dużo warte. Przedstawiały postaci ze starych opowieści. Musimy trochę poczekać, zanim się przekonam, czy coś z tego wyjdzie.

- Holly, wychodzisz? - zawołała Judy spod drzwi.

Miała na sobie kurtkę i czapkę. Tomkit ocierał się o jej stopy, jakby nie mógł się doczekać spaceru.

Holly właściwie wolałaby zostać i przyglądać się magicznym poczynaniom babci przy pracy nad roztrzaskaną figurką. Jednak babcia wyraziła się jasno. Pragnie, by jej nie przeszkadzano, więc trzeba to uszanować. Jak tylko wyjdą na dwór, powie Judy, co sądzi o wyprawie do labiryntu i o wezach.

- No chodź już! - Judy wypadła za drzwi, zanim Holly zdążyła naciągnąć czapkę na głowę. Poranek był chłodny. Z ust wydobywały się wyraźne kleby pary. Judy nie posiadała się z niecierpliwości.

- Dokąd?

- Do labiryntu oczywiście! - Judy powiedziała to takim tonem, jakby inna odpowiedź nie wchodziła w rachubę.

Holly zatrzymała się i chwyciła siostrę za ramię. - Posłuchaj, tam właśnie nie pojedziemy. Zresztą i tak nie dostalibyśmy się do środka, bez względu na to, co ci się sniło. Pytałam babcię. Powiedziała, że labirynt cały zarósł i zdziczał i że tam są weze.

- Można tam wejść, kiedy się zna właściwą drogę.

- Jaka droga?

- Panna Tamar mi pokazała. Nic nam nie grozi. Czeka tam na nas skarb.

- Posłuchaj, Judy. - Holly wzmocniła uścisk, a Judy zaczęła się wyrywać. - Przecież sama wiesz, że to tylko sen. Nie ma panny Tamar.

- Tak? - Judy była zdecydowanie w buntowniczym nastroju. - Przecież nie wierzyłaś, że tu jest labirynt, aż sama się przekonałaś. Tak samo z panną Tamar. Rob, co chcesz, ja tam idę.

Szarpnęła mocno i uwolniła rękę. Ruszyła biegiem w stronę szarobrazowej masy bezlistnych krzewów w oddali. Tomkit

biegl obok z ogonem uniesionym wysoko jak sztandar zwyciestwa. Holly nie pozostalo nic innego, jak pobiec za nimi i miec nadzieje, ze Judy zmadrzeje, kiedy zobaczy, ze nie da sie wejsc w gestwine.

-Hej, dokad pedzisz? - spytal Crock, ktory niespodzianie znalazl sie przy niej.

-Za Judy - krzyknela w biegu. - Ona zupełnie zwariowala.

Przyspieszyl i zrownal sie z nia. - O co ci chodzi?

-Ona mysli, ze tam jest schowany jakis skarb. - Holly machnela reka w kierunku niezbyt juz odleglej sciany krzakow. - Snilo sie jej cos glupiego. Babcia mowi, ze tam sie nie mozna dostac i ze tam sa weze. Musimy ja powstrzymac, Crock.

-Weze nie lubia zimna - powiedzial. - Dlaczego mysli, ze jej sen jest prawdziwy? Przeciez nie jest az takim dzieckiem.

-Sam ja spytaj! - rzucila wscieklym glosem. - Nic do niej nie trafia. To wszystko przez te glupia poduszke. Spala na niej i teraz wierzy, ze ktos, kogo nazywa panna Tamar, wskazal jej przejście przez labirynt. Crock!

Stanela jak wryta, nie wierzac własnym oczom. Oczywiście, wszystko bylo pomieszane jak we snie, ale jednak naprawde to widziala. Oczy same nie wymyslaja obrazow. A moze jednak?

Judy juz nie biegla, stala przodem do nich i przynaglala gestami. Usmiechala sie przy tym szeroko. Nie bylo w tym nic szczegolnego, za to niezwykle byly te dwie rzeczy za nia: dwa slupki, jakie zwykle podtrzymuja furtke.

Krzewy, ktore z daleka wydawaly sie szare i nagie, wcale nie byly takie z bliska. Pokrywaly je drobne, lsniace, ciemnozielone listki. Dwa krzaki, duzo wyzsze od Judy, przycieto w specjalny sposob tak, zeby przypominaly koty! Wielkie, zielone koty, ktore siedzialy wyprostowane z ogonami przykrywajacymi przednie lapy i pyskami przypominajacymi Tomkita.

Tomkit siedzial obok Judy w dokladnie ten sam sposob. Mial szeroko otwarte, zoltozielone oczy. Ktos smialo moglby uznac go za model, wedlug ktorego przycieto zywoplot. Wstal bez pospiechu, przeciagnal sie i ruszyl przed siebie miedzy kotami i zielonymi scianami, na sciezke, ktorej strzegly.

-Chodźcie! - Judy wymachiwala rekami w kierunku siostry i brata. Ruszyła za Tomkitem, zanim Holly zdolala ja zatrzymac, czy choc krzyknac. Zniknela miedzy zielonymi kotami.

-Crock, musimy ja stamtad wydostac! - Holly zerwala sie do biegu. Pamietala slowa babci, ze ludzie gineli w labiryntach. Co bedzie, jak jej nie znajda?

Minela zielone koty, Crock tuz za nia. Znajdowali sie w zielonym tunelu utworzonym przez wysokie krzaki, ktorych gorne galezie splataly sie ze soba. U ich stop wyrastaly mniejsze rosliny, zupełnie jak latem, a nie pozna jesienia. W powietrzu unosil sie silny zapach drobnych fioletowych kwiatkow.

Tunel mial chodnik wylozony bardzo starymi, szarymi kamieniami. Ze szczelin miedzy nimi wylinaly sie roslinki wydzielajace przy poruszeniu ostra, korzenna won. Dostrzegli Judy niedaleko rozgalezienia drogi. Przeszlapowala z nogi na noge i kiwala do nich.

-Pospieszcie sie! Musicie isc za mna - krzyknela, nim podeszli. - Znam droge. Wszystko jest dokladnie tak, jak opisala panna Tamar. Tedy.

Skrecila w prawe rozwidlenie tunelu. Robilo sie coraz cieplej. Holly rozpiela kurtke i wsadzila czapke do kieszeni. Zupelnie jak latem. Obok galazek z fioletowymi kwiatkami pojawialy sie coraz to nowe. Wydawalo sie, ze kazdy ich rodzaj pachnie inaczej, a zapach wyzwalalo nawet najlzejsze dotkniecie.

Doszli do kolejnego rozwidlenia, gdzie siedzial jeszcze jeden kot wystrzyzony z zywoplotu. Tomkit gdzieś sie zapodzial. Mial sporo ich wyprzedzic. Tunele labiryntu byly bardzo ciche, ale cieplo, zapach roslin i kwiatow w pewnym stopniu uspokoily Holly. Zlapala sie na tym, ze dokladnie przyglada sie nieznanym roslinom. Tylko raz udalo sie jej rozpoznac niepozorna rozyczke wpleciona w sciane zywoplotu.

Judy prowadzila ich pewnie, skrecajac w prawo na wszystkich rozwidleniach. Holly zupełnie stracila poczucie kierunku, a mimo to wydawalo sie jej, ze kraza spiralnie, zblizac sie do srodka, jak kregi wyszyte na poduszce. Nie byla tego jednak pewna.

Jeszcze dwukrotnie napotykali krzaczaste koty, ktore wcale nie wygladaly groznie. Crock dokladnie je ogladal, starajac sie zrozumiec, w jaki sposob przycieto lub ustawiono krzewy, zeby utworzily tak wyrazne figury.

Pozdejmowali kurtki i niesli je przewieszane przez ramie. Choc nie widzieli slonca przez galezie, czuli, ze grzeje. Holly podciagnela rekawy koszuli i zatrzymala sie na chwile, lecz Judy uparcie parla do przodu, jakby miala wazna sprawe do zalatwienia.

Tunel skrecil ostro i znalezi sie na otwartej przestrzeni. Holly zmruzyła oczy. Patrzyła na rozposcierający się przed nią widok czując, że to sen, który rozpoczął się realistycznie, wydarzeniami poranka i niepostrzeżenie przeszedł w bajkę.

Przed sobą mieli zadbane ogrody. Holly nigdy nie widziała podobnego, nawet w książkach. Ścieżka, która tu dotarła prowadziła prosto do środka. Rośliny i kwiaty rosły w nim na starannie zaplanowanych rabatkach - okrągłych, prostych lub hakowanych. Na każdej było coś innego. Ścieżka wiodła prosto, omijając jedynie małe stawki na środku.

Za ogrodem, który z tej perspektywy przypominał nieco kapy na łóżka szyte przez babcię z kolorowych latek, stał dom.

Był dużo mniejszy niż stodoła i sprawiał wrażenie, jakby nie był zbudowany ludzką ręką, lecz wyrósł z ziemi w jakiś niesamowity sposób. Dach kryły szerokie gonty upstrzone zielonkawym mchem. Mech porastał również ściany z surowych desek.

Olbrzymimi kominami z polnych kamieni wyznaczał środek domu. Tu i owdzie między kamieniami rosły małe paprotki. Okna były małe i wysoko ustawione, a ich szyby stanowiły szklane romby oprawne w metal. Obok domu widac było koliste obramowanie studni, a za nią na niskiej ławie stał rzadek uli ze słomianymi, stożkowymi daszkami, między nimi pracowicie uwijały się pszczoły.

Duże drzwi frontowe były szeroko otwarte, a na ich progu siedział albo sam Tomkit, albo jego brat bliźniak, spokojnie lizający tylną łapę. Wyglądał na zadomowionego.

Judy ruszyła naprzód, obeszła stawki i skierowała się prosto do domku. Holly miała wrażenie, że z ogromnego kominu wydobywa się wątki smuzka dymu. Najwyraźniej dom był zamieszkały. Wypielegnowany ogród, pszczoły, lecz ktoż mógł być jego mieszkańcem? Dlaczego babcia nic nie mówiła o swoich najbliższych sąsiadach?

-Nie pojmuję tego. - Crockett rzucił kurtkę na trawę. - Po prostu nie pojmuję! Przecież to lato, a nie październik! I kto...

Miał rację, to naprawdę było lato, choć Holly nie chciała tego przyznać. Biała się nawet pomyśleć, co mogłoby to oznaczać. To musiał być sen, nic innego. Zamknęła oczy - zaraz obudzi się w stodole.

Jednak kiedy je otworzyła, zobaczyła Judy tuż przy drzwiach domku. Nagle wydało się jej, że otwarte wejście czeka na nich jak pułapka.

-Judy! - krzyknęła z całych sił i pociągnęła się biegiem za siostrą. - Judy, nie!

Judy nie odwróciła się do niej i nie zatrzymała. Jeżeli Holly nie uda się jej powstrzymać, zaraz będzie wewnątrz.

-Judy!

Holly ominęła stawki. Między rabatkami korzenne zapachy były jeszcze silniejsze. Nie miała jednak czasu nad tym się zastanawiać, musiała zatrzymać siostrę, inaczej zaraz coś się stanie. Nie wiedziała, co to może być, ale okropnie się tego bała.

Tomkit usiadł w takiej samej pozycji, jaka prezentowały żywoplotowe koty. Na jego pyszczku malował się wyraz oczekiwania.

Holly rozpaczliwie przyspieszyła. Złapała Judy za rękę.

-Nie, Judy!

-Ależ tu nie ma niczego strasznego, dziecko.

To nie Judy wypowiedziała te słowa. Dobiegły z wnętrza domu.

V

Tamar

Holly nie puściła ramienia Judy. -Nie wchodzi tam, ani się waz! - krzyczała.

Judy szarpnęła reke, starając się uwolnić z chwytu. - Co się z tobą dzieje, Holly. Przez cały czas jak tu jesteśmy ciągle mi mówisz nie rob tego, nie rob tamtego. Mam już tego dosyć. Puszcz mnie, słyszysz! - Łagodna Judy rzadko tak się wściekała. Wyrwała się i weszła wprost do ciemnego wnętrza dziwnego domu, jakby był równie bezpieczny jak stodoła, gdzie babcia czeka z obiadem.

Bunt siostry na chwilę tak oszłomił Holly, że nie mogła się ruszyć. Potem zobaczyła, że Crock również zbiera się do wejścia.

-Crock!

-Co? - Ledwo na nią spojrzal. - Wiesz co, Holly, Judy ma rację. Myślisz, że zjadł wszystkie rozumy, a to nieprawda. Nieprawda! - Wkroczył w mrok za Judy.

Holly czuła łagodny powiew letniego powietrza niosącego ze sobą zapachy z ogrodu. Słyszała bzyczenie pszczoł. Otoczenie było tak spokojne, zachęcające, jednak w głębi duszy czuła niepokój. To wszystko było tak nierealne! Doskonale wiedziała, że październik to jesień, chłody. Nie rosły już żadne kwiaty, przynajmniej na zewnątrz zielonych tuneli, do których wciągnęła ich Judy. A o tym domu babcia ani dziadek nigdy nie wspomnieli. Kto tu mieszka? I dlaczego Judy wyszła te drogi?

Nie mogła już dłużej udawać sama przed sobą, że to się jej tylko sni. Nie, to musi być coś innego, dziwnego i niewłaściwego. Bala się. Judy i Crock weszli do środka, więc i ona będzie musiała to zrobić. Nie ma wyboru.

Krok po kroku wsuwała się do obcego domu. Twarz owionął zapach nieznanych perfum.

Wnętrze zdawało się stanowić jedno pomieszczenie z wielkim kominkiem pośrodku, niemal tak dużym jak w stodole. Plonęły tam aż dwa paleniska, nad którymi kołysały się garnki na lancuchach zwisających wprost z komina. Przy jednym z garnków stała jakaś kobieta i mieszała jego zawartość powolnymi, równymi ruchami długiej drewnianej łyżki. Spojrzała na Holly, uśmiechnęła się do niej i znowu wpatrzyła się w mieszany płyn, jakby to zajęcie wymagało szczególnej uwagi i ostrożności.

Wielki pokój nie był zbyt dobrze oświetlony, choć do środka przedostawało się nieco blasku słonecznego przez okienko na drugim końcu izby. Skupiając całą swoją uwagę na nieznanym, Holly nie potrafiła rozpoznać sprzętów gęsto wypełniających wnętrze.

Kobieta była równie wysoka jak mama, ale na tym kończyło się wszelkie podobieństwo do niej, czy jakiegokolwiek znanej pani. Nie wierzyła własnym oczom. Kobieta mieszkająca w garnku nie mogła być prawdziwa. Chyba, że przebrała się tak z jakiegoś powodu. W zeszłym roku mama zabrała ich do Williamsburga, gdzie po skansenie oprowadzały przewodniczki ubrane w dawne stroje. Może i ta pani udawała postać z dawnych czasów.

Ciemne włosy ściągła ciasno na tył głowy i przykryła czepkiem przypominającym ten, jaki mama nosiła w pracy, tylko bardziej zakrywającym tył głowy. Jej spodnice (były dwie, wierzchnia podciągnięta ku górze na bokach odsłaniała druga) były długie i obfite. Spodnica miała kolor wyblakłej żółci, wierzchnia była granatowa. Na nie założyła długi fartuch, również żółty. Miała na sobie dopasowany gorsecik sznurowany z przodu tasiemką. Na ramiona narzuciła coś, co wyglądało jak wielki biały kołnierz zapięty pod szyją.

Holly przypominała sobie, gdzie już widziała taki strój - w podręczniku do historii. Ta kobieta była ubrana jak pielgrzymi podczas pierwszego Świąta Dziekczynienia. Nie sprawiała jednak wrażenia kogoś w kostiumie, poruszała się naturalnie, jakby to był jedyny strój, jaki знаła.

Ponieważ kobieta nie odzywała się ani nie dawała żadnego znaku świadczącego o tym, że zauważyła ich obecność, nie licząc powitalnego uśmiechu, jakim obdarzyła Holly, dziewczynka zaczęła rozglądać się po pomieszczeniu. Było wypełnione sprzętami. Kiedy oczy przywykły do półmroku, zaczęła dostrzegać szczegóły.

Pod ścianą stały komody, bardzo ciężkie, o solidnym wyglądzie. Nad nimi wisiały szafki. Na środku pokoju stał długi stół, o który opierali się Judy i Crock z zaciekawieniem obserwujący nieznaną. Stały na nim różne miski, garnuszki i kilka innych rzeczy. Od strony wejścia przy stole ustawiono ławę i krzesło z wysokim oparciem, na którym siedział Tomkit z przymkniętymi oczami, jakby szykował się do drzemki.

Obok kominka było jeszcze jedno krzesło z oparciem i dwa stolki ze stojącymi na nich dzbankiem i garnuszkami, w których tkwiły długie łyżki i miedziane chochle. Z długich belek pod sufitem zwisały peczki wysuszonych roślin.

Holly przestała przyglądać się im, kiedy usłyszała jak kobieta zaspiewała, cichutko, jakby do siebie:

Lawenda jest niebieska, dilly, dilly!

Lawenda zielona.

Kiedy bede krolem, dilly, dilly!

Ty bedziesz krolowa.

Ktoz ci to powiedzial, dilly, dilly?

Ktoz to ci powiedzial?

Serce me wlasne, dilly, dilly!

Rzeklo mi to.

Zaraz potem zaczela inna piosenke:

Jelen kocha gesty bor,

Zajac kocha wzgorze;

Rycerz kocha Isniacy miecz.

Pani kocha wole swa!

Rozesmiala sie szczeniwa. Holly niespodzianie spostrzegla, ze sama sie usmiecha. Nie wiedziala, jak to sie stalo, ale na moment opuscily ja wszystkie zmartwienia, jakie przezywala od dnia, w ktorym przyszedl telegram. Zwiniety w klebek Tomkit spal na duzym krzesle. Judy i Crock takze sie usmiechali.

-Starczy. - Kobieta poruszyla sie szybko, siegnela po pare szczypiec, ktorymi zdjela garnek z lancucha i pewnym ruchem postawila go na kamiennej plycie paleniska.

-Dobrze zrobione, w porzadku - zajrzala w glab garnka, gdzie wciaz jeszcze wrzal plyn. - Ostygnie, a sami obaczycie. Ale, ale, musicie mi wybaczyć tak slabe przywitanie. Niech Bog was blogoslawi!

Uniosla reke i wykonala w powietrzu delikatny gest. Wygladalo, jakby ich liczyla, jeden, dwa, trzy. Patrzyla na nich w szczegolny sposob. Holly pomyslala, ze bardziej patrzy w nich niz na nich. Judy i Crock zostali obdarzeni usmiechem, ale kiedy wypadlo na Holly, usmiech zbladl nieco, wiec dziewczynka cofnela sie o krok. Poczula sie, jakby zrobila cos zlego. Jednakże niepewnosc trwala nie dluzej niz sekunde. Kobieta, a moze dziewczyna, znow sie usmiechala.

Niezwykla sukienka i czepek na gladko zaczesanych wlosach postarzaly ja. Byla opalona, jakby wiele przebywala na sloncu i nie wydawala sie specjalnie ladna. Miala nieco zbyt ostrza brode i zdecydowanie za dlugi nos. Jednak, kiedy sie usmiechala, nie zwracalo sie na to uwagi.

-Panna Tamar - powiedziala Judy.

-Jam jest Tamar - skinela dziewczyna glowa - choc sa tacy, co zwa mnie inaczej. Wyscie zas kto?

-Nazywam sie Judy Wade - odpowiedziala szybko.

-To moj brat Crock, wlasciwie Crockett. Naprawde jestesmy blizniakami, ale nikt tego nie zauwaza, dopoki mu nie powiemy. A to moja siostra, Holly. Od niedawna mieszkamy w Dimsdale.

-Dimsdale - powtorzyla Tamar. Usmiech zgasl na jej twarzy. - Ach, znow zapomnialam. Wy nie znacie dawnego Dimsdale, jeno to, co jest teraz. Cien nie umyka.

-Potrzasnela z zalem glowa. - Okrutny cien wciaz tam spoczywa...

Holly zebrala odwage i spytala: - Gdzie to jest, gdzie jestesmy? Dziadek i babcia nigdy nam nie mowili o nim ani o pani. - Ogarnely ja watpliwosci, czy byla dosc uprzejma, bo Crock rzucil jej gniewne spojrzenie.

-Ten dom jest tam, gdzie byl zawsze - odpowiedziala Tamar, nie podajac faktow, jakie Holly pragnela uslyszec. - Tu byl, jest i bedzie, albowiem jest z ziemi i jej darow.

Ponownie się usmiechnęła. - Dobrze mieć znowu gości i patrzeć na dziecięcą liczkę pod tym dachem. A czy to czasem nie Tomkit? - odezwała się do kota, jak gdyby oczekiwała, że jej odpowie, lecz on jedynie otworzył oczy i spojrzał na nią nieprzytomnie.

- Czy Tomkit należy do pani? - spytała Judy. - Dziadek znalazł go na wysypisku, myślał, że ktoś go tam wyrzucił.

- Tomkit jest sam sobie panem, chodzi, gdzie mu serce nakaze, robi, co trzeba - odpowiedziała Tamar. - Zaiste, dziecko, nikt nie może zwąć się właścicielem kota. Sam decyduje, czy mieszkać pod twoim dachem czy pod innym. Znam Tomkita, a i on mnie zna. Nie powiem jednak nigdy, że jest mój i mnie jest posłuszny. Ma własne życie. Żaden maz, ani niewiasta czy pachole nie mogą posiadać innego życia niż własne. Takie jest prawo boskie. Czyż Bog nie powiedział jasno: "Masz miłować wszystko co żywe. Nie pozwól, by ktokolwiek cierpiał od rak twoich, czy zamysłów niecznych. Masz z pokorą chodzić ludzkimi ścieżkami zgodnie z przykazaniem Pana. Zadowolenie poznasz przez cierpienie, przez długie lata cierpliwości i przez szlachetność umysłu i czynów. Bowiem mądrzy nigdy się nie starzeją." - Wypowiedziała te słowa z powagą, z jaką dziadek odmawiał modlitwy przy stole.

Po chwili dokonała: - I niech tak będzie.

Te ostatnie słowa rozległy się dziwnym echem po pokoju, jakby powtórzone przez innych ludzi. Jednak żadne z dzieci ich nie wymówiło, a Tomkit nie mógł tego uczynić z oczywistych przyczyn.

- Trzeba mieć prawdę w sercu - powiedziała Tamar, sięgając po stygnący garnek. Postawiła go na trzech krotkich nożkach na stole. - Inaczej wszelki wysiłek wniwecz się obróci. Zaiste, w tym syropie cała prawda będzie, gotowam przysiąc na Księgę.

Pracowała sprawnie, rozstawiając pół tuzina małych glinianych czarek na stole i nalewając do każdego równą miarkę zawartości garnca. Słodki zapach perfum, jaki panował w domku, pochodził właśnie z gęstego syropu.

- Co to? - spytała Judy. - Pachnie jak perfumy, a zarazem jak coś pysznego do jedzenia.

Tamar nie od razu jej odpowiedziała; wydawała się całkowicie skupiona na odmierzaniu równych porcji. Gdy skończyła, wrzuciła chochle do pustego garnka i westchnęła z ulgą.

- Zrobione i to dobrze! O co zesz się pytała, dziecko? To syrop z róży. Można go różnorodnie używać: do ciasteczek na przekaske, do warzenia potraw, do eliksirów odpędzających choroby. Ma też w sobie krzta dziecieliny, a ta wybornie pomaga na choroby duszy. Czasami choroby duszy cięższym brzemieniem kładą się na ludziach niż niedomogi ciała dreczące jedynie przez krótki czas przebywania na ziemskim padole.

Holly słuchała uważnie, lecz nie była pewna, czy wszystko rozumie. Tamar dziwnie wymawiała słowa, akcentując je tak, że brzmiały jakby w obcym języku.

- To wszystko zioła? - Judy wskazała na peczki zwisające z belek sufitowych. - Babcia też ma takie w szopie, ale dużo mniej.

- Twoja babka też je ma? - zdziwiła się Tamar. - Wiedź to mądra kobieta i dzięki temu droga otworzyła się przed wami. Zaiste, to wszystko, co dobra ziemia daje nam do leczenia i niesienia ulgi w cierpieniu. - Dalsze słowa intonowała śpiewnie, choć nie próbowała rymować: - Mięta, pszczeli balsam, lawenda, nagietek na skrecenia i ran zeszywanie; mięta polej, odświeży stęchłą wodę, więc mirem darzą ją zeglarze; pierwosnek do wina, by ogrzał żołądek; bazylię, tymianek i rozmaryn, ruta, tawuła, krwawnik, szalwia, portulaka, kurzyslep wszystkie one i z pół setki innych, których nazwac nie potrafię, a jeśli nawet, to dnia by nie starczyło na wymienianie. Utrzeć je można czy uwarzyć albo w miski dodać, by jadał smak podniosły, w ciasto zagnieść, w winie zanurzyć...

Uniosła ręce, jakby chciała naraz objąć wszelkie możliwości. Jej twarz jaśniała jak twarz babci, kiedy opowiadała o naprawianiu rozbitej porcelany. - Ach, tyle ich w szerokim świecie, że życia nie starczy na naukę. Nieskonczona jest dobroć ziemi, która daje ludziom takie bogactwa, a ci korzystają z nich, często zapominając o dziekczynieniu. Nie wierzą, że człek musi być jednym ze wszystkim, co rośnie, biegnie, nawet na czterech łapach, co skrzydła rozwija i dom swój czyni na niebie. Człek morduje bez myśli, drze i wykopuje bez uczucia, nie szanuje wielkich, dobrych darów. W baczności życia powinien, by mu ich nie zabrano. Zaiste, poważne to myśli, nie nadają się do goszczenia. Goszczenie to czas na ucztę i weselenie się. Chodźcie, siadźcie tu i podzielmy się chlebem i winem, jak dobrzy ludzie czynić zwyczajni.

Powiedziawszy to Tamar zgarnęła ze stołu naczynia i odstawiała je na bok. Judy próbowała jej pomóc i podniosła niewielkie pudełko. Zanim jednak przesunęła je na dalszy koniec stołu pochyliła głowę i powachała zawartość.

- Przepraszam, pani, co to za paciorki? Tak ładnie pachną. Patrz, Holly.

Odwrocila szkatuleczke tak, ze Holly mogla zobaczyc czerwobrazowe kulki wypelniajace ja do polowy. Unosil sie nad nimi silny rozany zapach.

-Ach, te - powiedziala Tamar. - To blahostki, cos dla panien mlodych do ozdoby. Choc sa tacy, co mowia, ze do grzesznego kuszenia sa wykorzystywane. To rozane paciorki. Trza zebrac kwiaty w pelnym rozkwicie, platki zetrzec w mozdierzcu. Gladka paste w kulki obtoczyc i zostawic az wyschna dobrze. Mozna je potem na nic nanizac lub jak te zostawic i w kufrze miedzy bielizna trzymac, aby zapachem przeszla. Tak samo jak to. - Z szafki wyciagnela brazowa kule, wieksza od paciorkow, rozsiewajaca wokol duzo silniejsza, korzenna won.

-Na to trzeba wziac twarde jablko albo, jesli jest pod reka, pomarancze z Hiszpanii. Wbijamy wen gozdziki tak ciasno, by zakryc cala skorke. Wtenczas owoc nie gnije, tylko dlugo tak pachnie.

Holly byla oczarowana. Obracala w dloniach twarda kule, wachajac ja raz po raz. Judy natomiast nie odrywala noska od pudelka. Crock, niezbyt tym zainteresowany, chodzil wzdluz stolu zagladajac ciekawie do naczyn i skrzynek, przygladajac sie staroswieckiej wadze, patelniom i tym podobnym przedmiotom stloczonym na jednym koncu.

-Czy robi to pani na sprzedaz? - spytal.

-Niektore tak. Inne dla wlasnego ukontentowania. - Rozstawiala na wolnym koncu stolu talerze z matowego metalu przypominajacego niezbyt dobrze wypolerowane srebro. - Wiecej jest zdrowia w tym, co rosnie w mym ogrodzie niz w walizeczce niejednego doktora.

-Babcia robi swiece ziolowe - pochwalil sie. - Sprzedaje je w sklepie ze starociami. Zaloze sie, ze dziadek chetnie by to obejrzal. - Crock patrzyl na szereg niewielkich skrzynek z drewna. Wszystkie mialy wieczka z raczkami wyrzezbionymi w ksztalcie liscia lub kwiatu. - Sa swietne; dziadek tez rzezbi.

Tamar odeszla na chwile w glab pokoju i wrocila z duzym brazowym dzbanem. Spojrzala na skrzynekczki i odwrocila wzrok. Holly pomyslala, ze zrobila to z niechecia, jakby cos sie jej w nich nie podobalo. A moze to Crock byl zbyt wscibski.

-Zaiste, chlopcze, wielu mezczyzn dobrze sobie radzi z nozem i kawalkiem drewna. Dobra to rzecz umiec zrobic cos przydatnego, jeszcze lepsza, jesli i oko moze sie tym nacieszyc. Jednak nie wszyscy sie z tym zgoda.

-Bardzo mi sie podobalo - ciagnal dalej Crock o wiele bardziej rozmowny niz zwykle - co pani powiedziala o kochaniu wszystkiego, co istnieje w przyrodzie, ze nie wolno tego niszczyć. Dziadek uwaza tak samo. Zmusza ludzi, zeby tak wysypywali smieci, ze mozna je zakryc i zeby niczego nie niszczyły. Potem sadzi na nich drzewa.

-Drzewa! - Tamar przygladala mu sie z uwaga. - Jakie drzewa?

-Mlode sosny i wierzby, te, ktore moze przesadzic z miejsca budowy autostrady na drugim koncu miasta. Pokazywal mi je. On takze sieje zoledzie. - Crock usmiechnal sie szeroko. - Oczywiscie, powiedzial, ze minie wiele lat zanim z nich cos wyrosnie.

-Deby. - Tamar pokiwala glowa. - Deby, mocarne drzewa. Powinien tez sprobowac z jesionem i wiazem. Wiaz to najlepsza oslona przed ciemnymi mocami. A babcia? - Spojrzala na Judy, a w jej glosie slychac bylo nieco ostrzejsza nute. - Czy ona takze cos sadzi?

-Chyba tak. Ma przeciez te wszystkie ziola. Gdzies musza rosnac, prawda?

-Jasne, tez je uprawia. Musi. Jezeli dobrze sie z nimi obchodzic, potrafi wypedzic chorobe. Dam ci cos, co cudownie dziala: bazylie, slaz, glog, czarny ciemiernik...

-Ale - Holly wtracila sie glosniej - nie mozemy tego teraz wysadzac... tam. - Nie byla juz pewna, gdzie wlasciwie jest stodola. - Teraz jest jesien, zimno. Nic nie wyrosnie.

Spojrzenie Tamar spoczelo na oczach dziewczynki i przez chwile nie odrywaly od siebie wzroku. Holly chciala sie z tego wyzwolic, lecz nie mogla. Na twarzy Tamar znow pojawil sie ten dziwny wyraz, jakby wcale nie patrzyla na nia, lecz w nia. Byl to tak dziwaczny pomysl, ze Holly ponownie poczula nieprzeparta chec ucieczki z tego domu, przez labirynt, w bezpieczne miejsce.

I znow Tamar powoli pokiwala glowa. - Wiec to tak...

-Mowila bardziej do siebie niz do nich. - Czas wije sie jak spirala, zwoj za zwojem, niczym waz w swym gniezdzie.

-Brzmialo to jak jakies dawne przyslowie. Nagle niezwykla chwila minela. - Doprawdy, dostaniecie nasiona i klacza. Sa sposoby. Spytajcie wasza dobra babcie. Madra kobieta bedzie wiedziala co uczynic. Teraz siadajcie i spozywajcie dary natury. To nic takiego: ciasto, pszczele bogactwa i jablecznik.

Wsuneli sie na lawe z jednej strony stolu i skosztowali kruszacych sie kawalkow pieczywa, ktore Tamar polozyla na talerzach, obficie polewajac miodem. Napelnila male kubeczki plynem z wysokiego dzbana i stala usmiechnieta, przygladajac sie jak jedza.

-Co jeszcze pani robi oprócz rozanych paciorkow? - spytala Judy.

-Co robie? Pol dnia nie starczy, zeby o wszystkim opowiedziec - rozesmiala sie. - Mieszam lecznicze proszki i masci, dodatki do pozywienia. Robie lubczyk dla kawalerow, zeby panny ich chcialy...

-Lubczyk? - przerwala jej Judy. - To brzmi zabawnie. Co to wlasciwie jest?

-Taka ozdoba, rozumiesz? Kazdy kwiat i kazdy lisc ma swoje znaczenie dla wtajemniczonych, takoz i zapach. Jak zrobic wiazanke? Wziac trzeba dziesięć składników - lodyzek, lisci i razem powiazac. Jesli z kwiatkow, naprzod trzeba pomyslec, co sie chce przekazac. Kawaler zostawia taka wiazke na progu panny, a jesli ta mu sprzyja, przypnie ja do chusty. Sa jednak i tacy, co marszcza sie na te zwyczaje, ze niby prozne i dla lekkoglowych jedynie przeznaczone.

Tamar westchnela nagle. - Zaiste, to prawda, ze kto szuka ciemnych mysli i wszeteczenstwa, zawsze je znajdzie. Taki to i słońce zacmic potrafi, narzekajac, ze zbyt wesolo swieci. Nie wierzy, ze i w smiechu, i swietle dobro znalezc mozna. I...

Lawenda blekitna, dilly, dilly!

Lawenda zielona...

To byla piosenka Tamar, lecz tym razem spiewana meskim glosem dochodzacym spoza domu. Na moment Tamar zamarla bez ruchu. Holly miala wrazenie, ze sie przestraszyla, czy tez bardzo zmieszala. Potem jednak zapanowala nad soba, jakby miala stawic czolo czemuś bardzo trudnemu. Widywala juz mame w podobnej sytuacji - kiedy oprowadzala po domu przyszlych lokatorow.

Kiedy Tamar ponownie spojrzala na dzieci, uniosla palec do warg. Zrozumialy ten gest i skinely glowami. Dopiero wtedy szybko wyszla do ogrodu.

Holly zsunela sie z lawy. Nie wiedziala, kto zblizal sie do domu, ale musiala sie tego dowiedziec. Judy usilowala zlapac ja za rekaw, jednak znalazla sie pod oknem, skad mogla zobaczyc, co sie dzieje.

Tamar juz wyszla przed prog. Sciezka od ogrodu zblizal sie chlopiec.

Ubrany byl w skorzane spodenki siegajace do kolan, grube skarpety i wielkie buty z klamrami. Biala koszula miala szerokie rekawy sciagniete w nadgarstkach i rozpiety kolnierz. Dlugie wlosy opadaly mu na ramiona. Mial twarz ogorzala od slonca. W rece trzymal pek lisci przewiazanych trawa.

-Dobry dzien, panno Tamar.

-Dobry dzien, paniczu Elkins. - Jej glos nie brzmial zbyt uprzejmie. Nie usmiechnela sie. Usmiech zniknal takze z jego twarzy. Rzucal ciekawe spojrzenia na dom, jakby spodziewal sie, ze jest w nim ktos obcy.

-Paniczu Elkins - powtorzyl. - Jesteśmy zatem nieprzyjaciolmi?

-Paniczu Elkins, dobrze wiecie, ze miedzy nami nie moze byc przyjazni ani nieprzyjazni. Czy zaprawde chcecie zeslac zly los na kogos, kto nigdy wam zle nie zyczyl?

-Czyz mozna wyrzadzic komus zlo, odwiedzajac go w przyjaznych zamiarach? Mam tu to, co... - poruszył pekiem lisci.

-Zsyłasz zły los, nawet kiedy wyciągasz przyjazną dłoń. Zareczony mężczyzna nie odwiedza innych domów.

-To kłamstwo! Nie jestem zareczony.

-Powiedz to wiec panu Dimsdale, ktory rzecze, iz jego cora Patience juz szykuje wiano.

-To, co ojciec moj obiecal w moim imieniu, mnie samego nie wiazal! - krzyknal gwałtownie.

-Dobrze znacie prawo. Nieposłuszny syn bac sie musi postronka na szyi. Nie dbam o to, jakie nieszczęście zamiarujecie na własna głowe sciagnac...

-Ostry wasz język, panno. Przyczyna tego jasna. Nikt nie chadza tu w zaloty, dlatego chcesz...

-Chce, zeby nikt nigdy nie mowil o czarach rzucanych na mnie czy przeze mnie - przerwala mu ostro. - Jesli zaprawde przyjazne twe intencje, nie sprowadzalbys niebezpieczenstwa ze soba.

-Czary! - Cofnal sie o krok.

-Tak i raz jeszcze tak! Madra niewiasta zawsze sie musi o to bac. Malo tu takich, co zawsze gotowi sa wstac i rzucic oskarzenie? Pomyslcie o tym, paniczu Elkins. Dobrze sie nad tym zastanowcie!

Rzucil liscie pod jej nogi.

-Babskie gadanie!

-Mowcie co chcecie, niech i tak bedzie. Ale opuscicie te zagrode w pokoju...

-Seth!

Slyszac swe imie, mlodzieniec odwrocil sie szybko. Zza domu wyszla nieznajoma kobieta. Stanela patrzac to na Tamar, to na Setha z usmiechem. Holly poczula dreszcz na plecach - nie byl to rodzaj usmiechu, ktory wrozyl cos dobrego. Nowo przybyla ubrana byla podobnie jak Tamar, lecz jej spodnice zdawaly sie utkane z delikatniejszego materialu, fartuch byl bialy, czepek zas ozdobiony waska koronka tak jak i szeroki kolnierz na ramionach. Miala szczupla twarz z cienkimi wargami i dlugi, ostry nos. Sciagniete pod czepek wlosy mialy piaskowo rudy odcien. Jej rzesy i brwi byly tak jasne, ze ledwo widzialne, a w malutkich oczach czaila sie zlosliwosc.

-Dobry dzien, Goody - zwrocila sie do Tamar. - Widze, ze jestes zajeta, chyba wiec przyjde innym razem.

-Trudno o lepszy moment na wizyte, panno Patience.

-Tamar wygladala na spokojna i glos jej nie drzal. - To panicz Elkins musi zajac sie swoimi sprawami.

-Swymi sprawami? - powtorzyla Patience. - Wydaje sie, ze ma ich sporo. Niektore z nich wielce tajemnicze.

-Zasmiala sie sucho.

Seth Elkins wydal z siebie jakis gniewny okrzyk, obrocil sie na piecie i ruszyl wielkimi krokami przez ogrod, zaciskajac dlonie w piesci.

Patrzac za nim, Patience powiedziala: - Niebezpieczne gry prowadzisz, Goody.

-W zadne gry sie nie mieszam. Nie zapraszam wszystkich, co goszcza w moich progach. Wszyscy o tym wiedza.

-Doprawdy? Slyszelismy wiele opowiesci o zadawaniu sie z mocami ciemnymi, Goody, i o tym, co potrafi kobieta, gdy mezczyzna do gustu jej przypadnie...

-Owszem, wiele jest takich - zgodzila sie Tamar. - Jednak glownie to prozne gadanie. Wszyscy wiedza, ze zajmuje sie jeno leczeniem ludzi i stworzen, ulge im czyniac nie zas szkodzi. Nie raz dawalam tego dowod.

-Prawda. - Patience pokiwala glowa, lecz na jej twarzy pojawila sie grozba. - A ja tu stoje i przeszkadzam ci w tych niewinnych zajeciach, Goody. Przygotowalas li miete? Ojciec ma do niej upodobanie. Mowi, ze lagodzi niepokoj zoladka po obfitym posilku.

-Mam ja. - Tamar odwrocila sie, zeby wejsc do domu i zawahala nagle. Holly widziala, ze jest niespokojna. Czyzby dlatego, ze oni byli w srodku?

Obejrzala sie na stol, skad wpatrywali sie w nia Judy i Crock. Gestami nakazala im sie schowac. Judy wygladala na zdumiona, lecz Crock zlupal siostrze za reke, zaciagnal na koniec pokoju, gdzie pod sciana stalo lozko. Wepchnal pod nie Judy i sam sie tam wcisnal. Holly chciala do nich dolaczyc, a kiedy przemykala obok stolu, stracila jeden z talerzy, ktory z brzekiem spadl na podloge.

Chciala zabrac kurtke zostawiona przez Judy na lawie, ale nie bylo juz na to czasu. W ostatniej chwili wsunela sie obok

Crocka.

-Glupia! - szepnal jej do ucha.

-A ktoz to jeszcze odwiedzil cie dzisiaj, Goody? - Wyraznie uslyszeli glos Patience.

-Nikt.

-Nikt, powiadasz? Czy nikt moze nosic taka kapote? Zielona. Nie wiemy czasem, jakie to stworzenia nosza sie na zielono? Wiele powiesci o nich mowi.

-Moze gdzies w zamorskich krajach, ale tu nie przychodza - odpowiedziala Tamar.

-Wiec ktoz to pozostawil zielona kapote? Z dziwnej materii uszyta. Przysiac moze, ze nie pochodzi z uczciwego tkania. Sama spojrz, Goody, tez tak bedziesz przysiegac. Nie uszyto jej dla smiertelnika, zbyt mala na nas. Zabiore ja, zeby inni obaczyli...

-Nic z tego! - Zanim Crock lub Holly zdazyli ja powstrzymac, Judy wytoczyła sie spod lozka. Zerwała sie na nogi, podbiegła do Patience i zaczęła wrywać kurtkę z jej ręk. - Oddaj mi to! To moje! Mama mi to kupiła...

-Judy! - krzyknęła rozpaczliwie Holly.

Patience wycofała sie pod sciane, wpatrując sie w Judy, jakby ta była jakimś dzikim zwierzęciem. Krzyknęła na widok Holly i pusiła kurtkę, która Judy natychmiast pochwyciła, rzucając jej groźne spojrzenia.

-Ty złodziejko! - oskarżyła ja.

-Diabelki, szatanskie sluzki! - Patience przesuwala sie bokiem w kierunku drzwi. - Nie czyniecie mi nic zlego! Chrzczona jestem chrzescijanska. Nie mozecie mi...

Nie spuszczaając ich z oka, dotarla do wyjścia i uciekla.

-Nie! - Judy wygladala na przerazona i sprawiala wrazenie, ze zaraz sie rozplacze. - Nie jestem zadna sluzka szatana!

Holly objela ja ramieniem. - Oczywiscie, ze nie. To jedza. Chyba bedzie lepiej, jak stad pojedziemy.

Crock podszedl do nich. - A to klopot, prawdziwy klopot - powiedzial. - I co teraz pani robi? - spytal Tamar.

-Czy napytalismy pani biedy? - spytala Holly. - Jezeli zaraz znikniemy, moze pani powiedziec, ze Patience wymyslila historie o nas, prawda?

-Kiedy juz stalo sie najgorsze! - Na twarzy Tamar nie bylo cienia zaklopotania, czy leku. - Zrobie, co nalezy i zrobie dobrze - powiedziala. W jej glosie brzmiala pewnosc siebie. Holly jednak nie dala sie przekonac i miala wyrzuty sumienia.

-Lepiej chodmy juz - nalegal Crock. - Jezeli ta Patience kogos tu sprowadzi... my nie nalezy do tego swiata. Od razu to poznaja.

-Tak, najlepiej odejdzie juz - zgodzila sie Tamar. - Ale nie bez tego, po co tu przybyliscie.

Podeszla do polki na scianie.

-Po nic tu nie przyszlismy - zaprotestowala Holly. Judy miala sen i nas zmusila, po prostu szlismy za nia...

-Trzeba sluchac snow, moja panno. Nadchodza, bo tak bylo pisane. Wezcie to ze soba, wysiejcie i dogladajcie, wysiejcie i dogladajcie tak, jak wasza babcia doradzi. - Napelniła mały mieszek z grubej tkaniny paczuszkami i wiązankami suchych korzeni. - Spirala czasu was tu sprowadzila, spirala czasu rozwiaze klopoty. Dluugo i cierpliwie trza czekac. - Przez chwile wygladala na zmeczona i nieszczesliwa. Potem cien opuscil jej twarz i znow poruszala sie szybko i wesolo. - Nawet czas ma swoj kres. Tomkit, zbudz sie, dla ciebie tez wszystko sie powtorzy.

Tomkit zeskoczyl lekko z krzesla, przeciagnal sie i podreptal do drzwi. Tamar stala obok nich promiennie usmiechnieta.

-Czy jeszcze pania zobaczymy? - Judy opierala sie popedzajacej ja Holly.

-Co ma byc to bedzie. Kazda rzecz ma swoja pore. Mile spotkanie, mile rozstanie i badzcie blogoslawieni.

Uniosła rękę i wykonała jakiś gest w powietrzu. Holly widziała, że nie było to machnięcie na pożegnanie, lecz musiało mieć inne znaczenie. Wyszli za Tomkitem. Na skraju labiryntu, bez słowa, zatrzymali się raz jeszcze i obejrzeni za siebie. Wszystko wyglądało tak spokojnie w blasku słońca. Nie było śladu Tamar. Holly miała jednak złe przeczucia. Narobili niezłego bigosu pozwalając, by Patience ich zobaczyła. Co teraz będzie z Tamar?

Crock pociągnął ją za rękę. - Lepiej zmykajmy, zanim ktoś jeszcze nas zobaczy.

Kiedy zielone ściany labiryntu zamknęły się wokół nich, Holly próbowała zebrać myśli.

-Nie jesteśmy na tym samym świecie - powiedziała.

-Nie w tym samym czasie - poprawił ją Crock. - Kiedyś jeden facet przyszedł do szkoły na zebranie kolka fizyków i opowiadał nam o czasie. Mówił, że niektórzy ludzie wierzą, że można wyjść ze swojego czasu.

-Czy... czy będziemy mogli wrócić? - spytała Judy drzącym ze strachu głosem. - Czy możemy wrócić do stodoły, do mamy, babci i dziadka?

Zaczęła biec. Musieli ją gonić, wyprzedzając szary cień Tomkita zwinnie sunący po ścieżce. W prawo, w lewo, naprzód, do tyłu, droga wydawała się jeszcze bardziej skomplikowana niż za pierwszym razem.

Holly rozdarła bok kurtki. Słyszała jak Judy biegnąc przodem krzyczy "mamo, mamo" z takim przerażeniem, że chętnie by ją naśladowała, gdyby nie była przekonana, że to nic nie da.

Zielone ściany traciły stopniowo swoją soczystą barwę. Zadyszeli się, bieg przeszedł w szybki marsz. Robiło się coraz chłodniej. Holly założyła kurtkę i zmusiła Judy, żeby zrobiła to samo. Liście zniknęły z gałęzi i wybiegli na otwartą przestrzeń. W oddali ujrzeli dach stodoły.

Dopiero na ten widok Holly poczuła, że strach ją opuścił. Udalo im się powrócić! Nie było już żywoplotowych kotów, ani nawet śladów po wejściu. Jedyną gestą ściana krzewów, przez którą nawet ktoś tak mały i zwinny jak Tomkit nie mógłby się przecisnąć.

-To się nigdy nie zdarzyło - powiedziała.

-I niech tak zostanie - poparł ją Crock. - Słyszałaś Judy? Niech nikt nie pusi pary z gęby na ten temat. I tak nikt nam nie uwierzy.

-Ale mamy to. - Holly wskazała woreczek w ręce Judy. - Te nasiona i korzenie do zasadzenia.

-Wyrzuc je! - rozkazał.

-Nie! - Judy ożywiła się. - Tamar kazała je wysadzić, więc tak zrobimy. Tyle chyba możemy. - Mocniej scisnąwszy woreczek ruszyła w stronę domu.

Holly spojrzała na brata i wzruszyła ramionami. Oboje dobrze wiedzieli, że spieranie się z nią w tej chwili jest bez sensu. Lepiej zastanowić się jak wytłumaczyć, skąd się wzięły te nasiona, nie wyjawiając całej prawdy.

VI

Pierwszy siew

Holly spojrzała na Crocka. - Co powiemy babci, jeśli Judy jej to pokaze? Kopnął bryłkę zmarzniętego błota. - Nie mam pojęcia.

-A Tamar? Co się z nią stanie? Ten Seth Elkins też wyglądał na wściekłego na nią. - Holly pokrótce opowiedziała bratu, co udało się jej dostrzec przez okno. - Teraz mogą ją uznać za wiedźmę. Patience przecież nas widziała.

Crock spojrzał na nią. - To się działo w innym czasie. Cokolwiek się wydarzyło, to teraz historia. - Nie wyglądał jednak na zbyt pocieszony tym faktem. Tamar była prawdziwa. Nie mogła być postacią ze snu czy z dawnych czasów.

-Pamiętasz, co powiedziała pani Pigot? - Holly próbowała poskładać wszystko w jakąś całość. - Mówiła, że dawno temu czarownica rzuciła kłatwę na Dimsdale. Ale przecież Tamar...

Cos tu nie grało. Holly była absolutnie przekonana, że Tamar nie mogłaby mieć złych zamiarów.

-Ona nie mogłaby być wiedźmą rzucająca klątwy na ludzi! Chociaż ta Patience była z rodziny Dimsdale'ów.

-Skąd to wiesz?

Jeszcze raz opowiedziała mu o rozmowie w ogrodzie.

-Więc ten Seth Elkins był zareczony z Patience Dimsdale, ale przyszedł odwiedzić Tamar i przyniósł jej prezent - powtórzył powoli.

Holly potrząsnęła głową. - Nie sądzę, żeby tak było. On też był wściekły na Tamar. Zupełnie jakby ona chciała go przed czymś powstrzymać, jakby to nie ją przyszedł zobaczyć.

-Ale tylko ona tam była - wskazał Crock. - Mieszkała tam sama.

-Tak, tyle, że on nie sprawiał wrażenia, że lubi Tamar. Och, wszystko mi się już miesza. Crock, czy my kiedykolwiek dowiemy się, co się stało? Nie chce, żeby Tamar spotkała jakas krzywdę.

-Jeżeli to wszystko zdarzyło się naprawdę - powiedział - i to dawno temu, może przeczytamy o tym w jakiejś książce, pamiętniku czy czymś takim. W poniedziałek idziesz z klasą do biblioteki, prawda? Babcia zawsze powtarza, że panna Noyes interesuje się historią tych okolic.

Crock potrafił myśleć logicznie, choć Holly często nie mogła się z tym pogodzić. Teraz chciała się dowiedzieć, czy ma pomysł na skuteczne ucieszenie Judy.

-Tylko nic jej nie nakazuj - powiedział. - Zawsze kiedy jej mówisz, co ma robić, tym większą ma ochotę na zrobienie czegoś dokładnie przeciwnego. Sam to załatwie. Puscil się biegiem, żeby dogonić Judy. Holly obejrzała się za siebie. Nic tylko ściana splatanych gałęzi. Ani śladu wejścia, kotów i ścieżki wiodącej do domku Tamar. Czy wewnątrz naprawdę panowało lato? Westchnęła. Czy to możliwe zostać złapanym przez czas i zamkniętym w jakimś okresie jak w pokoju, w którym niewidzialna reka przekreśliła klucz? Czy Tamar nie mogłaby wyjść ze swojego czasu, tak jak oni weszli w jej? I co poduszka ma z tym wspólnego? Dźwięk gongu przestraszył ją aż podskoczyła. Gong babuni! Oznaczało to, że już pora kolacji, czas siadać do stołu. Odwróciwszy się od tajemniczej gestwiny, Holly biegiem ruszyła do domu.

Tuż za drzwiami natknęła się na Crocka zdejmującego kurtkę. Razem poszli do umywalki. Judy gdzieś się zapodziała, a babcia krzelała się przy piecu odwrócona tyłem do nich.

-Judy? - Holly wypowiedziała to niemal samymi wargami.

Crock zdecydowanie kiwał głową, co musiało oznaczać, że udało mu się przekonać siostrę bliźniaczkę, żeby nic nie mówiła o dzisiejszych wydarzeniach. Przynajmniej na razie. Nie zdołał jednak powstrzymać jej od zadania niespodziewanego pytania przy stole.

-Babciu, jak zimą utrzymujesz przy życiu swoje rośliny?

Holly załowała, że nie jest wystarczająco blisko siostry, żeby ją kopnąć pod stołem. Rozdzielał je Crock. Rzuciła więc tylko spojrzenie pełne złości, ale Judy albo go nie dostrzegła, albo nie chciała dostrzec.

-No cóż, większość z nich sama potrafi zadbać o siebie w tym czasie. Niektóre, te delikatniejsze, nie znoszą mrozów. Przenoszę je do dużej szopy, gdzie Luther ma swój warsztat. Tam jest piecyk, który odpedza mroz. Zrobiłam tam sobie własny zimowy ogródek. Jak zjecie, możecie go obejrzeć.

Judy podziękowała z ustami wypełnionymi jednym z babcinych gulaszy, a Holly odetchnęła z ulgą. Najwyraźniej argumenty Crocka dotarły do Judy. Będzie można gdzieś schować woreczek, żeby babcia go nie znalazła, a wiosną wysieją rośliny Tamar. Odpłynęła się i pierwszy raz poczuła smak jedzenia w ustach.

-Dziadku - zanim Holly zwierzyła niebezpieczeństwo, Judy znów się odezwała. - Ci Dimsdale'owie, dawni właściciele, mieszkali tu od dawien dawna, prawda?

-Słyszałem, że byli tu zanim jeszcze założono miasto. - Dziadek obficie smarował dżemem kromkę chleba. - Lepiej zapytaj babci. To ona wysłuchiwała opowieści starej panny Elvery. Panna Elvery była przeszłością. Pamiętam, jak raz przyszła do nas ubrana do wyjścia, kazała mi zaprzęgać konia do powozu i zawieźć się na jakieś przyjęcie w miasteczku. Jej powóz był wówczas od dawna polamany, a i konie pozdychały. Ludzie, o których mówiła, leżeli na cmentarzu. Jej jednak wydawało się, że dopiero co ją zaprosili i czekają na nią. Babcia potrzebowała ponad godziny, żeby ją namówić na powrót do domu. Nigdy jednak nie udało się jej wytłumaczyć, w jakich czasach żyje. W całym domu nie było ani jednego zegara.

Mawiała, że to przez nie czas przemija, a bez nich zachowa wieczna młodość.

Odgryzł spory kęs i pokiwał głową. - Coś w tym musi być. Czas to dziwna sprawa. Jeśli robisz coś przyjemnego, pedzi jak jeden z tych samolotów, które mogą oblecieć cały świat w jeden dzień. Ale jeżeli musisz zrobić coś, na co nie masz najmniejszej ochoty, wtedy ciągnie się w nieskończoność.

Holly przestała jeść i uważnie słuchała słów dziadka. Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad czasem. Oczywiście, stało o nim mówiono "już na to za późno", "będziemy za wcześnie" czy "pośpiesz się, nie mamy za wiele czasu". Ludzie nieustannie powtarzali takie rzeczy, ale to, co mówił dziadek, było prawdą. Jeśli robiło się coś z przyjemnością, czas uciekał, a przy nudnych zajęciach wlokło się bez końca.

-Ale pytałaś przecież, czy Dimsdale'owie są tu od dawna? Miłczy, pamiętasz jak twoja babcia opowiadała długie historie o nich i pechu, który ich przesładował?

-Dlaczego mieli pecha? - spytała Holly.

-To dopiero jest pytanie. - Babcia odsunęła krzesło, jakby zamierzała odbyć kolejną szybką przechadzkę do pieca po dokładki, ale tym razem nie wstała. - Panna Elvery - nie było od niej miłszej kobiety na ziemi! Zrobiłaby wszystko dla każdego biedaka w potrzebie. Jednak, kiedy próbowała zrobić coś dla siebie, zawsze się to obracało przeciw niej. Ostatnią rzeczą, na którą dała się nabrać, było kupienie akcji kolei żelaznych od oszusta. Całkiem zbankrutowała. Złamała się zupełnie. Mówiła, że to przez te kłatwe rzucona na Dimsdale'ów i wszystkich, w których żyłach płynie choć kapka ich krwi. Wtedy zaczęła się rozsypywać, biedna staruszka. Zbyt wiele rozmyślała o niedolach, jakie ją w życiu spotkały.

-Na czym polegała ta kłatwa? - Holly nie wierzyła, że to pytanie ją zagniewa.

-To głupie gadanie, dziecko. Ludzie, kiedy nie wiedzą wszystkiego, lubią wymyślać różne rzeczy. Biedna panna Elvery była tak przytłoczona swymi kłopotami, że nic dziwnego, że uwierzyła, że sam Pan Bog odwrócił się od niej. Ale oczywiście to bzdura. Najlepiej jeśli wszystko usłyszycie ode mnie - ludzie ciągle jeszcze o tym gadają i mogą pomieszać wam w głowach.

Kiedys panna Elvery pokazała mi starą książkę tak zniszczoną, że ledwie dawała się odcyfrować. Napisano ją ręcznie, jakimis dziwnymi literami tak wyblakłymi, że trzeba było używać lupy, żeby je odcyfrować. Był to pamiętnik człowieka, który kiedys tu mieszkał. Zapisywał najrozniejsze rzeczy: ile zapłacił za to, co kupił, czym obsiał pola, jakie były zniwa, a prócz tego różne kawałki o swojej rodzinie i sobie samym. Takie tam informacje, kto się urodził, kto umarł.

To był twardy facet, nazywał się Sexton Dimsdale, ciężka reka rządził wszystkimi, którzy mu podlegali. W owych czasach pan domu miał wielką władzę nad domownikami. Mogł robić, co chciał i nikt nie śmiał mu się sprzeciwić, szczególnie zaś kobiety. Wtedy kobiety nie miały wiele do powiedzenia. Miały dbać o dom, karmić i odziewać rodzinę i nic więcej. Tacy mężczyźni jak ten Sexton Dimsdale nigdy nie przejmowali się ich losem.

Sexton był zachłanny na ziemię, chciał jej mieć coraz więcej. Wybudował większy dom, tę stodołę, zwłaszcza ta część z kominkiem, była jego pierwszym domem, ale szybko przestała mu wystarczać. Był mu potrzebny wielki dom, taki, żeby zadziwić całe miasteczko. Sprowadził architekta z samej Anglii, żeby zaprojektował ten dom i ogród. Nie, żeby lubił rośliny - wszystko było na pokaz. Ten człowiek przywoził ze sobą krewną. Miał umowę z panem Dimsdale, że dostanie kawałek ziemi jako część zapłaty za swą pracę.

To była legalna umowa na piśmie. Umarł jednak, zanim zdolał dokończyć ogród. Wówczas pan Dimsdale próbował różnych kruczków prawnych, żeby ziemię odzyskać. Jednak sędzia się temu przeciwstawił. Pochodził z Pigotów i nigdy nie przepadał za sobą. Pan Dimsdale musiał zostawić w spokoju tę ziemię wraz z małym domkiem wybudowanym przez architekta. Mieszkała w nim ta krewna, a właściwie córka, która była świetną ogrodniczką. Potrafiła też leczyć, bo doskonale знаła się na ziołach. Ludzie z Sussex najpierw zwracali się do niej po pomoc, a ewentualnie później wzywali doktora. Była skromna, nikomu się nie narzucała i ludzie ją lubili.

Tylko pan Dimsdale rozmyślał o tym, że ona żyje na ziemi, która jego zdaniem, prawnie jemu się należała i czuł, jak narasta w nim złość. Sam miał córkę, która nie należała do zbyt urodziwych, a że wszyscy jego synowie poumierali na gorączkę, więc nikt oprócz niej mu nie pozostał. Szukał dla niej meza godnego Dimsdale'ów. Miał takiego bzika na punkcie swej rodziny, że pysznił się jak lord ze Starego Kraju.

Elskinowie byli drugą rodziną Sussex. Mieli prawie tyle samo ziemi co Dimsdale'owie i też byli kupcami. Dobrze zarabiali, handlując z Indianami. Mieli syna i to jego właśnie stary Dimsdale upatrzył sobie na zięcia. W dawnych czasach ludzie inaczej podchodzili do małżeństwa. Nawet jeżeli syn czy córka byli dorośli i mieli już własne rodziny, słowo ojca było dla nich święte. Kiedys pani Noyes pokazała mi stary kodeks prawa, napisano tam czarno na białym, że gdy chłopak nie

poslucha woli ojca, to grozi mu stryzynek! Pomyslcie sobie - stryzynek!

Coz, ten syn Elskinow nie mial wielkiej ochoty zenic sie z corka starego Sextona, ale niewiele mial do powiedzenia, bo jego ojciec postanowil o tym za niego. Jednak w tajemnicy chlopak odwiedzal zielarke, a Dimsdale o tym sie dowiedzial. Wtedy nie bylo trudno oskarzyc o czary kobiete, ktora znala sie na ziolach, leczyla ludzi i zyła sama. Nikt sie za taka nie wstawial.

Babcia przerwala. Holly oparla sie na lokciach.

-Co sie stalo potem?

-Wlasnie od tego momentu w ksiazce panny Elvery wszystko zaczyna sie mieszac. W noc przed Wszystkimi Swietymi, kiedy lek przed wiedzmami jest najsilniejszy, Dimsdale zebrał wszystkich swych ludzi, zeby dopasc czarownicy przy odprawianiu gusel. Potem chcial ja spalic z calym domem.

-Nie! - krzyknela przerazliwie Judy, az wszyscy sie wzdrygneli.

Babcia zaniepokoiła sie nie na zarty. - Znow mnie ponioslo. Bajdurze o dawnych sprawach, o ktorych juz dawno powinnam zapomniec. To nie jest odpowiednia historia dla dzieci.

-Powiedz babciu, ze nie spalili tej czarownicy - domagala sie Judy. - Powiedz, ze tego nie zrobili!

-Nie, nie spalili jej. To bardzo dziwna sprawa. Owszem, poszli do niej z tym zamiarem. Wtedy stalo sie cos bardzo tajemniczego. Jakies zywe diabelskie stworzenia wyskoczily z domku i wszyscy uciekli. Kiedy nastepnego dnia zebraли odwage, zeby tam wrocic, niczego nie znalezli - i dom, i czarownica znikneli. Wiedzma rzucila klatwe na starego Sextona Dimsdale, zanim diabły ja ocalily. Klatwa miala dzialac az jego rod wygasnie. Powiedziala, ze stopniowo zniszczy wszystko, co bylo dla nich cenne i nikt z rodziny nie zazna spokoju.

-Czy tak wlasnie sie stalo? - spytal Crock.

-Chyba tak. Zly los nie uderzyl w Dimsdale'ow tylko raz i mocno, pech przesladowal ich przez caly czas, powoli niszczac rodzine. Ziemia obracala sie w ugor, przestala dawac plony. Klatwa dzialala. Panna Elvery chciala oddac te stara ksiazke wielebnemu Burnsowi. Mawiala, ze to z woli boskiej nienawisc, jaka zasial stary Sexton, zaowocowala.

Nigdy jednak tego nie zrobila i ksiazka splonela w pozarze. Panna Elvery cale zycie starala sie okupic winy swoja dobrocia. Kiedy umierala, powiedziala mi cos, czego w zyciu nie zapomne - jezeli sie cos zniszczy, mozna to odbudowac, ale trzeba na to wiele czasu. Lecz gdy sie to uda, wszystko zostanie naprawione. Biedna pani, sama bardzo sie starala.

-Ale nie zlapali czarownicy? - Judy chciala miec absolutna pewnosc.

-Wedlug tej starej ksiazki, nie. Tylko, ze jak to mozliwe, zeby i dom, i kobieta znikneli w ten sposob. Wydaje sie, ze stary Sexton nie napisal calej prawdy, sama nie wiem. Ale my tu gadu, gadu, a czas ucieka. Wasza mama przyjedzie autobusem o drugiej. Luther, zbieraj sie i jedzcie po nia.

-Mam zaladowana ciezarowke - zaprotestowal dziadek. Nie mial szczesliwej miny. - Nie bedzie miejsca.

Holly od razu domyslila sie, o co mu chodzi: nie ma dla nich miejsca. Przez moment miala ochote urzadzic scene, ale zobaczyla jak babcia na nia patrzy i uznala, ze nie czas na dzieciace humory.

-To moze chociaz Judy sie zmiesci, a Crock pojedzie z tylu.

-Nie. - Ku jej calkowitemu zaskoczeniu Judy zareagowala najrozsadniej. - Mama bedzie zmeczona. Jesli pojedzie, bede musiala siedziec jej na kolanach. Nie chce, zeby sie meczyla. Zostaniemy.

Babcia usmiechnela sie promiennie. - To swietnie. Mozecie mi tu pomoc. Dzis rano calkiem niezle wiodlo mi sie z tym rozbitym posazkiem. Dzieki temu, ze pozmywalyscie, nie mialam niczym zaprzatnietej glowy i moglam sie skupic na sklejanu. Chcialabym jeszcze nad nia pracowac.

Tak wiec Holly zabrala sie za zmywanie i robila to tak starannie jak w domu, majac cicha nadzieje, ze babcia dostrzeze jej wysilki. Babcia natomiast rozlozyla szczatki statuetki na stole i tak energicznie poprawila okulary na nosie, ze Holly miala wrazenie, iz minie sporo czasu, zanim odwaza sie ponownie zsunac.

Miala ochote przygladac sie pracy babci, ale balala sie przeszkadzac. Ludzie czesto nie lubia, gdy ktos ich obserwuje, kiedy

sa skupieni na pracy. W dodatku Judy, powiesiwszy scierke, wskazala ruchem glowy na drzwi.

-Wychodzimy, babciu - powiedziala Holly.

-Dobrze. Tylko sie nie zgubcie.

Tomkit podniosl sie ze strzepu starego dywaniku rozlozonego przed paleniskiem i poszedl za nimi. Wychodzac Holly zauwazyla, ze Judy trzyma woreczek, ktory dostala od Tamar.

-Babcia wspomniala o szopie z warsztatem - powiedziala. - To tamta.

Szopa wlasciwie byla przybudowka stodoly, ale jedyne wejscie miala z zewnatrz. Pachniala klejem, farba i olejem, a jeden jej bok w calosci zajmowal solidny stol roboczy z rzedami narzedzi starannie zawieszonych na scianie. Szope dzielilo czesciowe przepierzenie zbite z trzech drzwi, za ktorym miescil sie babciny ogrod zimowy. Na podlodze, polkach i stole tez zrobionym z drzwi polozonych na stojakach, tloczyly sie doniczki z roslinami. Na scianach wisialy male, ciasno powiazane woreczki.

Judy opadla na kolana, zeby zajrzec do ciemnej jamy pod stolem.

-Same puste doniczki - oznajmila i zaczela je wyciagac.

Holly przypomniala sobie, jak mama przesadzala fiolki alpejskie.

-Nie mamy podloza kwiatowego - powiedziala.

Judy przysiadla na pietach. - Powinny rosnac w ziemi, zwyklej ziemi z Dimsdale. Musimy jej nakopac. Wez lopatke i kosz, ktory stoi za toba.

W spokojnej pewnosci siebie Judy bylo cos, co kazalo Holly wykonac polecenie. Na pewno trzeba czegos wiecej, zeby zasiac rosliny niz tylko wziac zwyklej ziemi i wcisnac w nia nasiona i wyschle korzenie, jednak ani ona sama, ani Judy nie wiedzialy, co by to moglo byc.

Zanim zaczela kopac, rozejrzala sie dookola. Pod dluzsza sciana zobaczyla cos, co wygladalo na grzadke. Gdyby rownomiernie zgarnela ziemie nikt by nie spostrzegl, ze ja stad brala. Napelnila kosz trzy razy i zawlokla do Judy, ktora napelniala doniczki twardymi grudami.

Przy pracy zastanawiala sie nad opowiescia babci, nad tym jak Dimsdale'owie chcieli zniszczyc Tamar i jej domek. Nie miala zadnych watpliwosci, ze Tamar byla ta kobieta, ktora Sexton Dimsdale oskarzyl o czary. Nie mogla tylko uwierzyc, ze Tamar byla naprawde czarownica, ze jej klatwa tak ciezko doswiadczala jego rod. Zdaniem Holly, czarownice nalezaly do swiata bajek.

Oczywiscie ich dzisiejsza przygoda takze nie byla z tego swiata. Czyzby Tamar i jej dom przemiescili sie w czasie za sprawa mocy tej kobiety z przeszlosci? W takim razie co tam robil Seth Elkins i Patience Dimsdale? Przeciez to jej wrogowie i Tamar na pewno nie zabralaby ich ze soba. Przypuscmy, tylko przypuscmy, ze to, co im sie dzis przytrafilo, zdarzylo sie zanim Sexton Dimsdale zebral ludzi, zeby zlapac wiedzme. Gdyby udalo im sie tam wrocic, ostrzec Tamar... Tak! To jest mysl. Holly stanela jak wryta. Gdyby zdolali ostrzec Tamar przed niebezpieczenstwem. Musza ja ostrzec! Jutro znow sprobuja dostac sie do labiryntu. Nie, to sie nie uda. Przeciez bedzie tu mama. Beda musieli odlozyc wyprawe do przyszlego tygodnia. Poduszka. Judy na niej spala, a potem znala przejscie przez labirynt. Moze to konieczne, zeby znow odnalezc Tamar. Jesli tak, to tym razem ona sama ja wezmie.

Nie miala watpliwosci. W koncu to ona byla najstarsza, to ona wiedziala, co musza zrobic, zeby pomoc Tamar. Wlasciwie byl to jej swiety obowiazek, dopilnowac, by wrocili do domku Tamar i ja ostrzegli.

Nie zdradzila sie jednak przed Judy, pomagajac jej wsadzac nasiona i klacza i noszac wode do podlania ziemi w doniczkach.

-Gdzie je postawimy? - spytala na koniec, patrzac na rzad glinianych naczyn. - Jezeli tak tu zostana, babcia je na pewno zobaczy i zacznie zadawac pytania.

-Wiem. Juz sie nad tym zastanawialam. Poustawiamy je na polkach miedzy doniczkami babci. O tak. - Judy podniosla najblizsza donice i postawila ja za dwiema, z ktorych wyrastaly zielone krzewinki.

-Swietnie! - zgodzila sie Holly i zaczela nasladowac siostre.

Kiedy skonczyly, nowe doniczki byly tak dokladnie wymieszane ze starymi, ze nikt nie mogl niczego zauwazyc. Przynajmniej tak sie Holly wydawalo.

Pozmiataly rozsypana ziemie, wytarły łopatki i odstawiły kosz na miejsce. Unoszacy się w powietrzu zapach świeżej zieleni przypominał Holly labirynt ze słonecznym ogrodem w środku.

Próbowała dokładnie odtworzyć w myślach jego wygląd, kiedy Judy spyła: - Jak myślisz, Holly, gdzie zniknęła Tamar z domkiem, kiedy ci ludzie przyszli ją skrzywdzić? Czy ona naprawdę była czarownica, która mogła gdzieś odlecieć i zabrać ze sobą dom?

-To tylko bajka, Judy. Już jesteś na to za duża. Nie mam pojęcia, gdzie się schowała.

-Może schowała się w czasie?

Holly zatrzymała się zdumiona. - O co ci chodzi?

-Przecież dziadek mówił, że czas jest różny. Kiedy bolał mnie ząb w zeszłym roku i przez całe dwa dni nie mogliśmy dostać się do doktora Williamsa, wtedy wydawało mi się, że to trwa całe wieki. A ostatni dzień z tatusem, kiedy zabrał nas do zoo i na obiad, upłynął tak szybko, że ani się spostrzegłam i już był wieczór. Potem wydawało się, że tego dnia w ogóle nie było. Zawsze sadyżam, że czas to zegary, obserwowanie wskazówek, które mówią, co trzeba zrobić zanim będzie za późno. Teraz jednak zastanawiam się, czym naprawdę jest czas. Być może, jeśli się potrafi, można sobie wybrać jakiś szczęśliwy dzień i pozostać w nim na zawsze.

Judy wpatrywała się w siostrę, pragnąc znaleźć w jej oczach potwierdzenie, że jej fantastyczny pomysł może być prawdą.

Jednak Holly milczała, więc Judy ciągnęła dalej: - Ludzie latają w kosmos i lądują na Księżycu, a my siedzimy sobie w domu i patrzymy, jak to robią. Założę się, że w dawnych czasach uznano by to za prawdziwe czary albo za bajkę, która nie może się spełnić. Może jednak dawniej tacy ludzie jak Tamar w jakiś sposób zdobyli wiedzę o różnych sprawach, na przykład umieli chować się w czasie. Holly, chce mieć pewność, że Tamar jest bezpieczna. Muszę być pewna!

-Ja też. Może nam się to uda. - Holly już miała powiedzieć jej o swoim pomysle, kiedy usłyszały klakson ciężarówki.

-Mamusia! - Judy trzasnęła drzwiami szopy i pociągnęła się na podjazd po drugiej stronie stodoły. Holly na moment zapomniała o labiryncie i jego mieszkańcach i pobiegła za nią.

Mama wyskoczyła z szoferki. Szeroko rozwarła ramiona i obie, Judy i Holly, równocześnie się w nie rzuciły. Mama wrocila. Teraz jedynie to się liczyło, a reszta poszła w zapomnienie. Muszą zrobić wszystko, żeby wspólnie spędzony czas trwał jak najdłużej.

VII

Wiedzmy i kłatwy

Jak twierdził dziadek, dobry czas pędził tak szybko, że przeminął, zanim zdolali się nim naprawdę nacieszyć. Kiedy odprowadzali mamę na autobus późnym popołudniem w niedzielę, wydawało się, że mama ledwie zdążyła się z nimi przywitać, a już przyszło im się rozstawać. Pomachała do nich przez szyby i dała się unieść odjeżdżającemu autobusowi. Przed nimi był nie tydzień, ale cztery zanim znowu przyjedzie, ponieważ obiecała wziąć dodatkowe dyżury, żeby dostać trzy wolne dni na Święto Dziekczynienia. Święto Dziekczynienia z tej perspektywy wydawało się tak odległe, jakby miało przypaść za rok.

Gdy dziewczynki wróciły do swojego pokoju, Holly pamiętała o jednej rzeczy - o poduszce. Nie mogła jednak spać na niej tej nocy. Jutro przecież trzeba będzie iść do szkoły. Musiała jednak zrobić wszystko, żeby ją dostać, kiedy będzie mogła ją wykorzystać.

-Co zrobiłaś z poduszczyką, Judy?

Judy głaskała Tomkita pod brodą, tak jak lubił najbardziej. Mruczał głośno i niemal zupełnie mrużył oczy. Nawet nie podniosła głowy odpowiadając. - Jest w pudełku. W moim pudełku ze szmatkami, w szafie.

Holly chciała mieć całkowitą pewność. Od czasu, kiedy mama wyjechała, dużo myślała o Tamar, o tym jak ją musieli dostać i ostrzec ją. Westchnęła. Nie ma żadnej możliwości spróbowania przed piątkiem, który - podobnie jak Święto Dziekczynienia - wydawał się szalenie odległy.

W tym tygodniu poniedziałek był szczególnym dniem. Klasa Holly zaplanowała wycieczkę do miejskiej biblioteki. Pani Finch ogłosiła ponadto "specjalne zadania" ściśle związane z faktem, że następną wiosną Sussex będzie obchodzić swe urodziny - trzysta lat istnienia. Mimo starannie podtrzymywanego postanowienia, aby niczym się nie wyróżniać, Holly zainteresowały "zadania specjalne". Biorąc w nich udział, każdy z uczniów miał wybrać temat związany z historią miasta i napisać pracę, wykorzystując zebrane wiadomości. Można też było wykonać własnoręcznie coś charakterystycznego dla Sussex.

Dzisiejsza wizyta w bibliotece inaugurowała rozpoczęcie wypełniania zadań, ponieważ budynek, w którym się mieściła, był jedną z najstarszych budowli w mieście. Było tam też muzeum pełne eksponatów z dawnych czasów.

-Zobaczycie sami, jakie materiały można w naszej bibliotece znaleźć - powiedziała pani Finch. - Później, po powrocie, wybierzecie temat i każdy z was da mi go na podpisanej karteczce.

Holly przyglądała się uważnie bibliotece, zbliżając się do niej wysłana listami alejka. Była o wiele większa od domku Tamar, ale komin miała także na środku, a okna umieszczone wysoko nad podłogą. Tyle że ściany były ceglane, a dach pokrywały łupkowe dachówki zamiast omszałych gontów.

Pani Finch ustawiła dzieci w szeregu przed wejściem i zwróciła ich uwagę na cegły wykonane w cegielni, która kiedyś działała nad rzeką. Potem opowiedziała im o oknach. - Dawniej miały szybki w kształcie rombów łączone ołowiem - powiedziała.

Nieswiadomie Holly potwierdziła jej słowa skinieniem głowy, przypominając sobie okna w domku Tamar.

-Ale podczas wojny secesyjnej - ciągnęła dalej pani Finch - ołów wykorzystano do wytapiania kul, więc przez jakiś czas ludzie musieli zadowolić się osłonami z naoliwionej skóry jelenia. Po wojnie sprowadzono już nowsze, większe szyby, jakie tu widzicie. Pamiętajcie, że to biblioteka - dodała wpuszczając ich do środka - i zachowujcie się odpowiednio.

Pani Finch zawsze mówiła w ten sposób, z groźną nutą w głosie zmuszająca do posłuszeństwa. Zawsze osiągała swój cel. Nie była osobą tolerującą nieodpowiednie zachowanie i wszyscy doskonale o tym wiedzieli.

Holly, przyzwyczajonej do miejskich bibliotek, ta wydała się ciasna i zatłoczona. Były w niej tylko dwa pomieszczenia ogrzewane jednym, centralnym kominkiem. Książki ciasno upakowano na półkach i niewiele miejsca pozostało na ławy i krzesła, na których posadzono klase w mniejszej sali.

Na górnych półkach i w niewielkiej wnęce poustawiano różne eksponaty. Jedną półkę przeznaczono w całości dla ptasich gniazd, z których każde miało kartkę z objaśnieniem do jakiego gatunku ptaka należało. Był tam też obraz wykonany z nasion, jakichś muszle i rzad ramek chroniących coś, co wyglądało jak pozółtkie kartki papieru. Obok znajdowały się żywe rośliny i wielki szklany słoik przypominający akwarium, mieszczący drobne żywe organizmy.

Panna Noyes, bibliotekarka, rozpoczęła prelekcję i Holly skupiła na niej całą uwagę. Mówiła o zadaniach, jakie mają wykonać, i o urodzinach miasta. Przemawiając, panna Noyes pokazała model zrobiony przez dziewczynkę młodszą niż Judy, pistolet należący do żołnierza, który szedł do Valley Forge, a potem sznur paciorków, które były indyjskimi pieniędzmi, jakby prosto z opowieści o pielgrzymach. Jej słowa całkowicie wciągnęły dziewczynkę, która poczuła się częścią dawnych czasów. Historia to długi marsz ludzi przychodzących z daleka, ale w rzeczywistości niezbyt różniących się od niej samej, dziadka, babci, mamy i tatusia. Nagle Holly uswiadomiła sobie, że historia to nie jedynie kartka w książce, że to ludzie!

Teraz panna Noyes mówiła o książkach. Nie o podręcznikach historii, które czytali w szkole, a o książkach, które czytali ludzie w dawnych czasach, a także je pisali.

Było to kolejne zaskoczenie dla Holly. Ta stara książka, którą panna Noyes trzymała w rękach, została napisana ludzką ręką, a pismo było tak stare i wyblakłe, że ledwo dawało się odcyfrować. Czyżby tak właśnie wyglądała książka, o której opowiadała babcia, ta, która należała do starej panny Elvery?

...dziennik Seta Elkinsa - dobiegły ją nagle słowa panny Noyes.

Seth Elkins! Czyżby ten sam, który odwiedził Tamar? Może napisał w nim, co się z nią stało? Czy Holly zbierze się na odwagę i spyta o to, nie wyjaśniając, dlaczego chce to wiedzieć? Jednak, ku jej rozczarowaniu, panna Noyes starannie zamknęła książkę i schowała ją do pudełka. Teraz mówiła o muzeum, o kołowrotku i warsztacie do tkania Inu.

Niestety, wkrótce wszyscy przeszli do części muzealnej. Było tam wiele ciekawych rzeczy, więc Holly przesuwała się bez pośpiechu. Nie potrafiła skupić się całkowicie na eksponatach i objaśnieniach nauczycielki. Jej myśli krążyły wokół dziennika Seta Elkinsa. Ciekawe, czy panna Noyes przeczytała go w całości? Czy wiedziała coś więcej o tym, co wydarzyło się w

tamta noc przed Światem Zmarłych w Dimsdale? W tym momencie Holly zdecydowała się na temat pracy - Dimsdale.

Jeśli pani Finch go zaakceptuje, będzie mogła pytać o wszystko. Może dowie się, co jest w dzienniku i co się stało z Tamar. Oczywiście, nie będzie mogła zdradzić labiryntowych sekretów, ale może zdola wykorzystać je później mówiąc, że to efekt poszukiwań. Opisz domki Tamar, labirynt, ogród zielony...

Plan tak ją pochłoniął, że wpadła na dziewczynkę, która zatrzymała się, żeby pokazać koleżance wyszywaną wiszącą w ramce na ścianie.

-Widzisz, o tam, moje nazwisko - Rebecca Eames. Moja babcia podarowała ją muzeum. Zrobiła ją jej pra pra nawet nie pamiętam ile razy prababcia. Hej, uważaj trochę!

-Becky Eames spojrzała na Holly. - Tylko dlatego, że jesteś z Bostonu, wydaje ci się, że zjadł wszystkie rozumy? Jakos nie widzę tu prac twojej praprababci.

Holly cała zeszywniała. Wreszcie nadeszło to, czego się obawiała od chwili, kiedy pierwszy raz wsiadła do szkolnego autobusu. Zaraz usłyszy, że mieszka na smietniku, że jest czarnuchem i inne słowa, które, była tego pewna, muszą pasc - prędzej czy później.

Przyjaciółka Becky, Martha Torrey, pociągnęła ją za rękaw. - Becky! Pamiętaj, co mówiła pani Finch.

Holly wyobraziła sobie, co to było i poczuła narastający gniew. Wcale nie prosiła pani Finch, by występowała w jej sprawie.

-A coż to takiego pani Finch mówiła? - spytała gwałtownie. - Jasne, mieszkam na składowisku razem ze śmieciami! Jestem też czarna! Boicie się, że mogę was pobrudzić? Nic z tego. Mogę być czarna, ale jestem czysta. Będzie lepiej, jeżeli wy same i ta wasza stara pani Finch zajmiecie się własnymi sprawami.

Odwrociła się od nich, kiedy Martha powiedziała szybko:

-Nie, Holly, my wcale tak nie myślimy, naprawdę...

Spojrzała na nią przez ramię i syknęła. - Sama wiem, co wam chodzi po głowach. Wiedziałam to od razu, kiedy przyszedłam do tej głupiej szkoły.

Odeszła szybkim krokiem, zatrzymując się dopiero przy drzwiach biblioteki, gdzie niecierpliwie czekała, aż pani Finch ich wyprowadzi. Wewnątrz gotowała się ze złości. Planowała prace o Dimsdale, ale teraz miała jeszcze lepszy pomysł. Napisze o czarownicach, o tym jak stary Sexton Dimsdale narobił kłopotów przez swą chciwość i głupotę i dostał to, na co zasłużył. To będzie jej temat! Miała nadzieję, że legenda okaże się prawdziwa, że Tamar była naprawdę wiedźmą i rzuciła klątwę na Dimsdale'a, jak twierdziła panna Elvery. Zasłużył sobie na to! Każdy w tym miasteczku powinien być przeklęty.

Wrocili do szkoły w samo południe. Holly wylowila w tłumie Judy, która nie była tym zachwycona. Rozmawiała z tą samą Debbie, która niegdyś proponowała jej wspólne zjedzenie lunchu, kiedy Holly podeszła do niej z gniewną miną. Tyle razy ją ostrzegała, tłumaczyła! Wyglądało, że nie ma ochoty iść z Holly, która dała jej znak, by się pospieszyła.

-Nie wiem, o co ci chodzi - wybuchła - z nikim nie chcesz się zaprzyjaźnić. Ja lubię Debbie.

-Zaprzyjaźnić! - Holly niemal krzyknęła. - Oni wcale nie chcą się z nami przyjaźnić. Dzisiaj rano ta Becky Eames jasno dała mi do zrozumienia, że nie mamy prawa czuć się częścią Sussex, my tu nie należymy!

-Powiedziała to wprost? - Judy zasmuciła się wyraźnie. - Ale dlaczego, Holly?

-Sama wiesz dlaczego - ofuknęła siostrę. Oczywiście, Becky niezupełnie tak to ujęła, ale Holly była pewna, że o to właśnie jej chodziło. Im szybciej Judy to pojmie, tym lepiej dla niej. - Przecież mieszkamy na smietniku i jesteśmy czarne.

-Ale Jimmie Little i dziewczynki Woodsów też są czarni i nikogo to nie obchodzi. Jimmie stale trzyma się Ralphi Bingley'a i Juda Torrey'a. Sally i Betsy Woods śpiewają w chorze. Spójrz na Crocka, siedzi tam z Philem Noyesem i braćmi Byfield. Oni go lubią!

-Sam się przekonaj, co tak naprawdę o nim myślą - powiedziała ponuro Holly. - Jimmie i Woodsowie mieszkają tu od dawna, ludzie się do nich przyzwyczaili. Zresztą nie mieszkają na smietniku.

Judy nie wyglądała na przekonaną, ale usiadła przy siostrze z westchnieniem i rozpakowała pudełko ze śniadaniem. -

Zdecydowałaś już - pytała rozwijając kanapkę - o czym będzie twoja praca? Ja tak. Powiedziałam pani Dale, a ona uznała mój temat za świetny i napisała go na tablicy, na pierwszym miejscu.

-Co to będzie? - Holly wolała odwlec własną odpowiedź, zadając pytania.

-Ogrodki zielone, takie jak u Tamar.

-Judy, chyba nikomu nie mówiłaś - powiedziała groźnie.

-Pewnie, że nie! Ale babcia używa ziół i mnóstwo innych ludzi też. Babcia ma kilka naprawdę starych ksiąg o tym, jak ludzie wykorzystywali zioła w dawnych czasach. Zrobię różane paciorki, kiedy już będą róże, naszpikuje pomarańcze goździkami, żeby ładnie pachniało, może nawet uda mi się zrobić kandyzowane liście mięty. Mam też zamiar nauczyć się czegoś o ziołach leczniczych, jak Tamar, żeby pomagać ludziom. - Uśmiech powrócił na jej twarz. Na chwilę zapomniała o konflikcie z Holly. - Może opisać ogród Tamar, nie mówiąc, gdzie go widziałam.

Holly była zaskoczona i trochę niespokojna. Judy była taka pewna siebie. Dawniej, w Bostonie, zawsze jej słuchała i spytałaby, co sądzi o jej pomysłach, zanim zgłosiłaby go pani Dale. Ostatnio stała się bardzo samodzielna. Bardzo sprytnie radziła sobie z wysianiem prezentu od Tamar i nawet w pewnym sensie zdominowała starszą siostrę. Dotychczas Judy zawsze szła drogą wskazaną jej przez Holly, teraz zaczęła odkrywać własne ścieżki.

-Lepiej uważaj na to, co mówisz. - Holly powiedziała to z większym naciskiem niż zamierzała.

Uśmiech przygasł na twarzy Judy. - Znow to samo, Holly. Zawsze mi mówisz, co mam robić! Zaczyna mnie to męczyć!

Irytacja Holly zmieniła się w przestrach. Co się stanie, jeżeli Judy nie przestanie się upierać? Zawsze robiły wszystko razem, wszystko, co Holly zaplanowała. Wydawało się, że Judy była z tego zadowolona, choć zdarzały się momenty, kiedy się jej sprzeciwiała. Co będzie, jeżeli Judy stale będzie podejmować własne decyzje. Szybko zabrała się do naprawiania błędów.

-Po prostu obawiałam się, że mogłabys coś wypaplać bez zastanowienia.

-Traktujesz mnie jak Lissy Jones w Bostonie. A ja przecież nie chodzę i nie paplam wszystkiego, Holly.

-Wiem - zgodziła się siostra. Może uda się Judy jakos udobruchać i wszystko będzie po staremu. - Chodzi mi o to, że nawet gdybyśmy wszyscy, cała trójka, przysięgali na wszystko, że spotkaliśmy się z Tamar, to i tak nikt nigdy nam nie uwierzy.

-Też tak myślę. Jednak ona jest prawdziwa, ja to wiem, Holly. Chce się nauczyć tego, co ona potrafi. Pani Dale powiedziała mi, że jest wiele ksiąg o ziołach. Poproszę też babcię. A ty nad czym będziesz pracowała?

Holly zawahała się przez moment. Nadal była pewna, że ma dobry plan - zdemaskować starego Sextona Dimsdale'a i sprawić, żeby ludzie, którzy tu teraz mieszkają, zrozumieli, ile szkód można wyrządzić niesłuszną obmową. Choć i Becky tak naprawdę wcale jej nie przezywała, to Holly mogła sobie wyobrazić, jakich słów używała za jej plecami. Za każdym razem, kiedy o tym pomyślała, czuła większą złość.

-Na co się zdecydowałaś? A może to taka tajemnica, że... - Judy znow zaczęła być uszczypliwa.

-Napisze o czarownicach - powiedziała szybko. - O tym, jak dawniej ludzie oskarżali o czary takie kobiety jak Tamar i o tym, jak Dimsdale'owie zostali obłożeni klątwą za to, co jej zrobili.

-Nie pozwolisz mi mówić o Tamar, a teraz sama chcesz o niej napisać! - oburzyła się Judy.

-Przecież nie napisze, że ja widzieliśmy. Chce zdobyć informacje ze starych ksiąg i rozpytywać ludzi, którzy znają historie. Dzisiaj rano w bibliotece panna Noyes pokazała nam dziennik Seta Elkinsa...

-Tego, który przyszedł do Tamar?

-Chyba tak. Może napisał, co się tam zdarzyło naprawdę, a nie tylko bajki o zniknięciu domu i Tamar.

-Tylko czy pani Finch pozwoli ci pisać o wiedzmach?

-Nie powiem jej, że o to mi chodzi. Powiem, że będę pisała o ludziach, którzy mieszkali w Dimsdale, o człowieku, który zbudował stary dom.

-Bardzo bym chciała dowiedzieć się, co się stało z Tamar - powiedziała powoli Judy.

-Wiem, co musimy zrobić. - Holly wypowiedziała te słowa z dawną pewnością siebie. - Musimy tam kiedyś wrócić i ja ostrzec, powiedzieć, co Sexton Dimsdale zamierza zrobić w noc przed Wszystkimi Świętymi.

-Ale to było dawno temu - zaprotestowała Judy. - On już to zrobił i niczego nie możemy zmienić.

-Skąd wiesz? Posłuchaj, Judy, wtedy cofneliśmy się w czasie do dnia na długo przed tym świętem. Było lato, pamiętasz? Gdyby udało nam się wrócić do tego samego okresu, moglibyśmy powiedzieć jej, żeby uważała.

Judy mocno potrząsnęła głową. - Racja. Wezmę poduszki w piątek wieczorem, wrócimy tam i wszystko jej opowiemy.

Tym razem to ja wezmę poduszki, pomyślała Holly. Judy już miała swoją noc. W końcu to jej pomysł, a nie Judy. Jeśli ktoś będzie w tym tygodniu spał na zielonej poduszeczce, to na pewno będzie to Holly Wade.

Oddała kartkę z tematem pracy: historia Dimsdale, a pani Finch zapisała go w notesie z aprobującym skinieniem głowy.

-Szkoda, że wszystkie dokumenty rodzinne panny Dimsdale spłonęły w pożarze - powiedziała. - Rada muzealna parę razy prosiła ją o złożenie ich w depozycie do biblioteki, ale chyba nie chciano, żeby obce osoby miały do nich dostęp. Jednak Dimsdale'owie to bardzo ważna rodzina w historii Sussex. Miasto zostało założone na ziemi, którą dostali z nadania króla Karola. Musisz porozmawiać z panną Noyes, na pewno wskaże ci kilka doskonałych tekstów źródłowych. Wiesz, Holly, zastanawiam się, czy coś pozostało jeszcze ze starego ogrodu. To był pierwszy formalny, starannie zaplanowany ogród w okolicy. Mówi się nawet, że tam był labirynt!

-Babcia mówi, że wszystko tak zarosło, że nikt nie może dostać się do środka - odpowiedziała szybko Holly. Pani Finch przejawiała zbyt duże zainteresowanie jej projektem. Może zacząć zadawać pytania, na które Holly nie chciałaby odpowiadać.

Nauczycielka w zamysleniu spoglądała raczej na ściany niż na dziewczynkę, jakby widziała gesta roślinność w Dimsdale. - Chyba tak. Pamiętaj, Holly, jeśli uda ci się sprawić, żebyśmy zobaczyli Dimsdale takim, jakim było dawniej, to wzbogacisz naszą wiedzę o Sussex w początkach istnienia miasta. To może być wspaniała praca.

Przerwała na chwilę zanim nieco innym tonem zadała pytanie: - A co ty sama sądzisz o Sussex, Holly? - Patrzyła jej prosto w oczy, jakby chciała dotrzeć do najtajniejszych myśli dziewczynki.

-Jest... jest inne, chodzi mi o to, że w niczym nie przypomina Bostonu. - Holly próbowała znaleźć słowa, które nie zdradziłyby prawdziwych uczuć, gnębiących ją od dnia, kiedy nadszedł telegram. Pomyślała sobie, że pani Finch nie ma prawa wtrącać się do tego, co czuje. Zresztą, co ja to może obchodzić!

-Wyobrazam sobie. - Głos nauczycielki zabrzmiał nieco ostrzej, jakby Holly udzieliła niewłaściwej odpowiedzi na lekcji. - Masz interesujący projekt i od ciebie zależy, co z nim zrobisz.

Idąc do autobusu, Holly zastanawiała się, co by pani Finch powiedziała, gdyby znalazła prawdziwy temat pracy - kłatwa na Dimsdale'ów. Rzuciła okiem na dzieci zgromadzone na przystanku. Babcia twierdziła, że ludzie nadal gadają o tej kłatwie. Może powinna zacząć o to wypytywać? Nie, te dzieciaki na pewno o niczym nie słyszały. Ale starsi, na przykład pani Pigot, która powiedziała im o niej, gdy tylko wspomnieli Dimsdale, mogą coś wiedzieć. Na pewno są tacy w miasteczku. Tyle że będzie musiała ostrożnie formułować pytania.

-Holly! - Okrzyk Judy tak ją zaskoczył, że aż podskoczyła. - Holly, nie słyszałaś mnie? Pytałam o zabawę w Halloween. Debbie powiedziała, że to bal przebieranców. Jak myślisz, za co mam się przebrać?

Holly była całkowicie pochłonięta swymi planami poznawania przeszłości. - Jaki bal?

-Wielki szkolny bal przebieranców. Organizują go tu każdego roku i wszyscy przychodzą w przebraniach. Od czwartej do siódmej w noc przed Świętym Zmarłych. Debbie powiedziała, że możemy pojechać z nią. Sama widzisz, nie zawsze masz rację. Debbie mnie lubi i polubiłaby i ciebie, gdybyś dała jej szansę. Wiesz za co chciałabym się przebrać? Myślę o tym, od kiedy się dowiedziałam o tym balu - za kota, takiego jak Tomkit, szarego z wielkimi zielonymi oczami i długim ogonem. To byłoby świetne!

-Jeśli to ma być wieczorem w miasteczku, babcia i dziadek na pewno nie będą chcieli, żebyśmy pojechali. - Holly od razu wytoczyła swój najcieńszy argument.

W oczach Judy pojawiły się przekorne chochliki. - I tu właśnie się mylisz, Holly. Babcia co roku bierze w nim udział. Jeździ z mamą Debbie i przepowiada przyszłość tak, jak to robili w dawnych czasach. Piecze też specjalne paczki. Widzisz! Jak

mynslisz, czy babcia zechcialaby mi pomoc z tym kostiumem?

Babcia na szkolnym balu! Holly byla oszolomiona, zaskoczona i troche oburzona. Ostatnio babcia wypytywala ja o to, czy zna te, czy tamta dziewczynke i wydawala sie nieco zaskoczona odpowiedziami wnuczki. Jak gdyby spodziewala sie, ze Holly jest najpopularniejsza dziewczyna w klasie, czy cos takiego. Nie chciala babci zranic i powiedziec jej calej prawdy - ze nie chcialo ich w tej szkole.

Byla przeciez przekonana, ze jest inaczej. Coraz czesciej Holly musiala uchylac sie przed jej pytaniami. Nie ma szans, by pozwolila im zostac w domu, jezeli sprawy stoja tak, jak mowi Judy.

-Kostium kota moze byc dosc trudny do zrobienia - odpowiedziala siostrze. Czula ogarniajace ja przerazenie. Jezeli babcia kaze im isc i sama tam bedzie, to na pewno zobaczy...

-Babcia ma zreczne rece. Nawet pan Correy to powiedzial. Na pewno sobie poradzi i zrobi mi cos cudownego.

Holly probowala nie myslec o balu. Skoncentrowala sie na innej nocy trzydziestego pierwszego pazdziernika, kiedy rod Dimsdale'ow ruszyl na polowanie na czarownice. Wrocila sprawa Tamar i ostrzezenia jej. Gdyby mogla sie znow z nia zobaczyc, zadalaby jej pare pytan i poznalaby prawde. Czy rzeczywiscie Tamar byla czarownica i zniknela z pomoca magii po rzuceniu klawy na Dimsdale'ow.

Czarownice moga takze spelniac swoje wlasne zyczenia. Gdyby miala taka moc, moglaby sprawic, zeby babcia i Judy zapomnialy o balu, zeby nie musialy tam pojsc. Zazyczylaby sobie...

Wieczorem, przy stole, Judy nie potrafilo mowic o niczym innym niz o swym pomysle, a i babcia tak sie tym podniecala, ze musiala bez przerwy poprawiac okulary na nosie tak, ze niemal przez caly czas slizgaly sie to w gore, to w dol. Crock oznajmil, ze zajmie sie meblami, jakie znajdowaly sie w pierwszych domach w Sussex. Ostatnio coraz wiecej czasu spedzal w warsztacie dziadka, uczac sie, jak naprawiac stare sprzety, co w najmniejszym stopniu nie interesowalo Holly.

Sama siedziala cicho, pozwalajac wygadac sie rodzenstwu. Chciala, aby pytania, jakie zada najpierw dziadkowi i babci, dotyczace historii Dimsdale i panny Elvery, nie tylko dostarczyly jej jak najwiecej informacji, ale i nie zdradzily jej planu. Musi je dokladnie przemyslec i spisac.

Wieczorem, kiedy rowny oddech Judy swiadczył, ze juz zasnela, Holly wysliznela sie spod koldry i na paluszkach podeszla do szafy. Delikatnie otworzyla drzwi i wsunela reke, chcac znalezc pudelko, w ktorym Judy przechowywala scinki materialow. Uniosla pokrywe i palcami szukala znajomego ksztaltu poduszeczki. W tej chwili nie pragnela niczego wiecej, niz moc ja wyjac, zasnac na niej i przekonac sie, czy znow trafi do domku w labiryncie, do Tamar.

Wiedziala jednak, ze nic z tego. Jutro trzeba isc do szkoły, pojutrze tez i jeszcze nastepnego dnia...

W tym tygodniu nastapila mala zmiana - w piatek mialo sie odbyc specjalne zebranie nauczycieli, wiec lekcje skoncza sie w poludnie. Holly zlapala Judy i Crocka, jak tylko sie o tym dowiedziala.

-W piatek po poludniu - tlumaczyla im goraczkowo. - Mozemy wrocic do labiryntu w piatek po poludniu, nie rozumiecie tego?

Crock zgodzil sie natychmiast. - W porzadku, to nawet lepiej niz w sobote. W sobote ma przyjsc do mnie Jim. Chce znalezc jakas czesc do swojego roweru.

Holly od dawna zdawala sobie sprawe, ze nie ma sensu przypomnac mu, zeby sie zbytnio nie spoufalal z miejscowymi. Jesli mial ochote na bojke, do ktorej wreszcie dojdzie, kiedy zaczna go przezywac, to jego sprawa.

Byla jeszcze jedna rzecz, ktora musiala przeprowadzic do czwartku wieczora. Byla przekonana, ze ani Crock, ani Judy nie zgoda sie, zeby dostala poduszke bez losowania. Holly wiedziala, ze musi pomoc szczesciu i wygrac. Musi!

Jak zwykle, Crock trzymal w dloni paski papieru. Kiedy Holly wyciagnela jeden, zgiela go wewnatrz dloni. Pozostali, zbyt pochlonieci losowaniem niczego nie zauwazyli. Jesli nawet jej pasek nie byl najkrotszy, to po tym zabiegu musial okazac sie zwycieski. Tak tez sie stalo. Triumfalnym gestem siegnela po poduszke.

W lozku przylozyla do niej glowe. Zapach byl nieco dziwny, nie tak przyjemny jak wczesniej. Krecil w nosie i myslala, ze zacznie kichac. Gdyby nie byla przekonana ze to jedyny sposob dostania sie do labiryntu, bylaby ja odrzucila. Jednak mimo niemilego zapachu Holly byla zdecydowana - musi wysnic droge do srodka.

Droga na opak

Rano nie pamiętała snu, a jedynie drogę w labiryncie. Reszta, kiedy starała się sobie przypomnieć, przypominała jej o bólu głowy. Czy widziała Tamar? Pozostało tylko mgliste wspomnienie kogoś zupełnie do niej niepodobnego. Kogoś, kto się uśmiechał, kiwał na nią, kogoś, kto musi znowu ujrzeć. Oczywiście, to musiała być Tamar i ona, Holly, ostrzeże ją przed niebezpieczeństwem. - Miałas sny? - Judy zakładała buty. - Czy to były koszmary, Holly?

- Dlaczego tak myślisz? - Holly gotowa była się bronić.

- Bo wolałaś mamę i chciałaś, żeby cię stamtąd zabrała. - Judy usiadła na łóżku, bacznie obserwując siostrę. - To brzmiało jakbyś była gdzieś zamknięta.

Holly potrząsnęła głową. - Nie pamiętam. Jednak znam drogę w labiryncie. Po południu pojdziemy tam spotkać się z Tamar. Przecież sama tego chcesz, prawda?

Ku jej zaskoczeniu, Judy nie zgodziła się z nią natychmiast. - Sama nie wiem. Poczekamy, zobaczymy.

- Na co poczekamy? - wybuchnęła Holly. - Poprzednim razem bardzo ci się tam spieszyło. Cały czas nas popędzałaś. Tylko dlatego, że tym razem to ja miałam sen, ty chcesz poczekać! Co się z tobą dzieje, Judy?

Młodsza siostra wpatrywała się w nią bez słowa, aż poczuła się nieswojo. Jakby Judy wiedziała, że wczoraj wieczorem Holly nieco pomogła losowi. Przecież musiała tak postąpić. Cóż, niewiele to wszystko obchodziło, a musieli, ona musiała, przestrzec Tamar przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

- Nic się ze mną nie dzieje - odpowiedziała Judy powoli. - Tylko wydaje mi się, że tobie samej niezbyt podobają się te koszmary.

- Wcale nie jestem pewna, czy to był koszmar - zaprotestowała.

- Słyszałam, jak wolałaś mamę i prosiłaś, żeby cię stamtąd zabrała. W pewnej chwili Tomkit podszedł do ciebie, powachał poduszkę i natychmiast uciekł sycząc i kichając, jakby poczuł coś okropnego.

Wszystko jest w porządku, przekonywała Holly siebie sama przez cały rano. Siedząc w autobusie odwozącym ich do domu po skróconych lekcjach, nie mogła się doczekać powrotu do Dimsdale, końca lunchu i ruszenia do labiryntu. Dzień był ciemny, niebo pokryte ciężkimi chmurami, ale jeszcze nie padało. Całą drogę trzymała zacisnięte kciuki w nadziei, że odpedzi to burzę.

Siedziała tak pogrążona we własnych myślach, że nie zwracała uwagi na to, co działo się wokół niej. Wreszcie usłyszała głos Judy przebijający się przez gwar w autokarze: - Babcia sądzi, że uda się jej uszyć dla mnie kostium kota. Ma taki duży koc, szary jak Tomkit.

- Na Halloween lepsze są czarne koty. - To Sandra Hawkins.

- Być może, ale ja chcę być szarym kotem - odpowiedziała Judy. - Tomkit jest niezwykle ładniejszy od innych. A ty kim będziesz?

Sandra zachichotała. - Jeszcze nie wiem. Zwykle noszę to, w czym Mary była w poprzednim roku, a ona dostaje nowy kostium. W zeszłym roku była przebrana za baletnicę, ale wczoraj przymierzyłam jej stroj i zupełnie na mnie nie pasował. Pokazałam go mamie i powiedziała, że jeszcze musi się zastanowić.

Jakie znaczenie mają teraz stroje na bal, pomyślała niecierpliwie Holly. Jeżeli będa musieli iść to coś tam wymyśli. Może przebierze się za Cyganke. To łatwe - spodniczka w jednym kolorze, bluzka w innym, duże kolczyki w kształcie kół i barwna chusta na głowę. Jest jeszcze masa czasu, żeby o tym myśleć. Ważniejsze jest to, co ma się dziś wydarzyć.

Mieli szczęście. Po lunchu babcia wybierała się na spotkanie z kolegami krawcowymi. Kazała im obiecać, że nie będą się zbyt oddalać od domu (Holly pomyślała, że w końcu labirynt jest blisko), i że będa na siebie uważać. Dziadek był zajęty w warsztacie. Cóż, bardziej interesował się tym, co tam naprawiał niż wycieczka do labiryntu i Holly musiała mu przypomnieć, że przyrzekł iść z nimi.

Kiedy babcia wreszcie odjechała z panią Wilson, Holly płonęła z niecierpliwości, której wyraźnie nie podzielało rodzeństwo. Kiedy samochód zniknął za zakretem podjazdu, zauważyła, że patrzą po sobie niepewnie. Jeśli chodzi o Tomkita, to ten gdzieś zniknął, jakby planowana wyprawa zupełnie go nie dotyczyła.

-Lepiej już ruszajmy - powiedziała Holly.

-Powiedziałem dziadkowi, że... - zaczął Crock, ale kiedy rzuciła mu gniewne spojrzenie, wzruszył ramionami.

-No dobrze. Chodźmy już, to szybciej z tym skończymy.

-Nie mogę was zrozumieć - złościła się Holly. - Przecież chcieliście tam iść. Skąd teraz te wątpliwości?

Judy zadrzała, choć wcale nie było tak chłodno i miała na sobie zapiętą kurtkę i chustę na głowie z końcami owiniętymi wokół szyi.

-To nie to samo - powiedziała cichutko.

-Dlaczego nie? - złość Holly wciąż narastała. - Kiedy ty nas prowadziłaś, wszystko było w porządku. Teraz jest inaczej tylko dlatego, że to ja miałam sen. O to ci chodzi?

-Nie dopuszczała do siebie myśli, że tym razem wizje wspomogło oszustwo, że wczoraj nie grała fair. Przecież zrobiła tak z poczucia obowiązku, musieli ostrzec Tamar.

-Jeszcze ci nie obchodzi los Tamar? - pytała zjadliwie.

-Ale ci zli ludzie nic jej nie zrobili. - Judy nie przejawiała ochoty, żeby ruszyć za siostrą w stronę labiryntu.

-Zniknela razem ze swym domkiem.

-Tak - odezwal sie Crock. - Ale gdzie zniknela? Przypuszczacie, ze Tamar wiedziala o spirali czasu? Wiecie, ze ludzie coraz czesciej mysla o roznych mozliwosciach wykorzystania umyslu, na przyklad w tych programach w telewizji o telepatii i takich tam sprawach.

-Sami widzicie - Holly starala sie zrobic jak najlepszy uzytek z jego watpliwosci, bez wzgledu na to, co sama myslala - ze Tamar musiala miec jakas moc, inaczej by tak nie zniknela. Jestem pewna, ze zostala ostrzezona! Dlatego musimy tam isc, teraz i zaraz!

-Ale jesli zdarzylo sie to wszystko - Judy nie dawala sie latwo przekonac - to w jaki sposob mozemy ja ostrzec dzisiaj?

-Cofniemy sie w czasie, musimy. - Holly wiele zastanawiala sie nad tym i doszla do wniosku, ze to jedyne wytлумaczenie. - Przejdziemy od TERAZ do WTEDY. Wszystko jej powiemy i bedzie mogla sie przygotowac do uciezki, zanim ten stary Sexton Dimsdale ja napadnie.

-To calkiem prawdopodobne - stwierdzil Crock. - Dobra, idziemy.

Holly nie potrzebowała dalszej zachety, już pedzila w kierunku gestwiny bezlistnych krzakow. Kiedy znalezi sie przy labiryncie, wydal sie rownie zwarty i mocny jak sciany domu. Nie bylo widac sladu zycia. Brunatno szara platanina galazek, ktore zdawaly sie nigdy nie nosic listkow.

Szukala wysokich kotow - straznikow. Nigdzie ich nie bylo. Nie bylo nawet sladu, ze kiedys w ogole istnialy krzaki przyciete w tak charakterystyczny sposob. Niepokoj zaczal zmieniac sie w rozczarowanie. Wyraznie zwolnila kroku. Wolniutko szla wzdluz pozbawionej zycia sciany.

-Nie ma wejscia. - Uslyszala za soba glos Judy. - Nie wierze, ze teraz mozna dostac sie do srodka.

Holly zdawala sobie sprawe, ze mineli juz miejsce, przez ktore poprzednio wprowadzili ich Judy i Tomkit. Czula jednak, ze cos pcha ja do przodu, cos powtarzalo jej, ze odnajdzie wejscie. Nawet nie probowala dyskutowac z Judy, tylko szla dalej do miejsca, gdzie zywoplot skrecal, tworzac plytka zatoke.

W chwile pozniej watpliwosci zmienily sie w uczucie triumfu. - Widzicie! - Wyrzucila ramie przed siebie, wskazujac luke w gestwinie.

-Alez to nie sa koty - powiedziala cicho Judy. W jej glosie wyczuwalo sie niepewnosc.

Holly przyjrzasie straznikom po obu stronach wejscia. Judy miala racje, choc Holly nie

przyznałaby się do tego głośno. Stworzenia siedziały wprawdzie w tej samej pozycji jak wcześniej koty, ale zupełnie ich nie przypominały.

Były o głowę wyższe od Crocka, miały cztery nogi, lecz ich głowy nie były kocie - długie pyski, wielkie, spiczaste uszy. Szarobrunatna barwa gałazek, z których były uformowane, nadawała im niesympatyczny wygląd, tak jak nieliczne zwiedle listki przypominające łuski.

-To aligatory - oznajmił Crock. Po chwili dodał już mniej pewnym głosem: - Przynajmniej tak mi się wydaje.

Judy stanęła jak wryta. - Za żadne skarby tam nie wejść! - Zatrzęsła się z obrzydzenia. - To nie jest dobre miejsce. To nie tu.

-A właśnie, że tak! - Holly była całkowicie przekonana o swej racji. - Wiem to, tak jak ty wtedy wiedziałaś.

Mimo to niepokoił ją wygląd aligatorów, jeśli przypuszczenie Crocka było słuszne. Koty były zupełnie inne. Nie wyglądały jakby tylko czekały, aż ktoś między nimi przejdzie i da się złapać. Nie, to głupie. Przecież to tylko jakies stare, uschnięte krzaki. Im bliżej do nich podchodziła, tym wyraźniej było to widac.

-Chodźcie! - rozkazała bliźniakom.

Mina Judy była bardzo nieszczęśliwa. - Naprawdę nie chce. Proszę, Holly, nie zmuszaj mnie. Tam jest coś złego.

-Tak samo złe jak twoje wejście. - Holly gotowa była bronić swych racji do upadłego. - Po prostu kupa starych krzaków.

Crock wziął Judy za rękę. Na jego twarzy malował się wyraz powagi. W ogóle nie patrzył na Holly tylko na bliźniaczkę. - Musimy tam wejść, Judy.

Judy pociągnęła nosem, ale kiwnęła głową na znak zgody. Holly ruszyła przodem. Nie spieszyła się jak Judy za pierwszym razem. Szła spokojnie, starając się nie zwracać uwagi na ponury mrok, tajemnicze cienie, na galezie zamykające się tuż nad ich głowami w niski tunel, na kolce wylaniające się z jego ścian jak pazury gotowe pochwycić śmialków przechodzących obok.

-Idziemy w złą stronę. W prawo, zawsze w prawo - powiedziała Judy przy pierwszym zakreście.

Holly jednak dobrze pamiętała informacje przekazane jej podczas snu. - Nie, tym razem w lewo, na pewno.

-Na opak - rzucił Crock, a echo z wielokrotnością jego słowa.

-Co to znaczy? - spytała Judy. Mocniej chwyciła reke brata i przysunęła się do niego.

-To coś z dawnych czasów - wyjaśnił. - Oznacza ruch w przeciwną stronę niż wskazówki zegara, niż droga słońca na niebie. Sam nie wiem, dlaczego teraz mi się to przypomniało. Coś jeszcze... - Skrzywił się nieco. - Nie, nie pamiętam.

Tunel, wbrew oczekiwaniom Holly, nie zaczynał się zazieleniać. Na każdym zakrecie miała nadzieję, że jak poprzednio, ujrzy zielone listki i kwiaty, jednak krzewy wciąż były martwe i nagie. Jedynie poszycie gestniało.

Pojawiły się muchomory, najpierw małe, potem coraz większe i groźniejsze. Niektóre były brudnoszare, inne czerwone i nakrapiane, a jeden jasnozłoty. Kiedy Holly traciła go nogą, pekił jak purchawka, wydzielając nieprzyjemny zapach. Widziała też inne dziwne rośliny o grubych liściach i długich łodygach wyrastających ze środka. Na szczytach łodyg znajdowały się twory przypominające kwiaty, odwracające się w kierunku przechodzących dzieci, jakby rośliny wyczuwały ich obecność.

Kamienna ścieżka pod stopami była pokryta śliską mazią, a w szczelinach między kamieniami rosły dość obrzydliwie wyglądające grzyby. Każdorazowe nadeptanie budziło fale wstępnego fetoru. Śmierdziało jak w dole wypełnionym gnijącymi odpadkami.

Holly miała coraz większą ochotę zrezygnować z wyprawy i wrócić do domu, ale przenigdy nie przyznałaby się rodzeństwu do porażki. Jakiś głos wewnętrzny przekonywał ją, że nie wolno jej do tego dopuścić. Nawet gdyby się przemogła, nie była w stanie wypowiedzieć właściwych słów.

W dodatku zamiast ciepłej, robiło się coraz chłodniej. Wilgotne, zimne powietrze kasalo skóre dzieci, zmuszając do szczelniejszego zapiecia kurtek. Holly zatrzymała się, dostrzegłszy jakiś ruch przed sobą. To, co się poruszało, było równie szare jak napotkane wcześniej kwiaty i sunęło bezszelestnie. Z całą pewnością musiał to być wąż! Zniknął, zanim zdolała się upewnić.

Spróbowała odwrócić się do rodzeństwa, gotowa przyznać się do pomyłki, powiedzieć im, że muszą się stąd wynieść jak najszybciej, jednak, ku swemu przerażeniu, stwierdziła, że nie jest w stanie tego zrobić. Jakaś niewidzialna siła ciągnęła ją w głąb labiryntu.

Doszli do kolejnego rozwidlenia, szerszego od poprzednich. W zagłębieniu ścieżki stała woda - szeroka, błotnista kaluża. Nad nią sterczała kolejna postać uformowana z krzewów. Nie była podobna do tych przy wejściu, lecz jej głowa była równie przerażająca.

-Ja chcę do domu! - krzyknęła niespodzianie Judy. - Crock, chodźmy do domu!

Holly obejrzała się przez ramię. Choć Judy była wyraźnie wystraszona, nie zatrzymała się ani nie odwróciła. Zupełnie jakby siła ciągnąca naprzód Holly opanowała również jej siostrę.

Uslyszała zaniepokojony głos Crocka - Wydaje mi się, że nie możemy tego zrobić, Judy.

-Dlaczego? - W głosie malej brzmiała nuta paniki. - Nie ciągnij mnie tak, Crock! Pusc mnie. Ja wracam. Natychmiast.

-Wcale cie nie ciągnę. - Crock był przerażony. - Judy, nie mogę cie puścić. Naprawdę nie mogę. Sama spróbuj.

Widocznie spróbowała bez powodzenia, bo zaczęła krzyczeć jeszcze głośniej. - Nie mogę puścić reki Crocka! Holly, proszę, musisz nas stąd wyciągnąć. Musisz! To nie jest droga do Tamar. Ona ma dobre rzeczy, a tu jest samo zło. Holly - wyciągnij nas stąd!

Holly próbowała się zatrzymać, odwrócić, ale nie mogła. - Nie mogę, Judy, coś mnie tu trzyma, ciągnie naprzód.

-Mamo! Ja chcę do mamy! - wrzeszczała Judy i rozplakała się bezradnie.

Holly bywała już w życiu przerażona, ale nigdy dotąd tak jak teraz. To prawdziwy koszmar. Boże, niech to będzie tylko sen! Gdyby mogła się teraz obudzić.

Znaleźli się przy jeszcze jednym rozwidleniu z następną straszna figura patrząca prosto na nich. W miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy, lśniły jasne plamy przypominające lustro. Holly wbrew swej woli spojrzała w nie i zobaczyła całą trójkę: płacząca Judy, Crocka z poważną twarzą i siebie, małą i bezbronną. Krzaczaste straszdyło było tak ogromne, że bez trudu mogło zmieścić ich wyciągnięta reka uzbrojona w pazury wielkości palców dziewczynki i wdeptać w błoto.

Kiedy tak wpatrywała się w oczy potwora, czuła, że dzieje się coś niesamowitego. Najpierw przestała się bać. Czego tu się bać? Krzaków i muchomorów? Przecież wszedzie ich pełno. Dlaczego Judy beczy? To głupie, ale w końcu Judy często głupio się zachowywała. Zawsze była beksa i zazdrośnica. Chciała być tą jedyną, która zna drogę w labiryncie i może znaleźć Tamar. Teraz, kiedy Holly jej udowodniła, że sama sobie poradzi, udawała przestraszona i chciała wracać do domu. To oczywiste, że Crock z nią trzyma - przecież są bliźniakami i zawsze tworzyli wspólny front przeciw niej.

Wystarczy na nich spojrzeć w lusterku. Tacy mali i niewyraźni, kiedy ona jest duża, dobrze widoczna. To ona miała rację, że muszą ostrzec Tamar i dopilnować, żeby nie stała się ofiarą polowania na czarownice.

Zresztą nie powinna się im dziwić - sama zachowywała się głupio w jednej sprawie. To przecież oczywiste, że w labiryncie mieszkała czarownica, czarownica, która potrafiła spełniać różne życzenia. Lada chwila sama zdobędzie taką moc. Na pewno. Holly skinęła głową do swego odbicia w lustrze. Ona, Holly, może zrobić, co zechce, jeśli tylko mocno tego zapragnie. Każdy może to zrobić, jeśli tylko się postara i nie pozwoli, by ktokolwiek próbował odwieść go od zamiaru, tak jak teraz próbują Judy i Crock.

Nic z tego: to ona miała racje, nie oni!

Nie oglądając się dłużej za bliźniakami, Holly odwróciła się od luster. Jasne, że pójdą za nią, uśmiechnęła się do siebie. Muszą. Czarownica zadba, aby tak zrobili. Ale się zdziwia! Ona nie. Sama ma przecież kilka własnych życzeń. Jest wiele rzeczy, których sobie teraz życzy - rzeczy, które sprawia, że Becky Eames i Martha Torrey już nigdy nie osmiela się jej obgadywać. Holly rozesmiała się na myśl o paru psikusach, jakie będzie mogła im splatać, uzyskawszy wreszcie moc czarownicy.

-Holly, proszę, nie mów w ten sposób. - Głos Judy brzmiał cicho, jakby pochodził z daleka. Nie miało sensu zwracać na nią uwagi. Nie miała pojęcia o niczym. Była jedynie mała, głupia dziewczynka, nie większa od swego odbicia w lusterku. Głupie dziecko bez znaczenia. Holly nie zareagowała na jej słowa.

Szła coraz szybciej. Nareszcie ściany tunelu zaczęły się zmieniać - pojawiły się na nich zielone listki. Dlaczego dotąd uważała, że muchomory i te dziwne rośliny są straszne? Przecież wcale nie są brzydkie, mają charakter, nie tak jak kwiatuszki, których wszędzie było pełno. Muchomory są tak wielkie, że pewnie nigdzie na świecie nie ma im równych.

Ścieżka skręcała raz jeszcze. Tym razem nie było już żadnego krzaczastego stwora. Zamiast tego zobaczyli wysoki kamienny słup, na którego szczycie leżała czaszka jakiegoś zwierzęcia z ogromnymi rogami przypominającymi jelenie. Czaszka była na wpół obrosnięta zielonym mchem, lecz Holly miała wrażenie, że ją zna, wiedziała, że do niej przyjdzie i witała ją jakimś niezrozumiałym nawet dla siebie sposobem.

Nagle znaleźli się na otwartej przestrzeni. Dom Tamar stał tam, gdzie się spodziewała. Oczywiście lato już minęło, lecz bez tych wszystkich kwiatów i roślin, można było lepiej mu się przyjrzeć. Z komina wydobywała się równa smuga dymu. Tym razem jednak drzwi nie stały otworem.

Przecież to najzupełniej normalne. Ktoż zostawiałby drzwi otwarte na oścież w zimny dzień jesieni? Holly pokiwała głową ze zrozumieniem. Jeśli się ma właściwe podejście, wszystko można odpowiednio wytłumaczyć.

Ogród był na swoim miejscu, ale rośliny już nie żyły. Tu i owdzie sterczały wyschnięte łodygi, szerniałe kępy roślinności. Wydzielaly stęchła won śmierci. Jak jednak miały pachnieć, jeśli naprawdę nie żyły? Musi myśleć trzeźwo, nie porównywać wszystkiego do tego, co widziała podczas pierwszej wizyty. Wtedy panowało lato, teraz jest jesień. Babcia sama mówiła, że rośliny szybko umierają po pierwszych przymrozkach.

W centrum ogrodka stawek wypełniony był zielonkawą wodą. Na brzegu leżał martwy ptak, ciało drugiego pływało na powierzchni. O co chodzi - to tylko ptaki. Ludzie są ważni. Zwierzęta i rośliny istnieją jedynie po to, żeby zaspokoić potrzeby ludzi.

Idąc ścieżką w kierunku zamkniętych drzwi, Holly spostrzegła, że coś, co początkowo

wziela za grude zamarnietego blota, nagle ozylo i zanurzyla sie w metnej wodzie stawu. Waz? Nie miala pewnosc i na moment zwolnila kroku. Po chwili przypominala sobie duza i pewna siebie Holly, jaka widziala w lustrzanych oczach.

Nic sie jej nie stanie. Przyszla tu na zyczenie czarownicy i czekano na nia. Coz moga ja obchodzic niezwywe ptaki czy stwory pelzajace przez umarly ogrod.

Uslyszala mysl, ktora z pewnoscia nie byla jej wlasna.

-Wspaniale, moja dzielna laleczko!

Jak ktos mogl "mowic" w jej umysle w ten sposob? Mimo wszystko duza Holly jakos nie mogla sie tego wystraszc.

-Coraz lepiej, laleczko - pochwalil ja glos. - Jestes dokladnie taka, jak chcialam, swietny wybor!

Byla juz niemal przy drzwiach, kiedy ktos szarpnal ja za reke. Odwrocila sie z wsciekloscia.

Crock trzymal jej rekaw, a Judy zastawila droge. Oboje odpychali ja od wejscia. O co mi chodzi? Sa po prostu podli, zazdrozcza jej! Nie chca, zeby uzyskala czarodziejska moc. Nic z tego. Kiedy juz ja bedzie miala, to popamietaja.

Ropucha! Wypowie zyczenie, zeby ropucha towarzyszyta Judy na kazdym kroku, a nawet szla z nia do lozka.

-Wspaniale laleczko - pochwalil ja glos. - A co wymyslisz dla tego zuchwalego mlodzienca, ktory pragnie pozbawic cie zasluzonych przyjemnosc?

Na pewno jeszcze cos wymysli.

-Puscie mnie! - krzyknela przeraziwie. - Nie mozecie mnie powstrzymac, nie macie szans!

-Posluchaj, Holly - Judy znow plakala, lzy gesto splywaly po jej pyzatykh policzkach. - To nie moze byc dom Tamar. Spojrz na dach. Tamar nigdy nie trzymalaby czegos takiego. Spojrz!

Holly niechetnie spojrzala w gore. Na samej krawedzi dachu, nad drzwiami przybito rzad niewielkich, szarobialych czaszek. Niektore nalezaly do ptakow, inne do malych zwierzat. Ale jakie to ma znaczenie? Jakie znaczenie ma troche starych kosci? To tylko oznaka mocy.

-Wlasnie, laleczko, wlasnie tak - zgodzil sie glos.

-Puscie mnie! - Zaczela sie szarpac z rodzenstwem. Musiala sie uwolnic, otworzyc drzwi i stanac twarza w twarz z osoba, ktora ja tu wezwala i odebrac od niej czarodziejska moc,

dzieki ktorej bedzie w stanie zrobic wszystko, co chciala.

Holly nie wiedziala dokladnie, co powinna zrobic, ale bylo to strasznie wazne, a czas uciekal. Musi wyzwolic sie z uchwytu Judy i Crocka. Razem byli jednak dla niej za silni. Wierzgala i szarpala sie, lecz nie dawala rady. Odcinali ja od domku. Musi sie uwolnic.

-Starczy juz, koniec zabawy. - Glos w glowie odezwal sie glosniej niz dotad. Brzmiala w nim nutka gniewu. Potem zobaczyla, ze drzwi domu otwieraja sie powoli. Poruszaly sie plynnie, lagodnie, jakby same z siebie, a nie pchane ludzka reka.

Teraz glos rozbrzmial w jej uszach, a Crock i Judy staneli jak wryci, widocznie tez go uslyszeli: - W imie Hekate, wejdziecie.

IX

Hagar

Holly ruszyla naprzod nie obejrzawszy sie nawet, czy rodzenstwo podaza za nia. Na pierwszy rzut oka byl to ten sam dom, ktory wczesniej odwiedzili. Jednak kobieta stojaca przy palenisku nie byla Tamar! Usmiechala sie lagodnie, nie patrzac na garnek, ktorego zawartosc mieszala dluga lyzka. O ile Tamar nie wyrozniata sie szczegolna uroda czy strojem, ta dziewczyna (wygladajaca duzo mlodziej od poprzedniczki) byla sliczna. Na glowie miala ten sam rodzaj czepeczka, lecz zsunela go bardziej na tyl glowy. Twarz otaczaly drobne loczki tak jasne, ze niemal srebrne. Szeroka spodnica sukni byla zielona i podpieta do drugiej, ciemniejszej, a dlugi fartuch i chusta zarzucona na gorsecik obszywala waska koronka, rowniez zielona.

Jasna zielen spodnicy pasowala do barwy jej oczu, ktore wydawaly sie wielkie pod brwiami i rzesami, ktore byly ciemne i kontrastowaly z jasnymi wlosami. Kiedy usmiechnela sie szerzej, w policzkach pojawily sie urocze doleczki.

-Witajze, moja laleczko - zwrocila sie bezposrednio do Holly. - Witam tez twych krewnych. Szybko przybylas, co za zaleta uwazam, ma siostrzyczko.

Holly stala oniemiała. To nie byla Tamar. W takim razie, kto stal przy jej palenisku i korzystal z jej garnka, jakby byl u siebie w domu?

Zupelnie jakby wyczytala to pytanie w jej myslach, dziewczyna rozesmiala sie cichym i slodkim smiechem. - Ach, chodzi ci o to, ze ja znam ciebie, a ty mnie nie, laleczko? Jam jest Hagar...

To nie Holly jej przerwala, lecz Crock: - Gdzie jest Tamar? - Staral sie nadac glosowi grozne brzmienie. W tym jego pytanie wydalo sie krzykiem.

Usmiech zgasl na twarzy Hagar. Jej oczy zwezily sie i przez moment wydala sie podobna

do Tomkita, kiedy prychnął ostrzegawczo. Trwało to jednak tylko krótka chwila.

Zaraz znowu się uśmiechnęła, a jej głos stał się łagodny i pełen słodyczy: - Młody panie, siostra ma wyjechała. Dzisiaj ją pilnuje paleniska, jak sam widzisz. Ciesze się z waszego towarzystwa, gdyż ostatnio czuje się dość samotna w tym miejscu...

-Jesteś siostrą Tamar? - Holly nie mogła w to uwierzyć - dziewczyna w niczym jej nie przypominała. Ale w końcu Crock i Judy byli bliźniakami, a też nie byli do siebie podobni.

-Jej siostra, tak, lalczko. Ale to mnie przyszłaś tu odwiedzić, czyż nie?

Z ociąganiem, Holly skinęła głową. Dotąd nie zdawała sobie z tego sprawy, ale teraz przypominały jej sceny ze snu. Śniła o Hagar, nie o Tamar. To Hagar mówiła do niej we śnie i ona wskazywała jej drogę przez labirynt.

-Nie mówmy już więcej o Tamar. Ma swoje sprawy, a dzisiaj nic nas one nie obchodzi. Lepiej zadbajmy o własne przyjemności. - Hagar zaśmiała się. - Och, wiele przyjemności nas dzisiaj czeka, lalczki. - Wydawało się, że nagle zauważyła ich wszystkich i chciała, aby wszyscy włączyli się do zabawy. - Nie znalazście ich dotąd, lecz dzisiaj poznacie. Pozwólcie mi tylko dokończyć pracę, a sami zobaczycie!

Odwrociła się, by zajrzeć do garnka i podniosła do ust łyżkę, kosztując jej zawartość. Resztę wylała z powrotem do gotującej się cieczy. Spływające po łyżce krople miały ciemnozieloną barwę i spadały bardzo wolno, jakby były bardzo gęste. Hagar zaczęła nucić piosenkę łagodnie i cicho, lecz Holly słyszała każde słowo:

Królowo Nieba, królowo piekła

Spełn me życzenia. Rogaty łowco nocy

Użycz mi swej mocy.

Przez wszystkie moce lądów i morz,

Jak mówią: Niech to się stanie już.

Przez całą moc księżyca i słońca,

Niech wola ma spełni się do końca.

Przy ostatnich słowach przechyliła garniec, sięgnawszy uprzednio po misę. Ściekający płyn był gęsty, metny i oleisty. Nie było go wiele, a Hagar starała się nie uronić ani kropli, strasząc ostatnie nawet z łyżki:

Do dziwnej kompozycji zapachów wypełniających wewnątrz chatki dołączył nowy, nieznaną, nie to korzenny, nie to ziołowy. Holly nie była w stanie go określić. Nigdy dotąd nie czuła czegoś

podobnego.

Starannie trzymając miske w dłoniach, Hagar przeniosła ją na długi, zagracony stół, stawiając przy butelce, z szyjki której wystawał lejek. Ostrożnie zaczęła przelewać płyn z miski do butelki. Była tak skupiona na wykonywanej pracy, że Holly bezmyślnie, podeszła bliżej.

Ostatnia kropla spłynęła z lejka. Hagar szybko wyjęła go z naczynia i zamknęła butelkę korkiem wykonanym z ciasno zwiniętego kawałka kory przewiązanego zieloną nitką. Wepchnęła go na miejsce i uśmiechnęła się czarująco.

-Zrobione, i to dobrze! Kiedy praca wykonana, zabawa przed nami. Czego pragniesz, laleczko? - Znowu zwróciła się do Holly. - Czy chcesz się teraz dowiedzieć, co będziesz mogła zrobić, kiedy już...

-Holly! - pierwszy raz Judy odezwała się na tyle głośno, żeby można było ją usłyszeć. - Nie słuchaj jej! Ani się waz!

Ponownie, krótki atak gniewu zniekształcił twarz Hagar.

-Malenka - odwróciła się nieco, żeby spojrzeć za plecy Holly - masz niewyparzony język. Staraj się rzadko go używać, aby nie wpędził cię w kłopoty!

-Przestan! - Tym razem Crock zdobył się na odwagę. - Przestan straszyć Judy!

Powieki Hagar opadły, zakrywając częściowo jej wspaniałe oczy. Uśmiechnęła się, lecz w tym uśmiechu kryła się jakaś tajemnica. Holly poruszyła się niespokojnie. Gdzieś głęboko, czuła ogarniający ją lek. Hagar ponownie podniosła oczy, a jej tajemniczy uśmiech stał się otwarty i ciepły.

-Paniczu, nie trza się mnie bać. Nie wyrządze krzywdy ani tobie, ani twojej siostrze. Przeciwnie, mogę wam wiele zaofiarować. Postaraj się to zrozumieć. Coż jest najbliższe twojemu sercu? Pomyśl o tym z całych sił...

-Nie!

Hagar wzruszyła ramionami. - Niech i tak będzie. Nigdy dwa razy nie powtarzam swej oferty, chłopcze. Odrzuciłeś więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

Spojrzała na Holly tak, jakby jedynie ona została w domku. - Jednak ty, laleczko, ty dobrze poznalasz prawa rządzące tym światem. Bierz, co chcesz, kiedy tylko będziesz mogła. Dostaniesz moc, przyrzekam. Jednak w każdej umowie są dwie strony. Ja chętnie ci coś dam, jeżeli i ty nie będziesz się wzbraniała mi pomoc.

-Co mam zrobić? - spytała Holly, kiedy Hagar przerwała na chwilę.

Hagar rozesmiała się radośnie. - Och, to będzie naprawdę niewiele. Niewiele dla ciebie. Jednak dla mnie będzie oznaczało bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo przed tymi, którzy rusza na low. Niewiele wiem o tym, co mnie czeka, ale to zupełnie wystarczy. Wy zapewniacie mi bezpieczeństwo, laleczko, i z tego powodu chętnie was tu widzę, zresztą nie tylko. Mieszkacie na ziemi gotowej do siewu...

-Nie wiem, o co ci chodzi. - Holly nie kryła zdumienia. Rozumiała, że Hagar zada jej pomocy, jednak nie wiedziała, na co może się jej przydać.

-Nauczysz się. Będzie w tobie, więc bądź gotowa. Nie przyprowadzaj innych... - Hagar znowu zrobiła pauzę. Koniuszek jej języka dotknął najpierw górnej, a potem dolnej wargi. Nie powiedziała nic więcej, jedynie uśmiechnęła się raz jeszcze i skinieniem kazała Holly podejść bliżej.

-Posłuchaj - rozłożyła ręce w geście wskazującym na stół i znajdujące się na nim rzeczy - oto szkoła, w której można się wiele nauczyć. Dotyczy to jednak tylko tych, którzy czują taką potrzebę. Szybko się nauczysz, a wtedy obie będziemy bezpieczne. To bezpieczeństwo od ciebie zależy, kochanie.

-Jak ja mogę... - zaczęła Holly, kiedy nagle usłyszała śpiew, rozlegający się z oddali, słaby, ponieważ drzwi były zamknięte.

Lawenda jest niebieska, dilly, dilly!

Lawenda zielona.

Kiedy będę królem, dilly, dilly!

Ty będziesz królowa.

-Będę królowa! - Hagar chwyciła zakorkowaną butelkę, która wcześniej tak starannie napełniała. - Jasne, będę królowa!

Skocznym krokiem obiegła stół i znalazła się przy drzwiach. Holly bacznie ją obserwowała i nagle dostrzegła Crocka i Judy stojących przy ścianie z szeroko otwartymi oczami i przerażonymi minami. Nie poruszyli się, nie patrzeli też na Holly, która podeszła do okna, żeby wyjrzieć na zewnątrz.

Pochyliła się, żeby odsunąć liście rośliny stojącej na parapecie. Tym samym jej palce zetknęły się z jedną z małych szybek, która otworzyła się niespodzianie, przez co mogła nie tylko widzieć, ale i słyszeć, co działo się na zewnątrz.

Seth Elkins szedł szybko ścieżką przez zamrznięty ogród. Ubrany był w długi płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. Jednak nie chował twarzy, która rozjaśniał szeroki uśmiech.

-Kochanie, chodź do mnie przedko, czekam tu na ciebie! - Szeroko rozwarł ramiona, jakby chciał, by Hagar dała się zamknąć w objęciach. Ona jednak, choć również się śmiała, cofnęła się o krok.

-Nie śpiesz się tak, bohaterze - powiedziała. - Czyżbyś chciał zniszczyć wszystko, co dotąd wypracowałam?

Trzymała przed sobą butelkę, na której widok zatrzymał się.

-A więc zrobiłaś to, czym mi groziłaś? - powiedział powoli. Całe dotychczasowe szczęście zgasło z jego twarzy.

Hamar zrobiła jeszcze jeden krok w tył, marszcząc brwi. - Czymże ci groziłam? Obiecywałam jedynie, że obojgu nam będzie dobrze, że uczynię wszystko, aby do tego doszło. Nie powiedziałaś wówczas, że godzisz się na to? Dlaczego teraz oskarżasz mnie, która zawsze byłam ci wierna i wobec ciebie szczerą? A może porozumiałaś się w końcu ze swym ojcem i ruszysz w konkury tam, gdzie ci kaze?

-Dobrze wiesz, że to kłamstwo! - powiedział gniewnie. - Ty jesteś ma miłością, jedyną miłością. Nigdzie indziej nie staram się o względy dziewczęce. Gniew ojca mego nie skieruje mnie na drogę, którą nie chcę kroczyć. Jednakże...

-Jednakże? - Hagar powtórzyła z ostrością, której Holly dotąd nie słyszała w jej głosie. - Więc jest jednak jakieś Jednakże". Czy możesz mi to wyjaśnić?

-Sama to powiedziałaś - czary.

-Czary? A co to może znaczyć? - wysoko podrzuciła głowę i spojrzała prosto w jego oczy. - Czyżbyś nazywał mnie wiedźmą? Jeśli tak, nie wstydz się tego, powiedz to wszem i wobec. Powiedz to wielebnemu Eamesowi i jemu podobnym. Wyslij mnie na śmierć i patrz jak mnie wieszają, co niewątpliwie nastąpi. Nie robie nic złego. Potrafię pomóc chorym i wszystkim życzę jak najlepiej. Gdybyś potrafił przekonać o tym swego ojca, to i ode mnie mogłbyś pomoc uzyskać. Przecież obiecałam ci to: tak będzie, jak i ty chcesz będziesz, o ile nie sprzeciwiś się ojcu swemu. Nie życzę mu zła - nie jestem aż tak niemadra. Wszyscy już od dawna gadają o Tamar, która nie przestaje głupio działać, mimo że wiele razy ją ostrzegałam. Czyż mam własnymi uczynkami ją pograć?

Mówiąc to zbliżała się do niego powoli, nie spuszczać go z oczu. Na twarzy młodego mężczyzny pojawił się dziwny wyraz, którego Holly nie mogła zrozumieć, zupełnie jakby na całym świecie widział i słyszał jedynie Hagar.

Dziewczyna trzymała butelkę w lewej ręce. Prawą wyciągnęła przed siebie, odsuwając pole płaszcza Setha i dłoń dotknęła jego piersi nad sercem. - Czy uważasz mnie za głupią, Seth? Czy wyglądam na taką, która dałaby tym, którzy nam źle życzą, dowody na to, że mają rację? Czy tak uważasz, Seth?

-Nie! - Chwycił jej dłoń. - Nie, Hagar. Kocham cię ze szczerego serca i jesteś całym moim życiem. Nie ma w tobie krzty zła!

-Zawsze o tym pamiętaj - powiedziała. - Teraz, jeśli taka twoja wola, wyleje zawartość tej butelki prosto na ziemię. Chociaż ten płyn może pomóc nam w realizacji naszych planów, nie chcę abyś sądził, że kiedykolwiek źle życzyłam ludzkiej istocie!

Uwolniła się z jego uścisku, zrobiła krok w tył z prawą dłoń na korku butelki gotowa wyrwać go i zrobić to, co powiedziała.

Przez chwilę patrzył to na nią, to na butelkę. - Co w niej jest?

-Same zioła - odpowiedziała szybko.

-Więc dlaczego uważasz, że to może wpłynąć na mego ojca, zmienić jego zamiary względem nas?

-Ukoj to jego cierpienia i przez to łatwiej cię wysłucha.

Sluchaj, czy mogłabym to zrobić, gdybym wreczala ci jakas trucizne?

Hagar wyrwała korek. Trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym, jednocześnie zanurzyła mały palec drugiej ręki w ciasnej szyjce butelki, aż jego koniuszek zetknął się z zielonkawą cieczą. Kiedy go wyciągnęła, oleista kropla zwisała z opuszką. Szybkim ruchem wsadziła palec do ust i wylizowała do czysta. Powoli zakorkowała buteleczkę.

-Widzisz, co zrobiłam? Czy teraz mi ufasz?

-Tak. - Wyciągnął rękę, a Hagar wreczyła mu buteleczkę.

-Jak i kiedy mogę to mu podać? - spytał.

-Wlej trzy krople do napoju, który spożywa przed snem. Tego, jaki moja dobra siostra dała mi, żeby złagodzić bóle brzucha. Rob tak przez trzy wieczory, odczekaj jeden i przez następne trzy. Sam się przekonasz, jak szybko zmieknie mu serce i będzie się do ciebie odnosił równie przyjaźnie jak wówczas, kiedy stary pan Dimsdale poprosił cię, żebyś poślubił jego zezowatą córkę, jedyną którą po nim dziedziczy. Dwa razy po trzy dni, jak ci mówiłam, a będziemy mężem i żoną!

-Oby to się stało jak najszybciej! - Seth znów się uśmiechnął. Wsadził buteleczkę do kieszeni, ujął Hagar pod pachy i podrzucił, śmiejąc się głośno. Ona też się rozesmiała. Potem ją pocałował.

Wyrwała się z uścisku. - Ruszaj w drogę, zuchwalcze. Niech Tamar cię nie zobaczy, bo pozazdrości mi twoich zalotów. Może nam zaszkodzić. Również Patience Dimsdale wymaga

bachnej uwagi. Ona potrafi długo czekać i obserwować. Nie chcemy chyba gniewać twego ojca, zanim ostatecznie przekona się do nas. Przez długi czas nie darzył mnie swą sympatią, nie ma więc sensu dorzucać drewna do ognia jego niechęci. Wkrótce jednak, mój najdroższy, stanie się tak, że będziemy razem na wieki.

-Oby jak najszybciej.

Kiedy Seth siedł w stronę lasu, Hagar stała na progu usmiechnięta, kiwając mu dłonią za każdym razem, kiedy się odwrócił, żeby na nią spojrzeć. Gdy zniknął między drzewami, Hagar weszła do domu, a Holly, pełna wyrzutów sumienia, szybko odsunęła się od okna.

-Co ma być, to będzie - powiedziała Hagar jakby do siebie. - Jeśli ktoś zacznie pytać, co, wówczas moja biedna siostra będzie musiała odpowiadać. Głupia, po trzykroć głupia była i będzie na zawsze!

Jej spojrzenie padło na Holly. Skinęła głową. - Nowa lekcja, moja lalczko, choć może jeszcze nie możesz pojąć jej znaczenia. Coż, zabawmy się teraz i zostanmy współniczkami, bo tym właśnie przyszło nam być.

Podobnie jak niegdyś Tamar, Hagar oczyszczała jeden koniec stołu. Jej ruchy były szybkie i pewne, kiedy rozstawiała talerze, przynosiła kubki, czarny chleb i miód. Tym razem jednak Holly nie czuła głodu. Dostrzegła też, że Hagar nakryła jedynie dla dwóch osób.

Zerknęła za siebie na Judy i Crocka. Ku jej zaskoczeniu zobaczyła, że stoją dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej widziała ich ostatnio. Tkwili przy ścianie z zaskoczeniem i lekiem zastygłym na twarzach. Po raz drugi poczuła dziwne ukłucie strachu.

-Co im zrobiłaś? - spytała oskarżycielskim tonem. Hagar zajęta rozrywaniem małego bochenka chleba na porcje i układaniem ich na talerzach usmiechnęła się lekko. - Boisz się, lalczko! - W jej głosie brzmiała troska. - Niepotrzebnie. Strach osłabia postanowienie, spowalnia myśli. Nie skrzywdziłabym nikogo z twojej rodziny. Jednak oni widzą we mnie samo zło i mogliby ci zaszkodzić, ponieważ nie rozumieją, co nas łączy. Są teraz jakby we śnie. Nie bódaj niczego pamiętać. Wszystko wyda im się snem, niezbyt wyraźnym i pozbawionym znaczenia. Ty zaś zapamiętasz wszystko, zwłaszcza to, co musisz uczynić. Chódz tu teraz, posilimy się. Jesteśmy wszak przyjaciółkami, a przyjaciele dzielą się jadłem i napitkiem.

Holly z ociąganiem podeszła do stołu. Chwilami miała wrażenie, że przebywa w innym pokoju z inną gospodynią - przy czym nie była to ani Hagar, ani Tamar. Wówczas na chwilę ogarniał ją lek. Zaraz potem wrażenie zniknęło, znowu czuła się dobrze i była pewna, że to co Hagar mówi jest prawdą i tylko prawdą, i że wszystko ułoży się jak najlepiej.

Gdy Holly usiadła na ławie przy stole, Hagar przysunęła sobie taboret i przysiadła naprzeciw dziewczynki. Uniosła ręce i wykonała tajemny znak nad chlebem i napojem w kubeczkach.

Holly siegnęła po kawałek chleba. Nie czuła głodu i nie miała ochoty brać go do ust. Jednak pod baczny spojrzeniem gospodyni uznała, że byłoby niegrzecznie gdyby tego nie zrobiła.

Chleb Tamar miał dziwnie cierpki posmak. Musiała szybko sięgnąć po kubek, żeby w ogóle go przełknąć. Napój w kubku nie smakował jak sok jabłkowy, lecz był bardzo kwasny i niemal sparzył jej usta.

-Nie jestem zbyt głodna - powiedziała czując, że nie jest w stanie sięgnąć po następną porcję.

-Nie? A ja myślałam, że sięgnął ci tu pewien rodzaj głodu, laleczko. Czyżbyś nie pragnęła znaleźć tu czegoś, co pograżyłoby twoich wrogów i pomogło spełnić marzenia? - Oczywiście Hagar odszukała spojrzenie Holly i przywiązała do siebie dokładnie w ten sam sposób, jak wcześniej uwieziły wzrok Setha.

Było to zupełnie takie samo uczucie, jak wtedy, gdy patrzyła w lustrzane oczy potwora na ścieżce. Holly miała wrażenie, że widzi siebie w zielonych oczach Hagar i jej niepokój zniknął. Oczywiście, Hagar miała rację! Chciała opanować wiedzę tajemną, uzyskać moc i sprawić, żeby wszyscy pozalowali. Jeszcze nie wiedziała dokładnie, kim są owi "wszyscy", wobec których chciała wypróbować siłę swych życzeń. Jednak nadejdzie czas, kiedy to stanie się jasne, na pewno!

-Tak, laleczko, będziesz wszystko wiedziała - Hagar skinęła głową. - Jednak taka wiedza nie pojawia się w jednej chwili. Narasta stopniowo, jak ziarno wrzucone w glebę, która jest dla niego najwłaściwsza.

-Czy naprawdę jesteś siostrą Tamar? - Holly nie była pewna, dlatego zadała to pytanie ani dlatego odpowiedź Hagar miałaby mieć dla niej znaczenie. Czuła jedynie, że to ważne.

-Masz wątpliwości? Dlaczego? Tylko dlatego, że ona jest pospolita, a ja piękna? - Hagar uniosła dłoń, żeby odgarnąć loki opadające na oczy. - Ponieważ ona jest starsza, a ja młoda? Mimo wszystko, to prawda. Jesteśmy z jednej rodziny. Mamy takie samo wykształcenie i moc. Teraz jednak wyjawie ci mój sekret, laleczko. - Uśmiechnęła się, a w jej zielonych oczach isniły iskielki jakby wcale nie były oczami lecz klejnotami. - Tak, prawdziwy sekret - moja siostra nie jest ani tak mądra, ani tak silna jak sądzi. Bidulka. To co ona uczyni, ja mogę odwołać tak łatwo jak strzelenie palcami. - Podniosła ze stołu długą gałazkę. Złamana, trzasnęła między jej palcami głośniejsz, niż można by się spodziewać. - Co ona zbuduje, ja obracam wniwecz. Tak, laleczko, lepiej trzymaj się mnie.

-Tamar, Tamar była miła... - Holly znów nie wiedziała, dlaczego to mówi. Te słowa wywołały wspomnienia. Przecież przyszła tu, żeby przestrzec Tamar przed niegodziwymi zamiarami Sextona Dimsdale'a. Jeżeli ci ludzie przyjdą spalić dom czarownicy, wówczas automatycznie staną się wrogami Hagar.

-Posłuchaj - Holly pochyliliła się nad stołem. Musiała wreszcie przekazać swe ostrzeżenie. -

Tam, skąd pochodze, mowi sie, ze w noc przed Swietem Zmarlych pan Dimsdale i inni ludzie zamierzaja spalic ten dom i zabic Tamar i ciebie.

Wprawdzie babcia nie wspominala o Hagar, ale jezeli tu mieszkala, rowniez byla zagrozona.

-Tam skad pochodzisz - powtorzyla powoli Hagar. Albo nie uwierzyla Holly, albo tez inne mysli byly dla niej teraz wazniejsze. - A skadze to pochodzisz, laleczko? Oczywiscie, odnalazlam cie w sennym labiryncie, lecz nie znalazlam miejsca twego pobytu, dopoki nie skorzystalas z uroku, ktory otworzyl brame miedzy nami. Opowiedz mi teraz o swoim swiecie!

Kolejny raz zwiazala Holly swym spojrzeniem. Wydawalo sie, ze potrafi siegnac wzrokiem do duszy dziewczynki.

-To chyba zupełnie inna epoka - powiedziala Holly pelna watpliwosci. - W moim swiecie mamy lata siedemdziesiate dwudziestego wieku.

-Lata siedemdziesiate dwudziestego wieku - powtorzyla za nia Hagar. Odsunela od siebie talerz, zanurzyla konce palcow w plynie wypelniajacym kubek i zaczela nim kreslic linie na blacie stolu. Pochylila nieco glowe, by moc sie im lepiej przyjrzec w ten sam badawczy sposob, w jaki patrzyla na Holly, odpowiadajac na jej ostatnie pytanie. - Niech tak bedzie! - powiedziala w koncu. - Inny czas. Opowiedz mi o nim.

Holly starala sie ze wszystkich sil, ale nie byla w stanie prawdziwie przedstawic Dimsdale takim, jakie bylo w jej pamieci. Przeciez swiat wygladal zupełnie inaczej, jak mozna to opisac?

Dimsdale w ruinie, gotowe na przyjecie wyrzutek - Hagar rozesmiala sie na glos. - I coz pan Sexton na to powie? To dobry koniec dla kogos tak dumnego jak on. Jednak ten twoj swiat jest zupełnie inny od mojego. Kazdy to widzi. Jedynie ludzie sie nie zmienili. Z nimi moze sobie poradzic, laleczko, przy twojej pomocy oczywiscie. Jestem ci to winna. Jednak kiedy nadejda klopoty, Hagar tam nie bedzie! Dobrze zrobilam, wzywajac cie do siebie.

-Ale Tamar... - zaczela Holly.

-Tamar? - rozesmiala sie Hagar. - Czyz nie mowilam ci, ze ona takze ma wladze, do pewnego stopnia. To cien wladzy, jaka moglaby miec, gdyby tak bardzo sie nie bala. Niech sama sie broni, tak jak ja. Wprost nie moze sie doczekac, kiedy na wlasne oczy ujrze ten twoj dziwny swiat, laleczko.

-Czy zamierzasz wrocic tam z nami? - Holly byla zaskoczona i niepewna zarazem. Nie bardzo wiedziala, jak moglaby pomoc Hagar w przystosowaniu sie do zycia w ich czasach. Podswiadomie wcale nie pragnela, aby Hagar przeniosla sie do ich czasu. Hagar i Tamar byly czesciami czegos, co w jej rozumieniu nie bardzo moglo byc zwiazane ze swiatem rzeczywistym, bezpiecznym swiatem stodoly, mamy i dziadka, babci, szkoly, swiatem, jaki

Holly znalazła od zawsze.

-Teraz nie mogę do ciebie przyjść, lalczko. Trzeba zebrać całą moc. Chciałabym się tam jednak bezpieczniej z twoją pomocą. To miło z twojej strony, że nas ostrzegłaś. Jednak możesz uczynić jeszcze więcej: zadbać, żeby to wszystko - szerokim gestem wskazała na otoczenie - było bezpieczne.

-Jak mogę tego dokonać?

-Całkiem łatwo, lalczko. Sama ci pokaże. Dzięki swojemu charakterowi masz wszystko, co trzeba, żeby to osiągnąć.

Wdziecznie podniosła się z taboretu. - Siedź tu spokojnie, aż zbiore wszystko, czego ci trzeba. Słuchaj uważnie, co ci powiem. Przyszłaś tu, by nas ostrzec, wyjdiesz stąd, mogąc nas ocalić.

Hagar skierowała się ku szafce w ciemniejszym koncu pomieszczenia i odsunęła ciężką zasuwę. Wewnątrz Holly dostrzegła małe słoiki i woreczki starannie umieszczone na półkach. Zdawało się, że sama Hagar nie była pewna, które będą jej potrzebne. Sięgała to po jeden woreczek, to po drugi, dotykała licznych, wając je w dłoń, jakby nie była pewna, co będzie najbardziej odpowiednie.

W końcu wróciła do stołu z kilkoma paczuszkami, z których jedna wyraźnie przewyższała rozmiarami pozostałe. Pacuszki były tak dobrze zapakowane, że Holly nie była w stanie rozpoznać ich zawartości. Kładąc je na stole, Hagar powtarzała ich nazwy tak, jakby spodziewała się, że wszystkie będą Holly znajome.

-Przestęp, konopie, werbena, bylica, podejrzon, dziewanna i najmocniejszy ze wszystkich - dotknęła palcami najdłuższej pacuszki - korzeń mandragory. Trzeba je wszystkie wysadzić i to w miejscu, gdzie rozwina się bez wścibskich spojrzeń. Rozumiesz?

Holly skinęła głową. Babcię ogródek w szopce. Tym razem jednak spytała: - Po co są te rośliny?

-Dla twojej korzyści, lalczko. Dopóki rosną będą, czas pozostanie na swoim miejscu. Jednocześnie twoja moc wzrastać zacznie. Podejrzon księżycowy, kiedy dojrzeje, sny twoje będzie spełniał. Takie same, jak ten, który cię tu sprowadził. Kiedy przysni ci się coś takiego, przemówię do ciebie i powiem, co masz dalej czynić, aby niebezpieczeństwo, o którym mi mówiłaś, wniwecz się obróciło. Teraz rozumiesz?

-Tak. - Rozumiała, że Hagar potrzebowała jej pomocy, jeśli ma uciec przed Sextonem Dimsdale'em. A jeżeli jej się to uda, wówczas i Tamar się uratuje. W ten sposób próbowała uspokoić swe sumienie. Dzięki temu i dom, i czarownica mogli zniknąć w dzień po odstraszeniu napastników.

Hagar pochylila sie i wyciagnela reke. - Zamknij oczy, laleczko! - rozkazala.

Zmieszana Holly wykonala polecenie i poczula delikatnie dotkniecie na powiekach.

-A teraz usta. - Nie otwierajac oczu, dziewczynka mocno zacisnela wargi.

-Tak ma byc, jako mowie! - Uslyszala glos Hagar. - Wystarczy, laleczko. Oczy cie nie zwioda, a usta dotrzymaja tajemnicy, dopoki znow sie nie spotkamy. Teraz zabierz to, co masz zasadzic i wracaj do swego swiata.

Wlozyla paczuszki do torby zielonej jak trawa lub swieze liscie i wreczyla ja Holly.

-A co z Judy, Crokiem... - spytala niepewnie.

-Nie beda nic pamietac, jeno to, ze zagubili sie w labiryncie. Wyprowadz ich za reke, a wszyscy bezpiecznie sie stad wydostaniecie. Na pewno dobrze sie sprawisz, laleczko, bardzo dobrze.

Holly wepchnela zielona torbe za pazuche, jednak kiedy sie odwracala, Hagar znow przemowila. - Twoi krewni, laleczko, to ty ich tu sprowadzilas, a to co zobaczyli i uslyszeli nie bylo im przeznaczone. Powiedzialam, ze o wszystkim zapomna i tak tez sie stanie jezeli...

-Jezeli? - Holly zeszywniala. W sposobie, w jaki Hagar wypowiedziala to slowo, bylo cos, co ja zupełnie zmrozilo.

-Jezeli uczynisz wszystko, co musi byc zrobione, wszystko bedzie w porzadku, wspomnienia znikna. Ale jesli postanowisz zignorowac me rozkazy... - Hagar powoli potrzasnela glowa. - Wowczas sama nie wiem, jakie koszmary beda ich nawiedzac. Ty, laleczko, widzialas tu rzeczy takimi, jakimi sa naprawde, lecz twoje rodzenstwo nie mialo tak jasnej wizji i widzieli rzeczy, o ktorych lepiej nie pamietac, ktore beda wracac w snach.

Holly spogladala na Hagar, to na Judy i Crocka, na ich nieruchome twarze. Tak, rzeczywiście malowal sie na nich strach. Hagar miala racje - to jej wina, ze tu przyszli, jej wina, ze sa narazeni na koszmary.

-Nigdy do tego nie dopuszcze! - Pomyslala przez moment, ze czesciowo byla to takze ich wina, ale ona dopilnuje, zeby wszystko bylo w porzadku, udowodni im, ze miala racje.

-Wlasnie tak, laleczko. Pamietaj o wszystkim, co ci mowilam, i zrob to, co trzeba zrobic, a wowczas nie zdarzy sie nic zlego. - Hagar znow uniosla reke i wykonala tajemniczy znak w powietrzu.

Holly zmruzyła oczy. Czy naprawde zobaczyla dziwna poswiata wokol wyciagnietego palca Hagar? Zniknela tak błyskawicznie, ze dziewczynka nie byla pewna, czy w ogole sie

pojawiła. Przeszła przez pokój i dotknęła luzno zwisającej reki Crocka. Była zimna jak lod, tak samo jak dłoń Judy.

Drzwi otworzyły się same. Holly przeszła przez próg, ciągnąc za sobą bliźniaki. Na zewnątrz było jeszcze bardziej ciemno i ponuro. Ciężkie chmury zwisały tuż nad ich głowami, a przenikliwie zimny wiatr z pełną siłą uderzył w twarze dzieci. Do domu, niech znajda się jak najszybciej w ciepłym wnętrzu, gdzie wszystko było na swoim miejscu. Crock i Judy szli za nią, a ich niewidzące oczy wpatrywały się w dal. Holly słyszała o ludziach chodzących we śnie. Czy to właśnie przytrafiło się jej rodzeństwu? Dobrze chociaż, że szli posłusznie i łatwo mogła prowadzić ich przez labirynt.

Wyszli już z ogrodu. Holly spojrzała za siebie, sama nie wiedząc dlaczego. Drzwi domku były już szczelnie zamknięte, z komina nie wydobywała się najdrobniejsza smuzka dymu, która świadczyłaby, że ktoś tam mieszka. Sam dom widziała teraz jak przez lzy, zamazany, niewyraźny kontur czegoś, co wcale nie przypominało domu - raczej ciemnego potwora obserwującego ją lustrzanymi oczami.

Przestraszyła się i ruszyła pedem przez korytarz labiryntu czując, jak mocno bije jej serce. Posliznęła się na mokrym kamieniu i niemal upadła. Idź wolniej. Nic cie nie goni - zganila się w myślach.

Pewnie wybierała kierunek na zakretach, nie puszczając dłoni Judy i Crocka. Byli już przy potworze, który wcześniej miał lusterka zamiast oczu. Tym razem nic nie lśniło na jego głowie. Dostrzegła jedynie wielkie czarne dziury. Zadrzała i przyspieszyła kroku.

Było strasznie zimno i ciemno. Jedynie pod stopami w gestwinie roślin zarastających ścieżkę i między wielkimi muchomorami spostrzegła małe drobinki światła. Widziała, jak się poruszają i obserwują ją - oczy! Gorąco zapragnęła, aby zniknęły, aby znalazła się daleko od labiryntu, w świetle, który potrafiła zrozumieć.

Kolejne zakrety. Łatwo o błąd, ale w głębi duszy wiedziała z całą pewnością, który kierunek wybrać. Osmielila się baczniej obserwować drogę i zobaczyła kontury obrzydliwych głów - szczury! Aż pisnęła ze strachu. Z całego serca nie cierpiała szczurów. Na szczęście żaden z nich nie był dość zuchwały, by wyjść na ścieżkę.

-Holly, Holly, gdzie jesteśmy? - Crock niespodziewanie szarpnął ją za rękę. - Dokąd...

Oczy chłopca straciły bezmyślny wyraz lunatyka. Rozglądał się dookoła i czuł, że się boi.

-W labiryncie.

-Musimy się stąd wydostać! - Echo odbiło jego przerażony krzyk. Okropne oczy świecące z obu stron zbieżności zbieżyły ścieżkę przed dziećmi. Holly spojrzała na dół i szybko odwróciła wzrok. Miała wrażenie, że krąg niesamowitych stworzeń i szczurów zaciska się wokół nich. Przecież Hagar obiecała jej...

Samo wspomnienie imienia Hagar odsunelo strach. Przeciez nie ma tu niczego, co tak naprawde mogloby przerazic brata, od kiedy jest taki bojazliwy? Gdyby nie ona, nie doszedlby nawet do tego miejsca. Nie mieli sie czego bac, Hagar jej to obiecala.

-Chodz juz - rzucila gwałtownie. - Latwo sie stad wydostaniemy.

Crock jednak nie zwracal na nia uwagi. Spojrzal na Judy. - Judy? Co sie jej stalo? - Teraz oskarzycielsko wpatrywal sie w twarz starszej siostry.

-Nic takiego. Ona, ona tak jakby spi. No dalej! Chlopiec zadrzal, ale poslusznie szedl naprzod. Nawet chwycil Judy za wolna reke i teraz oboje z Holly ciagneli mala do wyjscia.

-Tamar - szepnela Judy ledwie slyszalnie. Hagar powiedziala, ze nie beda niczego pamietac, ze uwierza, ze zagubili sie w labiryncie. Dlatego Holly nie moze powiedziec niczego, co mogloby wzbudzic ich podejrzenia. Gdyby tego nie zrobila, wywola nieszczescie. Zastanawiala sie intensywnie, co powiedziec siostrze.

-Nie znalezlismy Tamar. Zgubilismy sie w labiryncie.

-Nie podoba mi sie to miejsce - rozplakala sie Judy. - Chce wrocic do domu. Nie chce tu zostac.

-Wlasnie tam idziemy - uspokajala ja Holly. - Idziemy tak szybko, jak mozemy.

-Ale sie zgubilismy. To ty nas zle prowadzilas. Wiedzialas, ze to zla droga! - Na twarzy Judy pojawil sie doskonale znany wyraz uporu. - Nie bede juz szla tam, gdzie mi kazesz. Bedzie coraz gorzej.

-Nie, Judy. Posluchaj mnie, pamietam to miejsce. - Crock pierwszy wszedl w kolejne rozwidlenie sciezki. - To musi byc dobra droga.

Judy wyrwala sie Holly i popedzila za nim. Przez chwilke Holly patrzyla jak sie oddalaja. Czula ziab powietrza i dziwny chlod wewnatrz. Jej siostra i brat zachowywali sie, jakby nie chcieli dluzej z nia byc.

No to co - podpowiedzial jej jakis glos - przeciez wiesz wiecej od nich. Hagar powiedziala ci przeciez, ze masz w sobie moc, ktorej im brakuje. Holly nie byla pewna, czym moze byc owa moc, ale samo myslenie o niej dodalo jej sil i sprawilo, ze poczula sie wazniejsza niz kiedykolwiek. Przycisnela dlonie do piersi i wyczula torbe schowana pod kurtka. Zrobi, co Hagar jej kazala, zdobędzie ogromna wiedze, a wowczas niech no Judy i Crock osmiela sie powiedziec, ze nie ma racji! Wtedy sie przekonaja!

X

Drugi siew

-No, i co o tym myślicie? - Babcia musiała usłyszeć, jak wchodzili, ale nie odwróciła się od stołu. Wyprostowała się na krześle i uważnie oglądała to, co stało przed nią. Posazek kobiety był gotowy. Była to...

Holly potrzaskała głową z niedowierzaniem. Oczywiście, to nie mogła być Tamar! Jednak posazek przedstawiał kobietę ubraną zupełnie jak ona: szeroka spódnica podpięta na bokach, aby ukazać drugą niemal tak samo obfita, fartuch, kolnierz, koronkowy stanik i czepek zakrywający włosy. Figurka była jednak zupełnie biała, bez ożywiających kolorów.

-To przecież Tamar! - Zanim Holly zdolała ją powstrzymać, Judy podbiegła do stołu i zafascynowana przyglądała się figurce. - To na pewno ona!

Dopiero teraz babcia spojrzała na nich. - Tamar? A ktoż to taki? Co to za dziwaczne imię? Gdzieście je usłyszeli? Zmieszana Holly nie była w stanie wydobyć głosu z gardła, więc Crock odpowiedział pierwszy. - Judy usłyszała jakąś starą historię o Dimsdale. Podobno kiedyś mieszkała tu jakaś Tamar.

-Naprawdę? - Babcia wyglądała na szczerze zainteresowana. - To chyba panna Sarah z biblioteki wam o tym opowiadała. No coż, tu nic takiego nie ma, patrzcie. - Wskazała palcem na kilka słów wyrytych na postumencie statuetki. - Coś takiego! - Pochyliła się lekko, żeby odcyfrować delikatne litery nie dotykając przy tym figurki, starannie podtrzymując okulary na nosie.

-Co tam jest napisane? - Judy przysunęła się bliżej z głową do przodu. - Och, patrzcie, jest i Tomkit. Tuż przy jej stopach. Słuchajcie. - Judy powoli przeczytała wyryte słowa: - "Młoda czarownica". To kłamstwo! - krzyknęła nagle. - Tamar nie jest żadną czarownicą! Ona jest dobra!

-Judy! - Babcia powiedziała to ostrzej niż zwykle. Nigdy dotąd tak się do nich nie odzywała. - Złe zrobiłam, powtarzając wam historię, którą opowiadała mi panna Elvery. To jasne. Nie ma takich rzeczy jak czarownice. One istnieją tylko w bajkach. Panna Elvery była taka stara i tyle ją spotkało nieszczęść w życiu, że, no coż, nie potrafiła myśleć normalnie. Wiele się naczytała o dawnych czasach i bardziej żyła nimi niż rzeczywistością. Nic mi nie wiadomo o tej Tamar, ale macie natychmiast przestać wygadywać różne rzeczy o czarownicach i takich sprawach.

-Przecież powiesili czarownice w Salem - wtracił Crock. - Sami widzieliśmy dom, w którym je sadzono. Kiedyś ludzie wierzyli w czary.

Babcia spojrzała na niego. Ton niezadowolenia w jej głosie stał się jeszcze bardziej wyraźny. - Tutaj nikt nigdy nie wieształ czarownic. - Znowu spojrzała na figurkę, która tak ładnie naprawiła, lecz nie wydawała się już zadowolona ze swego dzieła. - Ta figurka, to po prostu wymyślony wyobraźni. - Siegnęła ręką po starą powłoczkę poduszki, gdzie zwykle trzymała skorupy, nad którymi pracowała i owinęła nią posazek. - To na sprzedaż.

Jezeli tylko pan Correy bedzie chcial ja kupic, sprzedam mu ja z radoscia. Z gniewna mina wstala i przeniosla zapakowana figurke do przegrody z posklejana porcelana, ustawiajac ja na najdalszej polce. Chyba zalowala, ze w ogole trafila w jej rece.

-To byla Tamar - powtorzyla Judy cicho z oczami utkwionymi w stol, z ktorego babcia zabrala posazek. - I tam bylo napisane, ze to czarownica! Cos zlego sie jej stanie, wiem na pewno!

-Na pewno nie! - Holly zdejmowala kurtke, podtrzymujac pole reka, zeby nie upuscic torby otrzymanej od Hagar. Judy nie miala o niczym pojecia, to tylko dziecko. Hagar byla siostra Tamar, mimo ze niezbyt ja lubila. Dom nalezal takze do niej. Nie pozwolilaby, zeby stary Sexton Dimsdale go spalil. Hagar wiedziala, jak go powstrzymac.

Jednak, zeby to zrobic, potrzebowala jej pomocy. Holly musi zasiac rosliny, jakie od niej dostala. Wprawdzie nie rozumiala, jak mozna komus pomoc wysiewajac cos w doniczkach, ale wierzyla, ze Hagar wie, co robi, inaczej nie zwrocilaby sie do niej.

Judy nie odwrocila sie ani nie probowala odpowiedziec siostrze. Holly znow miala to dziwne uczucie, jakby Judy byla od niej oddzielona szklana sciana. Nadal widziala siostrze, nawet mogla ja dotknac, uslyszec, ale nie byly juz sobie tak bliskie jak kiedys.

Jakie to moze miec znaczenie? Holly poczula ogarniajaca ja fale pewnosci. Nikt nie potrzebowal Judy, lecz Hagar potrzebowala Holly. To, co ma zrobic, jest ogromnie wazne. Musi to zrobic jak najszybciej.

Babcia ogladala rozbita porcelane ulozone na polkach. Judy odeszla od stolu i skierowala sie ku schodom. Crock wlasnie wychodzil. Nikt na nia nie patrzyl, nikt nie bedzie weszyl, jezeli wlasnie teraz wezmie sie do roboty.

Holly czula lekki dreszcz emocji. Przemknela obok brata. Tylko jedna rzecz byla w stanie zaklocic jej plan - dziadek pracujacy w szopie. Crock jednak nie szedl w te strone. Skrecil za rog, w strone podjazdu.

Dziewczynka przeszla obok ogoloconych rabatek, na ktorych pozostaloby jedynie kilka wysuszonych lodyg, przypominajacych te z labiryntu. Chmury byly niemal tak samo ciezkie i mroczne jak nad domkiem Hagar.

Polozyla juz dlon na zasuwie drzwi do szopy, kiedy az podskoczyla na dzwiek klaksonu. Dobiegl jaz drugiej strony domu. Czy to mialo znaczc, ze dziadek jest w szopie i ktos go wzywa? Ostroznie otworzyla drzwi.

Nie. Na stole lezaly jakies narzedzia, a na podlodze stala stara skrzynia przywieziona z domu Elkinsow, ale dziadka tam nie bylo. Byc moze wczesniej naprawial kufer, ale teraz szopa byla zupełnie pusta.

Holly przeszła do części, gdzie w równych rzędach stały cenne rośliny babuni. Wyciągnęła torbę spod kurtki i schyliła się zaglądając pod stol. Miała szczęście - zobaczyła tam jeszcze sporo pustych doniczek. Musiała wczolgać się pod blat, żeby je wydobyć, ale udało się.

Okropne pajeczyny. Wytarła ręce o jeansy. Nie cierpiała pajaków, dostawała dreszczy na ich widok, jednak babcia nie uznawała ich zabijania. Mawiała, że zwalczają wiele szkodników i nie przeszkadzają ludziom w ich domach.

Holly musiała teraz wyjść na zewnątrz i nakopać ziemi do doniczek. To było dość ryzykowne. Okno pokoju, który dzieliła z Judy, wychodziło właśnie na tę stronę. Co będzie, jeśli Judy zobaczy, co robi? Nie było jednak innego sposobu na napełnienie doniczek.

Wyszła szybko z koszem i łopatką. Szybkie spojrzenie w stronę okna - firanka wisiała prosto. Lepiej nie brać więcej ziemi z rabatek. Trochę bała się iść pod labirynt, ale tam łatwiej wypełni koszyk i szybciej wykona zadanie.

Pracowała tak szybko jak mogła, lecz grunt był twardy, pełen korzeni traw i kamieni. Kopala energicznie, cały czas nasłuchując, czy nikt nie zjawi się w pobliżu. Klakson przestał już ryczeć, ale raz po raz wydawało się jej, że słyszy czyjeś głosy. Dochodziły głównie od strony starych piwnic, które dziadek wypełniał niepotrzebnymi rupieciami. Chciał je wypełnić do końca, rozsypać na wierzchu kamienie, by teren wokół nabrał lepszego wyglądu. Tak samo było z wysadzaniem drzew: dziadek chciał, żeby Dimsdale wyglądało jak najładniej.

Ktoż jednak był w stanie tak urządzić smietnik, aby wyglądał ładnie? Holly wzruszała ziemię czubkiem łopatki i rozbijała grudy. Nie wyglądało to najlepiej, ale nie potrafiła znaleźć niczego lepszego. Może uda się jej zdobyć trochę nawozu do kwiatów sprzedawanych w sklepiku takiego, jakim mama wzmocniała fiołki alpejskie w domu. Na pewno uszlachetniąby glebę. Najważniejsze było wysianie roślin, jakie dostała od Hagar i ukrycie ich przed wścibskimi oczami. Nikt nie może się o nich dowiedzieć.

Chociaż Hagar nie powiedziała jej tego wprost, czuła, że nasiona i kłaczka wyniesione z labiryntu, stanowią wielką tajemnicę. Jeżeli Crock i Judy rzeczywiście nic nie pamiętają z ostatnich odwiedzin w labiryncie, mogła czuć się bezpieczna.

Ostatnio Holly nazywała dom w labiryncie domem Hagar, choć wcześniej widziała w nim i Tamar. Coraz trudniej było jej przypomnieć sobie Tamar. Kiedy na moment przymykała oczy, natychmiast pojawiała się Hagar, widziana tak wyraźnie, jakby stała nad nią i patrzyła jak pracuje.

Wyniki jej działań były zniechęcające. Kosz wypełniały twarde grudy zmarzniętej ziemi. Może wewnątrz zmiekną wystarczająco, aby można je było rozbic i wsypać do doniczek. Była zdecydowana nawet wykorzystać któryś z młotków dziadka, żeby osiągnąć swój cel. Mimo kłopotów z kopaniem, nie przestała uważać, czy nikt jej nie obserwuje.

Wreszcie koszyk był niemal pełen. Zawlokła go do szopy. W rogu spostrzegła stos starych

gazet. Dziadek rozkladał je na podłodze w czasie malowania.

Holly wzięła kilka gazet, postawiła na nich kosz i zaczęła ładować ziemię do doniczek. Być może ciepło panujące w szopie sprawiło, że niektóre grudy się rozpadły. Nawet te większe dawały się rozgnieść po chwili, kiedy energicznie uderzyła je trzonkiem łopaty. Musiała dać mniej ziemi do dwóch ostatnich doniczek, ale nie chciała kusić losu i ryzykować jeszcze jednej wyprawy pod zywopłot.

Pospiesznie wciskała nasionka. Największą donicę przeznaczyła dla klaczy. Starannie ubijała ziemię wokół nich.

Nadszedł wreszcie czas na poustawianie doniczek na polce. Poprzednio, razem z Judy, ukryły nowe między starymi, więc teraz musi zrobić tak samo. Kłopot w tym, że zostało już niewiele miejsca. Stając na palcach, zaczęła przesuwac je, gdy tylko znalazła trochę miejsca. Wreszcie pozostała jej jedynie doniczka z klaczami. Nie widziała innego sposobu, jak tylko wepchnąć ją pod stół, w nadziei, że wyrosną mimo ciemności.

Rozstawiając tak swoje doniczki, zauważyła ze zdziwieniem, że w tych ustawianych razem z Judy pojawiły się już drobne kielki. Nie wiedziała, co to za rośliny, ponieważ ich nie oznaczyły. Nie pamiętała też wszystkich nazw, których używała Tamar. Coż to jednak mogło mieć teraz za znaczenie? Ważne były te rośliny, które ONA tu przyniosła, choć Hagar nie wyjaśniła jej, do czego się nadadzą.

Starannie wysprzatała szopę, likwidując ślady swej pracy. Bala się, że Judy mogłaby się tu kiedyś zakręcić, żeby zobaczyć, czy coś już wyrosło. Również babcia mogła odwiedzić swój zimowy ogródek. Nikt nie może się domyslić, przynajmniej na razie, że Holly coś tu dostawiała. W końcu wydała westchnienie ulgi. Zrobiła, co miała i przy pierwszej okazji dołoży nawóz. To na pewno pomoże.

Wychodząc z szopy upewniła się, że ani Crock, ani Judy jej nie widzą. Nie mieli prawa wtrącać się w jej sprawy, w sprawy pomiędzy nią a Hagar. Ostrożnie pchnęła drzwi stodoły, przygotowując w myśli odpowiedź na pytania, którymi rodzeństwo chciałoby ją zaskoczyć.

-...oni rozumują w taki właśnie sposób, Lute. Oczywiście nikt nie śmiałby powiedzieć, że nie robisz wszystkiego, co możliwe, żeby utrzymać tu porządek. Tyle, że pan Reuther oferuje świetną cenę. Sędzia Tanner prowadzi rozmowy z Porterem Dimsdale, który mieszka gdzieś na zachodzie. Wydaje się, że i on ma ochotę załatwić wszystko do końca. Sprawa toczy się już stanowczo zbyt długo. Wpadłem tu, żeby ci przekazać, jak to wszystko wygląda, Lute. My zostawilibyśmy to tak, jak jest, ale ci nowi zaczynają podnosić głowy i robią zamieszanie wokół składowiska, że niby jest tak blisko ich domów i że trzeba je zlikwidować, żeby miasto lepiej wyglądało na rocznicę.

Nie myśl sobie, Lute, że ktokolwiek z nas uważa, że nie robisz tu wspaniałej roboty, bo tak

przecież jest, ale więcej zrobić już nie można. To właśnie pan Reuther ma na myśli mówiąc...

-Wiem - odezwała się babcia ostrym tonem - chcecie tu mieć kilka nowych ulic z jednakowymi domkami, bez drzew, bez zieleni.

-Chyba o to im chodzi. Coraz więcej ludzi chce mieszkać za miastem i trzeba znaleźć dla nich miejsce.

-Oni nie mieszkają poza miastem. - Sprzeciwiła się babcia. - O, nie. Oni po prostu zabierają swoje miasta ze sobą tam, gdzie się wprowadzają. Ile czasu nam zostało pani Bill, zanim ci nowi nas stąd wypędzą?

-Tego nie jestem w stanie ci powiedzieć, Mercy. To musi przejść przez posiedzenie rady miejskiej. Ludzie z drugiego brzegu rzeki wiele gadają. Chciałem was ostrzec, że coś się szykuje. Ja osobiście nie chcę mieć nic do czynienia z tym Reutherem. Dużo gada, ale chciałbym zobaczyć, co wyniknie z tego gadania. Kiedyś Dimsdale było wspaniałym budynkiem. Szkoda, że się spaliło. Gdyby stało jeszcze moglibyśmy zrobić z niego muzeum, tak jak ze starego domu Pigotów i jak to robią ci ludzie, co naprawiają dom Elkinsów. Ostatnio wydaje się, że ludzie wolą zburzyć wszystko, co stare, mniejsza z tym, czy to dobre, czy złe. Nic ich to nie obchodzi. No, coż, chyba już pójdzie. Dziękuję za poczęstunek, Mercy. To był wspaniały placek. Chyba wkładasz więcej serca w gotowanie niż większość kobiet, które potrafią się tylko chwalić.

-To bardzo miłe, z pana strony, pani Bill. - Głos babci nie brzmiał jednak zbyt szczęśliwie. Wyraźnie czuła się, że jest zmartwiona lub zdenerwowana.

-Czy domyśla się pan może, o czym będzie mowa na zebraniu rady miejskiej? - spytał dziadek.

-Trochę obilo mi się o uszy. Ludzie gadają i gadają. Są tu tacy jak Jim Hooker i Ira Batchler, którzy dość przychylnie odnoszą się do planów tych nowych przybyszów. Jim ma warsztat samochodowy, a Ira sklep z artykułami budowlanymi. Obaj zarabiają na nowych. Te ich domki stale wymagają jakichś przerobek, a wiecie przecież, że Ira i jego chłopcy znajdują się trochę na cieszelnicy i pracach instalacyjnych. Zawsze jest dla nich trochę roboty. Z kolei warsztat ma dwa razy większe obroty od czasu wybudowania nowego osiedla. Myślę, że ani Jim, ani Ira nie mieliby nic przeciwko zostawieniu wszystkiego po staremu, ale zależy im na dodatkowych dochodach.

Moim zdaniem, źródłem kłopotów jest pani Deevers; ona i jej banda mądrali z drugiego brzegu rzeki. Usiłowała wpełznąć do kościelnego kolka kobiet i przekonywać je, że trzeba się obudzić i zacząć działać nowoczesniej. Dopiero jak pani Pigot na nią naskoczyła, trochę przycichła. Potem było zebranie rady szkolnej, gdzie usłyszeliśmy, jak bardzo zacończona jest nasza szkoła, a nasze dzieci nie dostają odpowiedniego wykształcenia. - Holly

uslyszała donosny śmiech po tych słowach. - Ale niezłe się wtedy wpakowała, bo pan Peabody wyciągnął swoje zapiski i powiedział, ile stypendiów wygrały dzieciaki i ilu dostało się do dobrych szkół i na uniwersytety.

Pani Deevers próbowała nam wmówić, że szkoła jest zacošana i nie przygotowuje dzieci do nowoczesnego życia, ale nie zaszła daleko z tymi głupotami. Nasi ludzie są zbyt dumni ze swej szkoły i nieco się na nią wkurzyli. Musiała zrezygnować z tego tematu. Wpadła natomiast na pomysł akcji, która nazwała "piękne Sussex" z okazji trzechsetlecia miasta. Problem w tym, że ta sprawa nie jest kontrowersyjna. Ludzie nie mają większej ochoty walczyć z nią o wysypisko śmieci, a pan Reuther zaczął mówić, że mogliby kupić ten teren i zbudować go. Sami wiecie, ile mogą pieniądze, choć jego projekt mogliby kupić jedynie miejscy ludzie, co to nie widza dalej niż czubek swego nosa. Osobście mam chyba cholernie dobre pytanie. Zadam je na radzie, która ma się odbyć dziesiątego listopada. Mam zamiar wstąpić i spytać: no dobrze, przeznaczamy Dimsdale pod osiedle, a gdzie będziemy wyrzucać śmieci? Może do rowów wzdłuż szosy? Czy wtedy będzie tu ładniej? Tak przecież stało się w Norfolk. Dam im do myślenia, o ile oni w ogóle potrafią myśleć. Jeśli chcą walki, będa ja mieli. Obejdę teraz wszystkich starych mieszkańców, którzy mają coś do powiedzenia w sprawach miasta. Musiałem was ostrzec, może przedwcześnie, ale ja nie zamierzam tego zostawić!

Holly usłyszała trzask zamykanych drzwi frontowych i wśliznęła się do wnętrza. Babcia siedziała z rękami na stole i znad okularów wpatrywała się w dziadka.

-Luther, i co teraz się z nami stanie? - Jej głos brzmiał zupełnie inaczej niż zawsze, był cichy, drżący, jak głos staruszki.

Dziadek stał przy drzwiach, jakby właśnie odprowadził do nich gościa. - Co się z nami stanie, Mercy? - Odwrócił się energicznie. Głos mu nie drżał, przeciwnie, był silny i zdecydowany. - Zrobimy dokładnie to, o czym mówił Bill Noyes - będziemy walczyć!

-Ale on sam powiedział, i to prawda, że nikogo nie obchodzi wysypisko. Można je założyć gdziekolwiek.

-Nikogo nie obchodzi wysypisko? - Głos dziadka nadal brzmiał gwałtownie. - A skąd pan Correy dostanie swe antyki? A Lem - mało zarabia na tym, co stąd naprawia? A pani Dale i jej harcerze? Skąd panna Sarah z biblioteki będzie brała te wszystkie stare książki? Czy nie mówiła, że to my znaleźliśmy najlepsze rzeczy, jakie się jej trafiły? Choćby ten dziennik Seta Elkinsa, którym się tak szczyci, kto go znalazł? Tu, Mercy, tu, na śmietniku!

Zresztą to nie tylko wysypisko śmieci. Przecież i ty, i ja wysadzamy tu masę roślin - dziadek wskazał na ścianę za plecami Holly, nawet nie dostrzegając dziewczynki - żeby tu ładnie wyglądało. Masz tu swoje zioła i różne takie rzeczy, których żadna z tych klubowych panus nigdy nie widziała. Czy nie tak mówili w zeszłym roku, kiedy panna Sarah zaprosiła cię do biblioteki, żebyś opowiedziała im o swoim ogrodzie? O, nie, Mercy, ja ci mówię, że nie uda

im się o tak sobie, zrównać Dimsdale z ziemią.

Twarz dziadka poczerwieniała, potrząsał piętami, jakby groził domkom, które miałyby tu urosnąć niczym muchomor w labiryncie.

Jak muchomor. Holly przełknęła ślinę. A co obiecywała jej Hagar? Że nauczy ją spełniać życzenia. Zrobiła, co Hagar jej kazała. Teraz ona musi dotrzymać obietnicy. Holly zazyczy sobie, aby ta pani Deevers, kimkolwiek jest, przestała mieszać się w nie swoje sprawy.

Przez chwilę Holly zapomniała o swej nienawiści do smietnika. Przecież było jej lub raczej należało do dziadka i babci, ona tylko tu mieszkała. Poczula gniew podobny do dziadkowego. Nikt nie ma prawa przejąć Dimsdale i zrównać go z ziemią spychaczami, ściana labiryntu...

Ściana labiryntu! Gdyby to się stało, jak znajdzie Hagar i zażąda od niej dotrzymania zobowiązań? Nie, żadnych spychaczy w labiryncie!

-Kiedy zbiera się rada miejska? - spytała.

Dziadek i babcia wzdrygnęli się i rozejrzeli dookoła, kiedy wyszła z mroku za ostatnią z przegród i zbliżyła się do stołu.

-Skąd wracasz, Holly? - Dziadek zmarszczył brew. - Podsluchiwałaś nas?

-Tak. Słyszałam, co ten pan powiedział. - Holly była zbyt pewna siebie, aby przejmować się niezadowolaniem dziadka. - Jak szybko dowiemy się, co planują?

-To nie sprawa dzieci. - Holly nie mogła nie dostrzec niezwyklej ostrości w głosie dziadka.

Babcia jednak powoli pokiwała głową. Uniosła dłoń i wepchnęła okulary na miejsce, zrobiła to jednak ruchem kobiety zmęczonej nieszczęściami, które ją spotkały, nie tak energicznie jak dotąd. - Nie da się przed nimi ukryć czegoś takiego, Luther. Tak czy siak usłyszą o tym w mieście. Jeszcze niczego nie wiemy na pewno, Holly. Dopóki się nie dowiemy, nic nie mów, nawet gdy ktoś cie zapyta. Rozumiesz? - Spojrzała na nią tak, że natychmiast zrozumiała, że to nie przelewki.

-Tak - powiedziała. Miała ogromną ochotę pocieszyć ich, żeby się nie martwili, że jeżeli zdoła jeszcze raz spotkać się z Hagar, wszystko będzie w porządku, ale nie była w stanie tego powiedzieć.

Gdyby dziś w nocy znów spała na poduszeczce, czy czar zadziała? Musi! Musi dostać się do Hagar jak najszybciej. A może - tu Holly zadrzała ze strachu - Hagar nie uczyni nic, dopóki nie urosną wysiane dziś rośliny? To może zabrać sporo czasu. Trzeba natychmiast zdobyć nawóz do kwiatów. Ma jeszcze trochę pieniędzy z kieszonkowego, powinno starczyć choć na jedną paczkę.

Chciała zaraz pobiec na gore do swego pokoju, zajrzec do portmonetki i przeliczyc, ile zostalo pieniedzy po kupnie nowego zeszytu do historii. To bardziej ja teraz interesowalo niz slowa babci.

Dziadek siegnal po plaszcz wiszacy na jednej z przegrod.

-Wprowadze ciezarowke do garazu - powiedzial. - Zanosi sie na niezly mroz.

Babci podskoczyla na krzesle. - Mroz? A moje rosliny w szopie. Gdzie moj plaszcz i szal?

-Nie przejmuj sie, Mercy. Napale w piecu. Sama sobie z tym nie poradzisz. Ten stary piec nigdy cie nie sluchal.

Holly, ktora zamarla na dzwiek slowa "szopa", odprezyla sie widzac, ze babcia nie upiera sie, zeby sprawdzic swoj ogrodek. Kiedy dziadek zniknal za drzwiami, skierowala sie ku schodom skupiona na dwoch sprawach. Musi odnalezc poduszcze, zeby skorzystac z niej w nocy i spotkac sie z Hagar. Byla teraz zupełnie przekonana, ze wlasnie ta poduszka byla kluczem do labiryntu. Musi tez wykorzystac pieniadze, zeby szybko kupic nawoz, ktory sprawi, ze rosliny szybciej wzejda.

Wchodzac do sypialni, spodziewala sie zastac tam Judy, ale nie znalazla ani sladu siostry. Ruszyla prosto do pudla ze szmatkami w szafie. W chwile pozniej, kiedy zawartosc pudelka lezala przed nia na podlodze, Holly zdala sobie sprawe z jednego - poduszcze zniknela. Istnialo tylko jedno wyjasnienie - Judy ja zabrala!

Oznaczalo to, ze o ile nie zdola jej odzyskac, nie bedzie mogla zobaczyc sie z Hagar i nauczyc sie spelniac zyczenia.

"Musi mi ja oddac!" Holly gniewnie kopala skarby siostry, niezliczone galganki, zbierane, zeby uszyc koldre, jak tylko mama bedzie miala czas, zeby nauczyc ja, jak sie to robi.

Kiedy Judy raz sobie czymś nabila glowe, nie bylo sily, zeby ja od tego odwiesc. Nie dawala sie przekonac zadna perswazja, nie bylo sily. Zupelnie jak z ta koldra, o ktorej marzyla juz od roku i nic nie moglo odwiesc jej od postanowienia.

Strzepy materialu rozrzucone wokol stop Holly nie mialy dla niej najmniejszego znaczenia. Wazne bylo jedynie to, co Judy postanowila zrobic z poduszcze. A moze ja zniszczyla?

Holly usiadla na lozku. Jesli Judy to zrobila, jak zdola kiedykolwiek dostac sie do Hagar i uzyskac obiecana moc? Jezeli zas to sie jej nie uda, jak ocali Dimsdale?

XI

Dimsdale zagrozone

-Moje szmatki! Holly, czy to ty zrobiłaś? - Judy stanęła na progu pokoju. Rzadko można było zobaczyć ją aż tak wściekłą. -Co zrobiłaś z poduszką? - Holly nie przejęła się wybuchem siostry.

-Moje galganki! - powtórzyła Judy. Padła na kolana zgarniając swe skarby, wygładzając zmieci strzepki. - Holly, to najbardziej podła rzecz, jaką mogłaś mi zrobić. Jesteś wstępną!

Dla Holly tylko jedno miało znaczenie. Chwyła siostrę za ramiona i mocno potrząsnęła. - Musisz mi powiedzieć! Co zrobiłaś z poduszką? Tu jej nigdzie nie ma, szukałam.

Judy wyrwała się z uścisku. Wysunęła dolną wargę i spojrzała na Holly z taką nienawiścią, że starsza dziewczynka cofnęła się.

-Nie powiem ci! Od czasu, kiedy na niej spalaś, wszystko jest nie tak. Odkryłam też, że oszukiwałaś przy losowaniu. Jesteś oszustką! To Crock miał dobry los, a ty mu go porwałaś. A potem co? Zaprowadziłaś nas w tamto miejsce i przez ciebie zgubiliśmy się. Nie, Holly, to się już nie powtórzy. Dopilnujemy tego z Crokiem. Nie miałaś prawa grzebac w moich rzeczach. Spytałam babcię, czy mogłabym dostać osobny pokój, gdzie nie wolno by ci było wchodzić.

-Nic nie rozumiesz - zaczęła Holly, lecz słowa utknęły w jej gardle. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że nie jest w stanie wymówić tego, co chciała powiedzieć: o życzeniach, o obietnicach Hagar, o tym, że trzeba ratować Dimsdale.

-Doskonale wiem, do jakiej podłości jesteś zdolna! - krzyknęła Judy. - Mam już tego dość. Od przyjazdu tutaj jesteś coraz gorsza. Zachowujesz się jak prawdziwa wiedźma! Dokładnie tak!

Nic nie było w stanie przemówić jej do rozsądku. Holly ledwo panowała nad sobą. Coś w niej narastało, miała ochotę uderzyć siostrę, zranić ją jakimś sposobem, zmusić do powiedzenia, gdzie ukryła poduszkę. Nagle usiadła na łóżku. Dlaczego pragnęła zranić Judy? Nigdy dotąd czegoś takiego nie czuła. Oczywiście, czasami Judy była niemożliwa, ale nigdy nie miała ochoty jej uderzyć. Co się dzieje? Holly czuła, jak ogarnia ją niewytłumaczalny lek. Czyżby ciemna strona jej duszy zaczęła przejmować kontrolę, popychać ją do złego?

Zwinęła się w kłębek na koldrze. Czuła się jakby jednocześnie była dwoma osobami. Jedną z nich to dawna Holly, druga to ktoś, kogo się bała. Przecież naprawdę nie powinna rozrzucić skarbow Judy. To było rzeczywiście podle.

Sięgnęła ręką po szmatkę leżącą tuż przy łóżku, lecz Judy gniewnie wyrwała ją z jej dłoni. - Zostaw to! Zostaw w spokoju wszystkie moje rzeczy i mnie też daj spokój, Holly!

Holly usiadła. Może gdyby Judy wiedziała, co może się stać z Dimsdale... Zwiłyła wargi. Czy tym razem uda się jej wydobyć z siebie głos, czy będzie znowu jak wtedy, gdy chciała

powiedziec o Hagar?

-Posluchaj mnie, Judy - zaczela.

Siostra odwrocila sie do niej plecami pochlonieta ukladaniem galgankow w pudle. - Nie mam ochoty!

-Judy, to nie bedzie o poduszce, tylko o Dimsdale, o tym domu, o wszystkim. Musisz mnie wysluchac. To bardzo wazne. - Holly przez caly czas przemawiala do plecow. Dobrze, ze Judy nie wyszla z pokoju i musiala ja slyszec.

Powtorzyla siostrze wszystko, co podslychala na dole i co dziadek i babcia pozniej powiedzieli. Judy przestala ukladac szmatki. Patrzyla na Holly juz bez zlosci na okraglej twarzyczce.

-I co my teraz zrobimy? - spytala cicho.

-Bedzie jeszcze to zebranie rady miejskiej, a wielu ludzi nie chce, zeby zlikwidowano wysypisko. Tylko ta stara pani Deevers, kimkolwiek ona jest, chce to zrobic, a jakis pan Reuther chce kupic te ziemie i postawic tu mase nowych domow.

-Nie da rady - powiedziala Judy z przekonaniem.

-Tamar mu nie pozwoli! Tamar nie dopusci, zeby babcia i dziadek stracili Dimsdale.

-Judy, przeciez wiesz, ze Tamar tu nie ma. Ona zyla dawno temu.

-Ona jest z nami, sama widzialas - stwierdzila dziewczynka. - I ona kocha Dimsdale.

Holly wpatrywala sie w siostrze zdumiona. Jej spokojna pewnosc siebie zupełnie ja zaskoczyla.

-Tamar nie ma naprawde... - znow zaczela, nie wiedzac jakich slow uzyc, zeby przekonac Judy. Jak mozna powiedziec, ze ktos naprawde nie istnieje, kiedy sie bylo w jego domu, jadlo jego ciasto i z nim rozmawialo?

-Nie mowie, ze kiedys tu nie zyla - poprawila sie.

-Tylko, ze teraz juz jej nie ma, naprawde. Musimy cofnac sie w czasie, zeby ja spotkac.

-Ja mowie, ze ona jest prawdziwa i ze nam pomoze!

-Judy znow byla uparta. - Upierasz sie tak tylko dlatego, ze kiedy to ty chcialas nas do niej zaprowadzic, nie znalazlas jej! Zaloze sie, ze Tamar nie chciala sie z toba zobaczyc.

Holly ze wszystkich sil pragnela przekonac siostrze, powiedziec jej, ze i za drugim razem

dotarli do serca labiryntu, ale znow nie byla w stanie nic z siebie wykrztusic. Cos nie pozwalalo jej na to. Wierzyla teraz, ze Hagar posiada wieksza moc niz Tamar. Hagar moglaby im pomoc. Jednak doskonale wiedziala, ze bez poduszeczki nigdy sie do niej nie dostanie, a nie bylo najmniejszych szans na to, zeby wydobyć z Judy informacje, gdzie ja schowala.

-Masz racje - Holly starannie dobierala slowa. - Nie dotarlismy do Tamar, a powinnismy. Powinnismy jej powiedziec o Sextonie Dimsdale i to przed dniem Wszystkich Swietych. Powinnismy jej tez powiedziec, co sie teraz moze stac z Dimsdale i spytac, czy moze nam pomoc.

Judy wpatrywala sie w siostry w zamysleniu. - Moze masz racje. - Nie byla jednak do konca przekonana. - Jeszcze sie zastanowie. Tym razem nie bedzie juz zadnych oszustw!

-Tak. - Holly byla gotowa wszystko obiecac. Wiedziala tez, ze gdyby udalo sie jej odnalezc poduszke, a byla pewna, ze nie ma jej w ich pokoju, nie dotrzyma slowa i sprobuje dostac sie do Hagar.

Kiedy zeszly na kolacje ani dziadek, ani babcia nic nie mowili o swym popoludniowym gosciu. Rozmawiali o przyszlosci tak, jakby mieli na zawsze pozostac w stodole i nic nie mialo sie zdarzyc.

-Mysleliscie juz o przebraniach na balik? - spytal dziadek, gdy babcia zaczela zbierac puste talerze. - Wiecie chyba, ze jest konkurs na najlepszy stroj?

-Ja juz wiem - oznajmil Crock. - Bede robotem. Wezme troche tej ciezkiej folii i zrobie z niej kombinezon. Tak, jak na tym obrazku, patrzcie. - Wyciagnal z kieszeni portfel, który dostal na gwiazdke i podal dziadkowi wyciete z gazety zdjecie. Dziadek dokladnie obejrzal kazdy szczegol.

-Robot, aha - powiedzial. - Jedna z tych chodzacych maszyn, ktore kiedyś beda za nas pracowac. Niezbyt to piekne.

-Ale bede mogl zrobic taki kombinezon z tej folii, prawda? - denerwowal sie chlopiec.

-Chyba trzeba bedzie wziac cos mocniejszego niz folia - powiedzial dziadek. - Cos znajdziemy. Jutro poszukamy. A wy? - spojrzal na dziewczynki.

Jakie to moze miec znaczenie, pomyslala Holly. Nawet nie miala ochoty isc na ten bal, ale wiedziala, ze nie zdola sie wykrecic. Moze sie przebrac za jakis smiec.

O ile Holly nadal nie mogla sie zdecydowac, Judy nie zamierzala rezygnowac ze swego planu. - Przebiore sie za kota, takiego jak Tomkit, nie czarnego, a szarego - oznajmila tak pewnie, jakby z gory wykluczyla wszelka mozliwosc dyskusji.

-Za kota, hmm... - Babcia spojrzala na Judy, a potem na Tomkita siedzacego przy palenisku i starannie myjacego tylna lape. - Na te noc, czarny kot wydaje sie bardziej odpowiedni...

-Taki jak Tomkit - upierala sie Judy. - Holly mowi, ze to zbyt trudne, ale jestem pewna, babciu, ze ty to potrafisz.

-Szary... szary. - Babcia myslala nad czyms intensywnie. - Wlasnie mi sie przypomniało: ten stary koc, taki wlochaty. Trzeba go tylko przefarbowac. W sklepiku maja kocie maski. Widzialam je, kiedy bylam tam ostatnio, tyle ze byly czarne, nie szare.

-Moze da sie przemalowac - rzucila Judy.

-Nie jestem pewna, ale sprobujmy. Musicie pamietac, ze bedzie zimno. Stroje musza byc obszerne, zeby dalo sie pod spod wlozyc jakies swetry i spodnie. Inaczej zmarzniecie na smierc. A ty co wlozysz, Holly?

Nie wiadomo, jak i skad pojawiala sie ta nagla mysl, ale Holly nie wahala sie ani chwili. - Bede murzynska ksiezniczka. - To nie powinno byc zbyt trudne. Miala przeciez dejalbe, ktora mama uszyla ze wspaniale kolorowej tkaniny znalezionej w sklepie z resztkami. Wygladala jakby pochodzila z samej Afryki czy innego rownie egzotycznego miejsca. Wiedziala tez, co robi z wlosami. Cos, czego pragnela od dawien dawna, lecz mama stale powtarzala, ze jeszcze do tego nie dorosla. W koncu to byly JEJ wlosy i sama zdecyduje, co z nimi zrobic. W domu nieraz przygladala sie Evie Lee Paterson, ktora ukladala sobie fryzure. Kupi tylko duze kola do uszu i dlugie, paciorkowe naszyjniki.

Babcia skinela glowa z aprobata. - To dobrze, Holly. Nie mamy zbyt wiele czasu, a bede musiala troche poglowkowac nad kostiumem dla Judy. Jutro i tak bede musiala pojechac do miasta, Luther. Pani Jeffries zamowila specjalne swiece dla swej corki i mam pare sprawunkow do zrobienia. Kiedy bedziesz zawozil panu Correyowi stoliczek, zabierzesz i nas. Taki stolik nie zajmie wiele miejsca, wiec na pewno sie zmiescimy. Kolo poludnia odbierzesz nas spod Emporium. Co ty na to?

-A dacie rade kupic wszystko do poludnia? - rozesmial sie dziadek. - W porzadku, to sie chyba da zrobic.

Kiedy naczynia zostaly pozmywane, babcia wyciagnela stare gazety i zaczela przycinac je do sylwetki Judy, zeby zrobic wykroj kociego stroju. Dziadek z Crokiem krazyl miedzy przegrodami, przekladajac rozne rzeczy. Holly przysiadla na siedzisku obok kominka i patrzyla w ogien. Probowała zwabic do siebie Tomkita, lecz ten ignorowal ja i nie ruszal sie ze swego miejsca i rowniez nie odrywal oczu od plomieni.

Odlozywszy wreszcie przyciete gazety, babcia podeszla do wielkiej skrzyni pod sciana i wyciagnela z niej dziwnie wygladajacy koc (o ile w ogole mozna go bylo tak nazwac) z dlugimi wlosami po jednej stronie, przypominajacy sztuczne futro, z ktorego robi sie teraz

dywaniki pod lozko.

-Moher - powiedziala. Rozwinela go i zaczela przykladac gazetowe wykroje tak, zeby jak najmniej tkaniny poszlo na scinki. Koc byl zoltawy z duza plama na samym srodku.

-Powinnysmy go najpierw przefarbowac i zobaczyc, czy ta plama zniknie - zwrocila sie do Judy. - Musisz tez poszukac jakiegos drutu, czy czegos takiego, zeby usztywnic troche ogon.

-Wiedzialam, ze potrafisz to zrobic! - Oczy dziewczynki lsnily radoscia. Mocno usciskala babcie.

-Dziecko, to jeszcze nie jest gotowe - usmiechnela sie kobieta. - Ale jesli to sie da zrobic, to na pewno bedziesz slicznym kotem.

Holly czula sie nieco osamotniona. Nie bylo to zbyt mile uczucie. Jak wszyscy moga tak sie przejmowac jakas glupia zabawa i zachowywac, jakby przygotowywanie kostiumow mialo jakies znaczenie. Przeciez o wiele wazniejsze bylo ratowanie domu i zwalczanie takich ludzi jak ta pani Deevers, ktora nieustannie szukala dziury w calym. Kiedy tylko bedzie mogla spelniac swoje zyczenia, wezmie sie za ta Deevers sama. Jej mysl budowaly niewidzialna sciane miedzy nia a reszta mieszkancow stodoly. Czyzby tylko ja obchodzil los Dimsdale, tylko ona chciala cos zrobic? Gdyby udalo sie jej przekonac Judy, jak wazne jest ponowne dotarcie do Hagar! Jednak, kiedy nie moze mowic o Hagar, nie pozostaje jej nic innego, jak wykorzystac Tamar. Musi wmawiac Judy, ze trzeba ja ostrzec jeszcze przed swietem i w ten sposob dowiedziec sie, gdzie ukryla poduszke.

Poczula sie lepiej ustalivszy ten plan. Dlaczego wczesniej na to nie wpadla? Judy da sie przekonac, kiedy uwierzy, ze chodzi o dobro Tamar.

Teraz musiala czekac, az beda same. Nudzilo ja przygladanie sie krzataninie pozostalych. Wszyscy byli tak zajeci swymi niewaznymi sprawami. Nawet Tomkit nie zwracal na nia uwagi. Byla zupełnie sama. Moglaby zastanowic sie nad jutrzejszymi zakupami w miasteczku, gdyby wiedziala, ile ma pieniedzy. Z powodu awantury z Judy zapomniala sprawdzic, ile zostalo jej z kieszonkowego.

Na gorze panowal chlod. Przed spaniem babcia ogrzewala ich lozka goracymi kamieniami i mowila, ze wkrótce przeniosa sie na dol. Oczysci sie kilka przegrodek i zamieni na sypialnie. Holly wiedziala tez, ze nie powinna zapalac swiecy stojacej na wszelki wypadek przy lozkach: babcia nie raz przestrzegala ich przed pozarem.

-To juz chyba wszystko na dzisiaj, dziecino - babcia zwrocila sie do Judy, kiedy wycieli ostatni fragment. - Kiedy jutro wrocimy z miasta, przygotowuje kociolek farby i wykapiemy w niej ten koc. Na pewno sie troche skurczy po wysuszeniu, ale jestem pewna, ze dostaniemy to, o co nam chodzilo. Czas ucieka, lepiej sie polozyc.

Judy nieustannie paplala o kostiumie i o tym, czy uda sie im kupic odpowiednia maske. Holly powstrzymywala wlasna niecierpliwosc i pozwalala siostrze sie wygadac. Jesliby znow zrazila ja do siebie, jej plan spalilby sie na panewce. Otworzyla nawet jedna walizke z letnimi rzeczami, zeby znalezc dejalbe. W swietle lampy naftowej jej kolory wydawaly sie jeszcze bardziej jaskrawe. Pierwszy raz poczula zainteresowanie wlasnym strojem, choc trudno byloby powiedziec, ze cieszy ja mysl o zabawie.

Nie byla pewna, kiedy sprowadzic rozmowe na temat wizyty u Tamar, ale i tak tego wieczoru nie miala okazji. Kiedy znalazla, sie w lozku, poczula sie tak zmeczona, jakby wszystkie nieszczęścia tego dnia zwalily sie na nia w jednej chwili i przygniotly swym ciezarem. Zasnala momentalnie.

Nastepnego ranka bylo duzo pracy. Po sniadaniu musieli posprzatic mieszkalna czesc domu, a babcia nie stosowala przy tym zadnej taryfy ulgowej. Na koncu wyciagnela naprawiona statuetke.

-Troche dziwnie sie czuje, patrzac na nia - powiedziala, pakujac posazek do kartonu i upychajac wokol szmatki i siano. - Na samym poczatku, kiedy nad nia pracowalam, podobala mi sie. Teraz nie. Po prostu zawioze ja panu Correyowi i niech z nia robi, co mu sie zywnie podoba! - Zamknela wieko. - Zobaczmy teraz, czy wszystko zabralismy: swiece, sloje z zaprawami dla pani Pigot, tak, to chyba wszystko.

Dzieci byly juz ubrane i gotowe do wyjazdu. Babcia zalozyla plaszcz z futrzanym kolnierzem, ktory szczelnie otulal jej szyje, i welniana czapke.

-Wiem, ze to niemodne - oznajmila, zawiazujac tasiemki pod broda - ale mam bardzo wrażliwe uszy. Lepiej nie marznac, niz ladnie wygladac!

Holly i Crock sami zglosili sie do jazdy na pace. Holly zobowiazala sie pilnowac kartonu z figurka, natomiast jej brat zajal sie skrzynka ze slojami. Oparli sie plecami o stolik, ktory dziadek zamocowal lina i dali sie okryc plandeka, zeby ochronila ich przed wiatrem.

Holly byla szczesliwa, kiedy wreszcie dotarli do miasteczka. Nie zatrzymali sie przy sklepie pani Pigot (babcia zdecydowala podrzucic jej zaprawy w drodze powrotnej), lecz przejechali glowna ulica pod niewielki domek, ktory w dawnych czasach byl kuznia i stacja wymiany koni. Dzis miescil sie tam sklepik pana Correya, ktory wyszedl na zewnatrz zobaczywszy ciezarowke dziadka.

Pan Correy byl wysokim mezczyzna, duzo wiekszym od dziadka i wcale nie wygladal na handlarza antykami. Wedlug Holly bardziej przypominal rolnika lub drwala z pobliskiej poreby. Czesto widywala drwali przejezdzajacych przez miasto.

-Witajcie! Luther, Mercy! - Jego potezny glos doskonale pasowal do sylwetki. - Dobrze, ze przyjechaliscie, nie bede musial jechac z zamowieniem dla ciebie, Mercy. Tu mam wszystko zapisane: pelen zestaw swiec dla Livingstone'ow. Kupili je latem i napisali mi, ze chca

wiecej. Wchodzcie do srodka, prosze.

Kiedy mezczyzni zdejmowali stolik z ciezarowki, babcia z dziewczynkami weszly do sklepu. Holly bala sie w nim poruszac - tyle tu bylo roznych rzeczy, ktore musialy kosztowac majatek. Wszedzie staly porcelanowe figurki i wazoniki. Pomieszczenie bylo jeszcze bardziej zatloczone niz dom Tamar.

Babcia sama wniosla karton ze statuetka. Gdy pan Correy podszedl do biurka na koncu pokoju, zdjela pokrywe.

-Pokaz mi ten skarb, Mercy. Coz to takiego?

-Wyrzucili to z domu Elkinsow - powiedziala, wyjmujac figurke z pudelka. - Myslam nawet, ze to moze robota Rogersa, ale sama nie wiem. Byla mocno potluczona, ale udalo mi sie ja jakos posklejac.

-Z twoich rak, Mercy, wychodza najpiekniejsze cudenka. Postaw to tutaj - odsunal stos papierow, zeby zrobic miejsce dla "Mlodej wiedzmy".

-Prosze bardzo - babcia zdjela ostatnie zdzblo trawy z figurki.

Pan Correy stal i przygladal sie statuetce przez lekko zmruzone powieki. - Jezeli to Rogers - powiedzial powoli - to dla mnie cos nowego. Byc moze ktos inny sprobował swoich sil w jakims nieznanym dotad rodzaju rzezby ludowej. "Mloda wiedzma". Wiesz, Mercy, ta twarz, to mogl byc nawet portret.

Podniosl statuetke i delikatnie badal ja palcami. - Swietna robota, Mercy. Zreszta jak zawsze. Wiesz, co ci powiem? Zbliza sie Swieto Zmarlych, jak zawsze bede zmienial wystawe. Postawimy te czarownice w samym srodku. Oddasz mi ja w komis?

Dziadek pokiwal glowa. - Pan sie zna na swoim fachu, panie Correy. Prawde mowiac, chetnie sie jej pozbedziemy.

-Dlaczego?

-Trudno powiedziec. Cos w niej jest takiego. Cos, jakbym staral sie przypomniec sobie o czyms, co powinienem pamietac, ale nie moge sobie przypomniec. Nie bedziemy jednak tracic dnia na czcze gadanie. Niech mi pan da te liste zamowien na swiece i jedziemy. Musimy jeszcze zrobic zakupy.

-Prosze bardzo - powiedzial pan Correy. Przerzucil kilka kartek. - Oto ona. Chcieliby je dostac przed Swietem Dziekczynienia.

-Jesli wszystko pojdzie dobrze, powinni je dostac na czas. - Babcia zawahala sie. - Czy slyszal pan cos o spotkaniu rady miejskiej, panie Correy? Podobno mowi sie, ze Dimsdale

komus w czymś przeszkadza i trzeba się go pozbyć?

Skrzywił się. - Słyszałem o tym. Jeszcze im pokazemy, nie martw się, Mercy. Przygotujemy taką odpowiedź, że ta cała Deever's będzie musiała zastanowić się nad sobą.

-To dobrze, panie Correy. Oczywiście nie wiadomo, skąd idzie burza, dopóki w nas nie uderzy, ale bez względu na wszystko, zrobię panu te świece.

Sklepek z drobiazgami był na drugim końcu ulicy Główniej, w tej części miasta, gdzie stały nieco nowsze budynki, drogeria, restauracja i kilka innych sklepów. Wszystkie miały nowoczesne neony, które wyglądały nieco zbyt jaskrawie i kiczowato. Jedynie krótki odcinek ulicy przylegał do parku z jego dwoma pomnikami: żołnierza Polnocy i wojownika Unii, którzy stali naprzeciw siebie rozdzieleni piramidą kul armatnich i działem, które mogło kiedyś do nich strzelać. Domy otaczające park były duże i stare, w większości pomalowane na biało i z białymi płótkami na froncie. W narożnikach stały dwa kościoły i wielki budynek, do którego skierowała się babcia. Była to dawna gospoda, niemal dwustuletnia i tam właśnie mieli zostawić pudełko świec niesione przez Crocka.

XII

Zły urok

Holly siedziała przed otwartym zeszytem, który przeznaczyła na prace z historii, lecz przez dobrych dziesięć minut nie dodała ani słowa do napisanych już linijek. Dotąd napisała wszystko, co o Dimsdale pamiętali babcia i dziadek z czasów, kiedy żyła jeszcze panna Elvery, a oni przyjechali tu zaopiekować się upadającym majątkiem. - Wszystko tu było tak zaniedbane, że komus, kto nie widział tego na własne oczy, trudno w ogóle uwierzyć - powiedział dziadek. - Panna Elvery była dama i nie przywykła do ciężkiej pracy. Miała przy sobie kilka dziewcząt. Dziewcząt? Kiedy do niej przyjechałem, były to już starsze panie, ale nie miały gdzie się podziac, więc panna Elvery trzymała je tutaj. Jedną z nich, Emma Watkins, nie wstawiała już z łóżka, a panna Elvery opiekowała się nią jak najbliższa krewna.

Inna, Liza Peabody kreciła się po domu i starała się jak mogła, ale to nie było wiele, uwierz mi. Jeśli zaś chodzi o otoczenie, to na przykład trawniki zarosły jak dżungla ze zdjęć w "National Geographic" i trzeba było wycinać w nich ścieżki. Od śmierci ojca panny Elvery nikt się nimi nie zajmował.

Mercy i ja właśnie się pobraliśmy i szukaliśmy dla siebie miejsca. Było z tym wiele kłopotów. W tamtych czasach czarni nie byli mile widziani w miastach. Lepiej było trzymać się swoich. Ale panna Elvery skądś o nas usłyszała i przyjechała po nas rozpadająca się bryczka zaprzeczona w jednego konia. Zaproponowała nam mieszkanie w dawnej stodole bez żadnych opłat i działki, gdzie moglibyśmy uprawiać swoje rośliny.

Ja wtedy pracowałem przy budowie dróg, zarabiałem, więc mając darmowe mieszkanie i ogródek, wiedziałem, że nie może nam być źle. Kiedy jednak zobaczyłem cały ten bałagan i

panne Elvery, która nigdy nikomu się na nic nie skarżyła, rzuciłem pracę i starałem się ze wszystkich sił odbudować tę posiadłość dla niej.

Panna Elvery zaczęła nas uczyć różnych rzeczy. Uczyla babcię rozpoznawania ziół. Sama miała cały ogród, ale tylko letni. Zawsze powtarzała, że najlepiej można się nauczyć zielarstwa, kiedy samemu zacznie się zioła uprawiać. Pożyczała nam książki, uczyła Mercy szyc i wielu innych rzeczy. Traktowała nas jak przyjaciół i sąsiadów. Emma zmarła podczas pierwszej zimy, jaką tu spędziliśmy. Przynajmniej przestała się męczyć, biedaczka. Potem Liza dostała wylewu. Upadła w kuchni i przeżyła tylko dobe.

Wtedy babcia przejęła wszelkie prace w domu. Był za duży dla panny Elvery, więc kazała zamknąć wiele pokoi. Miała sypialnię tuż nad kuchnią. Używała jej jako saloniku i jadalni i nie obchodziła ją reszta domu z wyjątkiem biblioteki. Kochała czytać. Czytała te same książki wiele razy. Opowiadała mi o ich bohaterach tak, jakby żyli naprawdę i to w jej własnym domu. Mogła godzinami rozprawiać o ich problemach i radościach.

Czasami oprowadzała mnie po pokojach i opowiadała o dawnych wydarzeniach. To było tak zajmujące jak czytanie książek. Szkoda, że wszystko się spaliło. Miała tam lepsze rzeczy niż w muzeum panny Sarah. Później nabawiła się reumatyzmu i jesienią i zimą większość czasu spędzała w łóżku. Cały czas jednak zachowała żywy umysł, czytała i wyszywała. Jej wyszywanki także splonęły. Były słiczne jak obrazki. Nikomu nie pozwalała ich dotykać.

Dorabiałem sobie przy drogach lub u okolicznych farmerów, a potem pracowałem w ogrodzie. Sami uprawialiśmy to, co jedliśmy, prócz mięsa. Kiedy w okolicy ktoś szlachtował świnia czy krowe, pomagałem przy pracy i wynagradzano mnie wyrobami. Panna Elvery nie miała w ogóle pieniędzy, chyba że udało się jej sprzedać coś z wyposażenia domu. Wiedziała, że letnicy interesują się starymi rzeczami, ale nie sprzedawała niczego, dopóki bieda jej nie przycisnęła. Zresztą większość pieniędzy wydawała na pomoc innym.

Zawsze martwiła się o podatki, ale jakos udawało się jej wszystko płacić na czas. Staraliśmy się jej pomóc. Przecież pozwalała nam mieszkać w stodole. Później, coraz bardziej traciła poczucie czasu. Reumatyzm mniej jej dokuczał i wydawało się jej, że czas się cofnął, że jest umówiona na herbatkę czy inne przyjęcie. Wieczorami wleczyła się po domu, jakby czegoś szukała. Nigdy jednak nie powiedziała nikomu, o co jej chodzi. Wtedy właśnie musiała gdzieś upaść ze świeca. Na szczęście akurat szedłem do niej sprawdzić, czy wszystko w porządku, kiedy zobaczyłem płomień. Udało mi się wydostać ją z płonącego domu.

Przyniesliśmy ją tutaj. Domu nie dało się już uratować. Straż pożarna była zbyt daleko. Nie mieliśmy telefonu i nie mogliśmy ich wezwać. Pobiegłem do rozstaju dróg, gdzie mieszkali Wilsonowie. Wezwali doktora i przywieźli go do nas. Do tego czasu dom spalił się zupełnie. Doktor powiedział, że panna Elvery ma słabe serce. Chociaż żyła jeszcze trochę, nic do niej nie docierało i po prostu zasnęła na zawsze. To była dobra kobieta.

Babcia milczała przez cały czas, kiedy dziadek snuł wspomnienia. Kiedy skończył, dodała. - Pamiętaj, Holly, abys o niej napisała. To była naprawdę wspaniała pani i zawsze troszczyła się o innych. Może ludzie już o tym zapomnieli, ale ja nie i nigdy nie zapomnę.

-Potem przyjechał jakiś prawnik. Nie zostawiła testamentu, a jeśli nawet, to splonął z domem. Miał jednak dokument, który mu przekazała dawno temu z nazwiskami jakichś krewnych, którzy przed laty wyjechali na zachód, zaraz po wojnie domowej. Powiedział, że postara się ich odszukać. My mieliśmy papiery, jakie dała nam, gdy tylko tu zamieszkaliśmy. Pokazaliśmy je temu prawnikowi i szeryfowi Haynesowi. Chciała, żebyśmy opiekowali się posiadłością.

Zebrali się i powiedzieli nam, że możemy tu mieszkać i wtedy pojawił się pomysł urządzenia tu składowiska śmieci. Firma wywozowa zleciła Lutherowi organizację. Jednak w starych papierach posiadłości coś było nie tak - nie można było jej sprzedać czy kupić, aż ten problem nie zostanie rozwiązany. Wydaje się, że aż do teraz - babcia zrobiła dłuższą pauzę - nikomu na tym nie zależało.

Zadając pytania, Holly dowiedziała się, jak właściwie wyglądała posiadłość Dimsdale i teraz próbowała ją narysować, korzystając z pomocy babci. Mogła też wyobrazić sobie ogród.

Jednak, gdy tylko wspomniała o labiryncie, napotykała na zdecydowany opór babci. - Nie wolno o tym mówić - zdecydowała babcia. - To przynosi pecha. Nawet panna Elvery, kiedy tylko tu przyjechalismy, ostrzegła Luthera, żeby nie próbował go przycinać. Oczywiście zastanawialismy się czasem, dlaczego nie pozwoliła go ruszać, był taki stary, zarosnięty i, być może, pełen węży, ale ona się go po prostu bała. Czasami, kiedy byliśmy same, mówiła mi o tym. Chyba wydawało się jej, że wszelkie nieszczęścia wywodzą się właśnie z niego. Mówiłam ci już przecież, że ona wierzyła, że jej rodzina jest przeklęta i że zło wychodziło właśnie z tego labiryntu.

-Może mieszkała tam jakaś wiedźma. - Te słowa wyrwały się z ust Holly wbrew jej woli.

Babcia spojrzała na nią z nieukrywaną złością. - Tu nigdy nie było żadnej czarownicy! Mieszkała tu dziewczyna, która stary Sexton Dimsdale chciał wypędzić, żeby przejąć ziemię i dom. W tamtych czasach łatwo było oskarżyć kogoś o czary i sprawić mu masę kłopotów. Czytałam książkę o tym, co wydarzyło się w Salem. Mówili bzdury o dobrych ludziach, którzy nigdy nikogo nie skrzywdzili, a potem nawet ich wieszano. Łatwo klamać na temat ludzi, którzy są inni, niepodobni do pozostałych. Jako czarni powinniśmy o tym zawsze pamiętać. Panna Elvery była zbyt mocno pogrążona w starych książkach i w historii swego domu. Wierzyła bezkrytycznie w stare bajania. Każdemu zdarzają się nieszczęścia i to wcale nie znaczy, że ktoś je na nas zesłał, a zwłaszcza przez czary. Sami na siebie ściągamy większość kłopotów, bo mamy złe myśli albo nienawiść w sercach.

Holly skuliła się w sobie. Kiedyś mieszkała tu wiedźma, przecież były tu i Tamar, i Hagar. Obie mieszkały w labiryncie. Jednak nie mogła tego powiedzieć babci. Kiedy już spisała

wszystko, co powiedzieli jej dziadkowie, kiedy pokazano jej to, co kiedyś było ogrodem Dimsdale, nadal czuła pewien niedosyt. Teraz musiała dostać się do miejskiej biblioteki, spotkać się z panną Noyes i spytać ją o dziennik Elkinsów. Jak jednak ma to zrobić? Nie poszli tam w sobotę, kiedy wybrali się na zakupy. Nie mogła tam pójść po lekcjach, bo nie zdążyłaby na szkolny autobus. Gryzła koncówkę długopisu i kolejny raz czytała to, co zapisała.

Niewiele tam było o czarownicach, nie licząc opowieści panny Elvery. No, chyba żeby opisała swe przeżycia z labiryntu, ale wówczas nikt by jej nie uwierzył. Nie była też w stanie nakłonić Judy, żeby jej powiedziała, gdzie schowała poduszkę. Ostatnio Judy spędzała większość czasu z babcią, wypytując ją o zioła, sposoby ich uprawy i przeznaczenie. Jej notatnik pekał od zapisków. Crock natomiast twardo trzymał się dziadka. Czasami Holly tak się tym wszystkim denerwowała, że miała ochotę zacząć rzucać czym popadnie, krzyczeć i tupać ze złości. Wiedziała jednak, że w ten sposób nie zdobędzie poduszeczki, a jedynie zwróci na siebie uwagę. Niechętnie postanowiła, że musi pozwolić, aby Judy była przekonana, że siostra porzuciła myśl o odzyskaniu poduszki. Tylko w ten sposób mogłaby dowiedzieć się, gdzie Judy ją schowała.

Jeszcze nigdy w życiu cierpliwość Holly nie była narazona na taką próbę. Zazwyczaj, kiedy chciała coś osiągnąć, musiała to mieć natychmiast. Tym razem jednak nie było innego wyjścia. Siegnęła po książkę wypożyczoną ze szkolnej biblioteki. Nie była to książka historyczna tylko powieść o czarownicach z Salem i czytała ją z uwagą. To były zwyczajne dziewczynki, podobne do niej i to one właśnie zaczęły całą sprawę, oskarżając ludzi o rzucanie na nie uroków. Nie czuła się dobrze podczas lektury, ale przeczytała ją do ostatniej strony.

Tamto zdarzyło się w Salem. Tuż za było Sussex. Jednak w samym Dimsdale doszło do polowania na czarownice. Gdyby tylko udało się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat!

Wpatrywała się bezmyślnie w otwarty zeszyt, kiedy nagle uswiadomiła sobie, że Judy stoi obok.

-Holly! - Judy nie traktowała już jej jak wroga. Jednak nie mówiła jej wszystkiego tak jak dawniej. - Holly, dzieje się coś złego.

Była podniecona i niespokojna. Miała na sobie kurtkę i czapeczkę więc musiała właśnie wejść do domu.

-Coś złego? Gdzie? - Zamknęła zeszyt z trzaskiem.

-W zimowym ogrodku babci. Holly, to naprawdę coś złego!

Holly siedziała bez ruchu. Wcześniej zdobyła nawóz kwiatowy, wysypała go do doniczek z nasionami i kłączami otrzymanymi od Hagar. Raz po raz chodziła je podlewać. Dotąd jednak nie dostrzegła żadnych oznak budzącego się życia. Obawiała się, że jeżeli nie wzejda, nie

bedzie mogla nic wytargowac od Hagar.

Nie miala odwagi wypytywac Judy o szczegoly jej rewelacji. Sama musi to zobaczyc. Trzeba sie ubrac i isc za mlodsza siostra.

W drodze do szopy Judy starala sie wszystko wyjasnic. - Babcia pozwolila mi podlewac donice. Powiedziala, ze w ten sposob lepiej poznam rosliny. Musialam jednak cos zepsuc! - Judy byla bliska lez. - One wszystkie umieraja! Zolkna i dziwnie wygladaja, jakby byly chore. Czy rosliny choruja, Holly?

Holly byla naprawde przerazona. Jezeli rosliny Hagar powymieraja, jak ja przekona, zeby obdarzyla ja moca? Co Judy z nimi zrobila?

Kiedy spytala ja o to, siostra jedynie potrzasnela glowa. Lzy splywaly po jej pyzatykh policzkach i nawet nie probowala zetrzec ich rekawiczkami. - Zupelnie nic nie robilam. Jedynie podlewalam je ostroznie tak, jak kazala babcia. To prawda, Holly.

Gdy dotarli do polek z doniczkami w szopie, uderzyl je silny, niemily zapach. Holly zmarszczyla nos. Przypominalo to nieco won wydobywajaca sie z pojemnika na smieci w goracy letni dzien. Patrzyla na przywiedle rosliny: zolte i rzeczywiscie wygladajace na chore.

-Rosliny Tamar dopiero zaczely wschodzic. - Szlochala Judy. - Teraz i one umieraja. Babcia pomysli, ze cos zepsulam, a ja tego przeciez nie zrobilam. Tylko je podlewalam, dokladnie tak jak mi kazala. Powiedz mi Holly, co sie z nimi stalo?

Holly prawie jej nie slyszala. Przesuwala doniczki z wiedzniacymi ziolami w poszukiwaniu tych, ktore sama tu ustawila. Tak, w niktorych pojawily sie juz pierwsze kielki. Wcale nie wygladaly na chore. Sterczaly w gore prosto i zdrowo. Odetchnela z ulga. Na razie mogla czuc sie bezpieczna.

-A to co? - Judy przysunela sie blizej niej. - Na co patrzysz?

Bezmyslnie odpowiedziala. - To te, ktore ja zasadzila. Sa w porzadku. A co z reszta? - Odepchnela siostrę, szukajac nastepnej doniczki i jeszcze jednej. We wszystkich dostrzegala zdrowe i silne roslinki.

-Ty zasadzilas? Holly, o czym ty mowisz? To ja wysialam nasiona od Tamar. Dobrze pamietam, poniewaz zrobilam wszystko dokladnie tak, jak mi kazala. Skad dostalas inne nasiona?

Holly przykucnela i zajrzala pod stol, szukajac wiekszej donicy, gdzie zasadzila klacze. Wyrastal z niej ped niemal tak duzy jak jej palec.

-Holly. - Poczula jak Judy szczypie ja w ramie. Szarpnela sie i opadla na pupę przy stole. -

Pytam cie przeciez - skad masz te rosliny? Kto ci je dal?

Nie zastanawiajac sie, odpowiedziala: - Hagar. Popatrz, Judy, rosna jak nalezy. Powiedziala, ze jesli wyrosna zdrowe, bede mogla spelniac swoje zyczenia! Bede mogla pozbyc sie tej pani Deevers i wszystkich, ktorzy chca zniszczyc Dimsdale.

Judy juz nie plakala. Jej twarz zamarla w zdecydowanym, surowym wyrazie, takim jaki czasami pojawial sie u mamy, kiedy byla naprawde zla.

-Kim jest Hagar?

W tym momencie Holly uswiadomila sobie, co zrobila. Dlaczego jednak teraz mogla mowic o tym bez trudnosci, a wczesniej nie byla w stanie? Zreszta to teraz niewazne. Teraz najwazniejsze, aby Judy pojela, jak dobrze rozwija sie jej plan.

-To siostra Tamar, tyle tylko, ze wie duzo wiecej niz ona.

Judy przerwala jej. Teraz na jej twarzyczce malowal sie strach. - A wiec jednak wtedy dotaralismy do domku, ale Tamar w nim nie bylo. Byla ta druga. Ona jest zla, Holly, naprawde zla!

-Nieprawda! - Dluogo powstrzymywana niecierpliwosc Holly znalazla wreszcie ujście. - Jesteś niemadra, zupełnie jak małe dziecko, Judy! Nic innego!

Nie odrywając oczu od Holly, Judy zaczęła się wycofywać. Choć Holly trudno było w to uwierzyć, miała wrażenie, że siostra patrzy na nią jak na potwory w labiryncie.

-Ona jest zła - powtórzyła Judy - i jakos potrafi sprawić, że i ty nie jesteś dobra, Holly.

-Judy! - Holly zerwała się na równe nogi, ale nie zdążyła. Judy przemknęła obok niej, chwyciła zielone doniczki i zaczęła rzucać nimi o ziemię.

Holly chciała ją powstrzymać, ale pośliznęła się i przewróciła, uderzając głową o nogę stołu tak mocno, że na moment straciła poczucie rzeczywistości. Choć się starała, nie była w stanie powstrzymać siostry. Z głuchym trzaskiem doniczki rozbijały się o podłogę. Judy deptała ich zawartość, miażdżąc młode roślinki.

Wreszcie Holly zdołała podciągnąć się i stanąć na nogi. Czowała się dziwnie, chyba przez to uderzenie. Patrząc na zniszczone rośliny, nagle wydało się jej, że widzi inne, wstretne rzeczy, teraz już bezradne, zdeptane i martwe. Judy płakała, ale sięgnęła jeszcze pod stół wyciągając ostatnią donicę. Wysypała jej zawartość na sam środek pomieszczenia i ze wszystkich sił skoczyła na zakrzywione kłaczki i sterczący kielek. Kiedy je zniszczyła zatrzymała się i znieruchomiała dysząc.

-To źle - powtórzyła. - Wszystko źle. Te rośliny zabiły ziola babci i Tamar!

Holly czuła dziwne wirowanie w głowie. Czowała się słaba i niepewna jak kiedyś, kiedy miała silną grype. Usiłowała zrobić krok, ale czuła, że ma miękkie nogi, jakby zupełnie pozbawione kości. Czowała pustkę. Nie tak, jak ktoś, kto jest głodny, lecz zupełnie inny rodzaj pustki. Plakała, ale nie wiedziała, kiedy zaczęła szlochac. Po prostu łzy ciekły po jej twarzy i bolało ją ściśnięte niesamowicie gardło.

-Pomagalas wiedznie - powiedziała powoli Judy. - Naprawde, Holly. Teraz sobie przypominam. Nie zgubilismy sie w labiryncie. Znalezlismy dom Tamar, ale jej w nim nie bylo. Byla tylko ta druga. Ona jest wiedzma, Holly. Nie rozumiesz tego? Ci ludzie, Sexton Dimsdale i inni, mysleli, ze Tamar byla czarownica. Moge sie zalozyc, ze ta druga ich do tego naklaniala. Ciebie tez przekonala!

Holly drzala na calym ciele. Bylo jej niedobrze. Kiedy usilowala spojrzec na Judy, caly pokoj nagle zawirowal.

-Hej, co tu robicie? Ale balagan! Co sie stalo Holly? - Crock pojawil sie doslownie znikad.

-Wiedzma ja opetala - powiedziala powaznie Judy.

-Przeszlismy przez labirynt, Crock. Teraz wszystko pamietam. Ty nie? Ta druga w domku byla wiedzma. Prawdziwa czarownica. Dopadla Holly i...

-Zaraz zwymiotuje - przerwala jej Holly.

-Dalej! - Crock chwycil ja za reke. - Wychodzimy stad. Zaprowadze cie do babci. Judy, postaraj sie posprzatic ten balagan, zanim babcia go zobaczy.

Holly zwymiotowala tuż za drzwiami szopy. Głowa jej falowała i ledwo zdawała sobie sprawę z tego, że brat holował ją do stodoły.

Kiedy się obudziła było ciemno, ale zdolła dostrzec, że leży na rozkładanym łozku obok kominka. Było jej na przemian zimno i gorąco; bolało ją gardło, ale zawroty głowy minęły. Babcia podała jej kubek pachnącego ziołami napoju i zmusiła do wypicia. Potem znow usnęła.

Miała sny. Wydawało się jej, że widzi Hagar, która tym razem się nie uśmiechała. Wyglądała staro i była brzydka. Holly poczuła strach. Później pojawiła się Tamar. Kiwała głową, jakby chciała jej powiedzieć, że wszystko już jest w porządku. Potem sny zniknęły albo je zapomniała.

Babcia powiedziała, że zachorowała na grype, ale Holly trudno było w to uwierzyć. Była chora, ale teraz czuła się znacznie lepiej. W głębi duszy uważała, że zachorowała dawno temu, kiedy zasnęła z poduszczyką pod głową, zdobyta podstępem i kiedy wszystko zaczęło się układać nie po jej myśli.

Przy pierwszej okazji, gdy została sama z Judy spytała

-Co z roślinami?

-Wszystko posprztałam. - Judy mówiła szybko bojąc się, że zaraz przyjdzie babcia i ją usłyszy. - Później Crock mi pomógł. Pozbyliśmy się tych złych. Teraz reszta rośnie dobrze. Tamte były zatrute.

Holly poruszyła się niespokojnie w gniazdku z poscieli i kocy. - Ona mi powiedziała, że jestem do niej podobna, że jestem wiedźma - szepnęła. - Chyba tak się zachowywałam. Cały czas jednak myślałam, co mogłabym zrobić, mogąc spełniać życzenia - pomoc dziadkowi i babci, i Dimsdale. Myślałam też o tym, że będę mogła zaszkodzić niektórym ludziom. - To wyznanie nie przyszło jej łatwe. - Judy, a co z Tamar i z wigilia Wszystkich Świętych?

-Myśleliśmy o tym z Crockiem - odpowiedziała Judy. - Mogę się założyć, że ta Hagar nie powiedziała Tamar o niebezpieczeństwie. Bedziemy musieli tam wrócić.

-Ja nie będę mogła. Jestem chora - powiedziała Holly z otchłani rozczarowania.

-Halloween wypada w sobotę. - Judy nie powiedziała nic nowego. - Zabawa nie zacznie się przed czwartą. Mama znowu nie przyjedzie. Gdybys przespala się na tej poduszce w piątek...

Holly potrząsnęła głową. - Nie. Wszystko zepsułam oszukując. Tylko ty lub Crock możecie to zrobić.

Była pewna, że wyzdrowieje do zabawy. Miała jeszcze cały tydzień i dwa dni. Postanowiła, że do tego czasu poczuje się dobrze. Nie zgodzi się też spać na poduszce. Nawet gdyby ucziwie wypadło na nią. Bala się, że to, co powiedziała Hagar, może okazać się prawdą i że coś, co tkwi w jej wnętrzu, może znowu uzyskać przewagę. Nie chciała zostać ponownie wyprowadzona na manowce.

Przez kilka następnych dni miała aż nadto czasu na rozmyślenia. Judy dwa razy przyniosła jej kartki podpisane przez wszystkich uczniów z jej klasy z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Przyglądała się im bacznie, usiłując za każdym podpisem dostrzec osobę. Chyba nie przysyłaliby jej takich kartek, gdyby nie życzyli sobie jej obecności. Nielatwo zmienić utrwalone opinie o ludziach, ale przecież nie udało się jej właściwie ocenić Hagar. Coraz bardziej odnosiła wrażenie, że nie miała racji co do swych koleżanek i kolegów. Coz mogłoby się stać, gdyby Judy w porę nie znalazła i nie zniszczyła tych roślin? Rzeczywiście wiele rzeczy należałoby przemyśleć od nowa.

Kiedy wreszcie wróciła do szkoły, miała kłopoty z przelaniem własnej niesmiałości. Trudno było tak od razu się zmienić, rozmawiać ze wszystkimi. Podziękowała im za kartki, a ponieważ wszyscy mówili o zbliżającym się baliku, mogła z łatwością do nich dołączyć. Pani

Finch zabrala ich na druga wycieczke do biblioteki, aby mogli popracowac nad swoimi pracami. Tym razem Holly mogla spytac o dziennik Setha Elkinsa. Kiedy powiedziala, ze mieszka w Dimsdale i pisze o nim prace, panna Noyes pozwolila jej przeczytac maszynopis fragmentow dziennika opisujacych powiazania miedzy dwoma rodami. W polowie lektury Holly trafila na tekst, ktory przyprawil ja o dreszcze:

Kobieta ta ofiarowala ojcu memu cos, co jak przysiegala ulzy mu w bolach zoladka, jakie czasami odczuwal. Z poczatku zdawalo sie, ze eliksir skutkuje wybornie i ojciec wstal z loza i spraw swych dogladac zaczal. Alisci, po spozyciu drugiej porcji specyfiku tego bole nie tylko, ze nie oslabyly, lecz i na sile wzrastac zaczely, tak ze cierpial katusze. Pan Dimsdale, odwiedzwszy go wieczoru pewnego, wypytal go szczegolowo co do owego cierpienia. Gdy ojciec napomknal, iz eliksir ow od kobiety zielarki otrzymal, pan Dimsdale zgniewal sie wowczas ogromnie, mowiac, iz wiedzma w tym palce maczala. Podjal butelke z lekiem i polawszy nim miesa kawal psu go rzucil naszemu. Pies, zjadlszy co otrzymal, dostal ataku, zachowujac sie jak szalony. Pan Dimsdale po pistolet ojca siegnal i kres cierpieniom jego polozyl. Tak sprawy dowiodlszy, powiedzial, iz to wiedzma smierc tak zadaje tym, ktorych chce pognebic i zebrał moznym wszelkich z calego Sussex historie owa im przekazujac i martwego psa za dowod majac. Rzekl im tez, iz noc nastepna zla slawa okryta, jako ze czarownice wszelakie na sobor wzywa, najlepsza okazje stworzy, by winna spalic, niszczac jej moc i majatek wszelki, by dalszej szkody czynic nie mogla. Tak wiec starszyzna decyzje podjela, iz dobrym i wlasciwym dla spolecznosci uczynkiem to bedzie.

Takoz i w noc nastepna pospolu zebralismy sie wszyscy z pochodniami gorejacymi i do domu przez owa zamieszkanego udalismy sie, aby sprawiedliwosc uczynic. Jednakoz ja sam, wiedzac co sie szykuje, wyslalem do H. chlopca z ostrzezeniem, by nie cierpiala za czyny nie swoje. Ino ze T. tam przebywala i smialo czola stawila kompanii calej, z pewnoscia osmielona przez pana swego Diabla. Towarzysze mogli ja dopasc i w ciemnice badz w ogien wsadzić, ino ze kiedy pod dom jej przybyli z ni z tego, ni z onego diablątka wyskoczyly przerazliwie dla czleka wygladajace. Stad, przeraziwszy sie, towarzysze tylow podali jako jeden.

Pan Dimsdale do bojących sie nie natezywszy, w godzine pozniej na miejsce powrocil, uzbrojon bogato w strzelbe z kulami srebrnymi kazdego diabla godnymi. Jednakoz, kiedy wrocil z inszymi, dom przepadl, wiedziec gdzie nie mozna. Miejsce owo ino klatwa obrzuciwszy, uslyszeli glos znikad sie dobywajacy przeklinajacy rod caly Dimsdalow, przewidujacy, ze kazda galaz onego i potomek zginie marnie, o ile wypedeni miejsca swego nie odzyskaja. Znaczenia slow owych jednak nikt w pelni pojac nie potrafil.

Dni wiele czekalem na H., by przyrzeczonego slowa dotzymala, lecz ona zjawic sie nie zechciala. Teraz wierzyc mi zostaje, iz wredna siostra onej, ktora w pokrewienstwie z nia zadnym nie przestawala, odciagnela ja od mej osoby. Stad w chorobe wpadlem wyniszczajaca cialo me, na co doktor Ashby remedium zadnego wynalezć nie mogl. Soba juz odtad nie bylem. Po zniknieciu H., posluchalem ojca mego poslubiwszy Patience, choc szczescia zwiazek ten nie dal mi najmniejszego i dalej nie dawac mi bedzie, czegom pewien

jak najakuratniej.

Holly przepisywała słowo po słowie, choć nie wierzyła autorowi ani na jote. Być może Tamar dała lekarstwo, lecz Hagar coś do niego dodała. Seth Elkins doskonale zdawał sobie z tego sprawę, lecz z jakichś względów nie chciał o tym pisać. Czyżby Hagar tak go zaczarowała, że był bezradny jak Holly, dopóki Judy nie poznała się na roślinach? Co się stało z Tamar i jej domem? Przecież to wszystko zdarzyło się w wigilie Wszystkich Świętych. Gdyby tylko udało im się tam dotrzeć przed tym terminem. Gdyby mogli ją uprzedzić! Musi im się udać! Tym razem jednak muszą trafić prosto do Tamar, nie do Hagar.

XIII

Wigilia Wszystkich Świętych

Przez większą część piątku babcia zajmowała się głównie pieczeniem ciast i ciasteczek wykrawanych specjalnymi foremkami, które pożyczyła jej pani Pigot. Ciasteczka były w kształcie nietoperzy z rozpostartymi skrzydłami, dyn i kocich główek. Po powrocie ze szkoły Holly i Judy pomagały jej, wsadzając rodzyнки w kocie oczy i malując dynie żółtym lukrem. Kostium Judy był gotowy. Dziadek usztywnił ogon tak, że sterczał jak ogon Tomkita. Przebranie Crocka było jeszcze bardziej niezwykle. Kiedy je założył i schował głowę w helmie z pudełka, wyglądał zupełnie jak bohater programu telewizyjnego o robotach. Musiał też poruszać się jak maszyna, bo fragmenty stroju zakrywające nogi były sztywne i to jeszcze bardziej upodabniało go do robota. Na głowie sterczały mu druciane antenki, a oczami były czerwone lampki. Patrząc przez małe otworki pod zaroweczkami. Pan Lem Granger, który przeszukiwał składowisko pod kątem urządzeń elektrycznych zainteresował się kostiumem Crocka i wymyślił te "oczy".

Choć Holly miała wielką ochotę przyciąć włosy i nastroszyć je na najprawdziwsze afro, jednak z tego zrezygnowała. Rozplotła tylko warkocze i z pomocą małej butelki lakieru do włosów, szczotki i grzebienia udało się jej stworzyć podobną fryzurę. Jej szata mieniła się jaskrawymi plamami czerwieni, pomarańczy i zieleni. Do tego założyła wielkie, okrągłe kolczyki i całą masę naszyjników z paciorków. W końcu nikt w Sussex tak naprawdę nie widział afrykańskiej księżniczki, więc mogła być pewna, że nikt nie zauważy drobnych niedociągnięć jej stroju.

Wyglądała sukienkę, kiedy do pokoju weszła Judy. Zobaczywszy, co siostra trzyma w ręce, Holly dość pośpiesznie usiadła na łóżku. Judy przyniosła poduszeczkę, a tuż za nią kroczył Tomkit miaucząc i podskakując przy jej stopach.

-Crock i ja postanowiliśmy, żebyś ją wzięła. - Judy wyciągnęła poduszkę w jej stronę.

Holly odsunęła się. - Nie! Nie chce. Może Hagar miała rację, może jestem gdzieś w glebi serca czarownica. Jeżeli ją weźmę, znowu pojedziemy w złą stronę. Tylko ty lub Crock

możecie ja mieć.

-Crock nie chce. - Judy mówiła powoli. - Czuje, że nie powinien próbować. Byłam u niego i kiedy go teraz spytałam, czy chce spróbować, powiedział "nie". Wobec tego, chyba ja będę musiała to zrobić.

Wyglądała wierzch poduszczeni. - Coś tu zauważyłam, Holly. Te śmieszne linie są naprawdę jak ścieżka przez labirynt, a przerwy pokazują miejsca, gdzie należy skręcić. Obie strony są różne. Po tej - przeciągnęła palcem po wyszytym wzorze - przerwy są po prawej stronie, jak wtedy, gdy znaleźliśmy Tamar. Ale tu - przewróciła poduszkę na drugą stronę - widzisz? Przerwy są po lewej, jak szłaś do Hagar. Może spalisz na złej stronie?

Niechętnie, Holly wzięła poduszkę w dłonie, żeby przyjrzeć się wzorowi. Uwaga Judy była słuszna. Obracała poduszkę na obie strony i porównywała wyszyte na niej linie. Dwie drogi przez labirynt. Nie wierzyła jednak, że to, na której stronie poduszki się spaliło, mogło mieć jakiegoś znaczenie. Ważne było, jakim się jest. Doszła do tego wniosku po długich przemyśleniach. Nie miała do siebie samej takiego zaufania, jakim darzyła młodszą siostrę.

-Jest twoja. - Rzuciła ją pośpiesznie na łóżko Judy. - Boisz się?

-Może trochę. Ale musimy tam iść, pomóc Tamar. Wiem, że tak trzeba, Holly. Nie wiem, jak możemy to zrobić, ale stale wierzę, że się uda. - Podniosła poduszczeni, odwróciła ją na stronę, gdzie przerwy we wzorze kierowały na prawo i położyła na dużej poduszce.

Tomkit mruczał tak głośno, że wyraźnie go słyszały. Wskoczył na łóżko i z upodobaniem wachal poduszczeni. Potem zwinął się w kłębek tuż przy niej tak, że czarnym nosem dotykał pozostałego płótna.

Kiedy babcia przyszła po lampę, dziewczynki były już w łóżkach. - Jutro wasz wielki dzień - powiedziała. - Dobrze się wyspijcie.

Judy zasnęła bez problemów, Holly jednak wierciła się pod kołdrą. Babcia powiedziała, że jutro opróżnia trzy przegrody, przeniosła tam łóżko i urządza sypialnię. Na gorze było już za zimno. Holly wsłuchiwała się w tajemnicze skrzypienia, które są tak charakterystyczne dla starych budynków. Raz wydało się jej, że słyszy mruczenie Tomkita. Judy jednak spała cichutko, nie wydając żadnych dźwięków.

Przez to, że tak długo nie mogła usnąć, Holly zasnęła. Dopiero dźwięk babcinego gongu rozbudził ją zupełnie. Łóżko Judy było puste i starannie zasłane. Ubrała się pośpiesznie i poszła własne. Nie dostrzegła śladu poduszczeni. Czy znowu zadziałała? Czy będa mogli iść do labiryntu przed wyjazdem na balik? Czy starczy im czasu?

-Holly, dobrze się czujesz, dziecko? - przywitała ją babcia. Smazała kielbaski na śniadanie. Ich zapach uswiadomił dziewczynce, jak bardzo jest głodna.

-Dobrze, babciu. Wspaniały zapach! - Pociagnęła nosem. Kiedy babcia zajęła się patelnią, Holly mogła uniesieniem brwi spytać Judy o sen. Siostra skinęła głową. Znaczyło to, że poduszczałka zadziałała! Kiedy będą mogli iść do labiryntu? Chyba nie tego ranka. Babcia właśnie wyznaczała im zadania związane z przeprowadzką na dół.

Dziadkowie zrobili już bardzo wiele przez ostatni tydzień, przygotowując przeprowadzkę, ale i tak zapowiadał się pracowity dzień. Dziadek musiał ponadto kilka razy wychodzić na wysypisko, gdy słyszał klaksony podjeżdżających samochodów.

Wreszcie, kiedy wracając ostatni raz, powiedział do babci:

-Chyba lepiej przygotuj się na wcześniejszy wyjazd, Mercy. Holly straciła nadzieję, że uda im się wejść dziś do labiryntu.

-Pani Winton - ciągnął dalej dziadek - przesłała wiadomość przez syna. Potrzebują pomocy, żeby wszystko przygotować na czas. Pani Pigot i Eames mają grype. Pani Winton będzie tu przejeżdżać około wpół do drugiej i cie zabierze.

-Ale to za wcześnie dla dzieci - powiedziała babcia.

-Oczywiście pojedzie i im pomoże, ale one nie mogą jechać tam tak wcześnie.

-Pojadą z Hawkinsami. Pani Winton o tym pomyślała. Hawkinsowie będą tu za piętnaście czwarta i je zabiorą.

-W porządku. Bądźcie gotowi i nie kładźcie na siebie ciężar. Zresztą, nie sądzę, żeby coś się nie udało. To zbyt ważna okazja.

Holly ledwo mogła przełknąć lunch. Babcia mówiła, że to niesamowite, jak bardzo dzieci przeżywają takie zabawy. Śmiała się przy tym. Holly zastanawiała się, co babunia by pomyślała, gdyby wiedziała, że to nie zabawa, tylko perspektywa wejścia do labiryntu tak ich podnieca.

Objuczona pudłami z ciasteczkami babcia wyjechała za kwadrans drugą. Jak tylko odjechała, Holly wróciła się do bliźniaków. - Nie będziemy mieli potem wiele czasu, a zakładanie tych kostiumów chwilę trwa. Lepiej przeberzmy się teraz i tak wejdźmy do labiryntu.

Crock skinął głową. - To chyba dobry pomysł. Muszę mieć dużo czasu, żeby wejść w stroje roboty.

Dziadek poszedł do szopy pracować nad starym stołem, więc do przyjazdu Hawkinsów byli wolni. Judy też zgodziła się na propozycję Holly i potrzebowała trochę pomocy przy zapinaniu kostiumu. Maskę ze sterzającymi uszami całkowicie zakrywała jej twarz. Była czarna, ale postanowiła jej nie przemalowywać. Uważała, że wygląda jak mieszaniec

Tomkita i blekitnego syjamczyka. Ogon beztrosko kolysal sie z tylu, a dlonie wsunela w jednopalczaste rekawiczki, ktore z latwoscia mogla sciagnac, gdyby potrzebowała wszystkich palcow.

Holly naciagnela kolorowa szate na sweter i jeansy. Musiala przy tym podwinac rekawy swetra i podpiac je agrafkami, zeby nie wysuwaly sie spod obszernych rekawow sukni. Wczesniej juz zrobila sobie odpowiednia fryzure i teraz pozostawalo jej jedynie dodac kolczyki i naszyjniki. Zdecydowala uzyc szminki, z ktorej nie korzystala juz mama, aby zaczerwienic wargi i kropkami podkreslic linie czola. Wygladalo to jak oryginalny tatuaz na czole i policzkach. Postac spogladajaca na nia z lustra z cala pewnoscia nie przypominala Holly Wade, bez wzgledu na to czy tak wygladala prawdziwa murzynska ksiezniczka.

Obie dziewczynki pomogly Crockowi wbic sie w kanciasty helm. Wprawdzie narzekal, ze nie widzi niczego, co nie znajduje sie tuz przed nim, lecz Holly przekonala go, ze to mu wystarczy i razem ruszyli w kierunku labiryntu.

Tym razem Tomkit poszedl z nimi. Bardzo interesowal sie ogonem Judy, naskakujac na niego od czasu do czasu, jednak kiedy zblizyli sie do krzaczastej sciany, porzucil zabawe i kroczac na sztywnych nogach zblizal sie do wejscia, jakby rozumial powage chwili.

Holly doskonale zdawala sobie sprawe z tego, ze tuz przed nia wyrosla sciana splecionych galazek, lecz bala sie na nia spojrzec. Nie wiedziala, jak sie zachowac, gdyby nie zobaczyla wycietych kocich postaci, ktore wskazaly im droge do Tamar. Bala sie, ze zamiast nich dostrzeze potwory, ktore prowadzily ja wprost w objecia Hagar. W dodatku dziewczynki przekonaly sie, ze musza dostosowac swój krok do mozliwosci Crocka, ktory ledwo mogli chodzic w kostiumie robota.

Wreszcie Holly zdecydowala sie podniesc oczy. Odczula wielka ulge. Chociaz krzaczaste koty nie byly tak zielone, jak za pierwszym razem, to z cala pewnoscia wygladaly jak koty, a nie jak tamte dlugonose, grozne potwory. To byl labirynt Tamar, nie Hagar.

Nie mieli zbyt wiele czasu. Tomkit zdecydowanie ruszyl w glab jednego z tuneli. Judy w swoim kostiumie przypominajacym futerko Tomkita bez wahania ruszyla za nim. Crock skrzypiac, staral sie za nimi nadazyc, a Holly pilnowala tylow i uwalniala brata z wystajacych galazek.

Zywoplot nie stawal sie coraz zielenszy i nie robilo sie coraz cieplej jak za pierwszym razem. Najwyrazniej w labiryncie panowal pazdziernik, ktory wyparl lato. Wszystkie te kwiatki i krzewinki, ktore wydzielaly kiedys tak slodkie zapachy, gdzies zniknely. Na szczescie nie bylo jednak muchomorow o groznym wygladzie.

-Nie mozesz isc szybciej, Crock? - Holly niemal deptala mu po pietach.

-Staram sie, jak moge - uslyszala z glebi ciezkiego helmu. - Ten kostium nie zostal stworzony do biegania.

Holly starala sie powstrzymac niecierpliwosc. Jezeli nie uda im sie zdazyc przed Hawkinsami... Coz beda mogli wowczas uczynic? Judy znajdowala sie w zasiegu jej wzroku. Musieli pamietac, aby na kazdym rozstaju skrecac w prawo. Zupelnie tak samo, jak za pierwszym razem, kiedy trafili do wlasciwego ogrodu.

Tym razem ogrod wydawal sie przywiedly i nieco zmrozony, choc srodek stawku byl przejrzysty. Rabaty zostaly wczesniej skopane, gotowe przyjac nowe sadzonki. Zreszta widac bylo na nich nieco wysuszone roslinki, gotowe rozkwitnac z pierwszymi promieniami slonca. Ule sprawialy wrazenie opustoszalych, bez sladow zycia, staly opatulone slomianymi matami. Sam domek sprawial wrazenie przygotowanego na zimowe mrozy.

Z komina wydobywala sie smuzka dymu. Judy pedzila w strone zamknietych drzwi. Kto stal za nimi: Tamar czy Hagar? W tym momencie Holly nie wiedziala, co bardziej by ja ucieszilo.

Ostroznie prowadzac Crocka przez ziolowy ogrodek, Judy zastukala z ufnoscia, ktora Holly uznala za niczym nie usprawiedliwiona. Jednak kiedy drzwi sie rozwarly, stanela w nich Tamar, nie Hagar.

Miala na sobie czerwono-brazowa sukienke, odzwierciedlajaca barwy jesiennych lisci. Na ramiona narzucila gruba chuste w tym samym kolorze, jakby wlasnie wychodzila. Na ich widok zatrzymala sie zdumiona. Holly od razu uswiadomila sobie, ze Tamar nie spodziewala sie ujrzec ich w kostiumach. Twarze Judy i Crocka zaslaniały maski, ale byc moze, zdola choc ja rozpoznać.

-Tamar! - krzyknela Judy, a Tomkit miauknal zalosnie.

-Tamar, to my! Judy, Crock i Holly - wskazywala wszystkich wyprostowanym palcem. - To my!

Tamar nagle usmiechnela sie - Na szczescie potrafie ujrzec prawde pod przebraniem. Wejdziecie, najmilejsi. Niech was Bog chroni, Bog chroni!

Dom pachnial ziolami, byl cieply. Tomkit od razu wskoczyl na stol, wachajac zawartosc ustawionej na nim miski. Holly byla niecierpliwa. Tamar musi wiedziec, zrozumiec, co jej grozi.

-Tamar... - zaczela, kiedy Judy, walczaca z kocia maska, by moc odslonic twarz, niespodziewanie znieruchomiala.

-Sluchaj, Tamar. Sexton Dimsdale zaraz sie tu zjawi ze swymi ludzmi. Chca spalic dom, chca cie skrzywdzic! Jest wlasnie wigilia Wszystkich Swietych. Tamar, musisz uciekac. Wlasnie dzis maja cie zaatakowac... - Judy byla bliska lez.

Tamar spogladala na nich spokojnie, na Judy, Crocka i w koncu na Holly. - Czarownica - powtorzyla powoli.

-To przez Hagar - wybuchła Holly. - To ona wreczyła trucizne Sethowi Elkinsowi, żeby podał ją swemu ojcu. Powiedziała, że to ułatwi im ożenek. To nie było dobre lekarstwo. Zabiło psa i Sexton Dimsdale zobaczył to na własne oczy. Można o tym przeczytać w starej księdze, która teraz jest w bibliotece. Sama to czytałam. Tamar, przecież to właśnie ty musisz...

Tamar przyglądała się bacznie Holly. - A coż ty możesz wiedzieć o Hagar? - spytała niezwykle ostrym tonem.

Holly poczuła, jak rumieniec wypływa na jej twarz. - Byliśmy tu, spotkaliśmy się z nią. Powiedziała, że jestem do niej podobna i że muszę jej pomóc. - Holly przelknęła ślinę. Pod przenikliwym spojrzeniem Tamar czuła coraz większy wstyd, przyznając się do tego, jak chętnie wykonywała polecenia Hagar.

-Jak miałas jej pomoc? - Surowa mina nie znikala z twarzy Tamar.

-Dala mi jakies nasiona i klacze, zebym je zasadzila w naszym czasie.

-Uczynilas to?

-Tak. Tyle, że Judy zobaczyła, że te nowe rośliny zabijają ziola babci i te, które ty jej dalas. Wyrzuciła ziemię z doniczek i zniszczyła złe rośliny.

Zobaczyli i usłyszeli, jak Tamar głęboko wciąga powietrze. Podeszła do dziewczynki i ujęła ją dłońmi pod brode, podnosząc wyżej jej głowę. Dłuższa chwile, nie mrugając, patrzyła jej prosto w oczy. Holly miała wrażenie, że Tamar potrafi dostrzec w niej wszystkie podłości, bunt, oszustwa, które doprowadziły ją do Hagar.

-To prawda, kochanie, posiadasz dar. Bardziej to ciężar niż dar, gdyż ku ciemnym sprawom ciągnie. Sama się przekonałaś. Powinnas być wdzięczna swej siostrze, że przerwała urok rzucony na ciebie. Ciężko żyć na tym świecie ludziom obdarzonym magiczną mocą. Oszczędnie muszą z niej korzystać i to jeno dla dobra innych, nigdy zaś własnego.

Posłuchaj, mała siostrze, co stanowi prawo: "Kochaj wszelkie rzeczy w naturze. Nie pozwól, aby ktokolwiek kiedyś cierpiał przez uczynki lub myśli twoje. Z pokora przyjmuj wole ludzka i boska. Zadowolenie poznasz jedynie przez cierpienie, długie i cierpliwe, i przez szlachetność myśli i czynów. Mądrzy nigdy się nie starzeją."

-Mowilas już to wcześniej. - Głos Crocka brzmiał glucho z czelusci helmu. - To brzmi jak coś z kościoła.

-Nie z tego kościoła, który znasz, bracie - odpowiedziała Tamar - bowiem to mądrość ludzi czczących moc starsza od każdego kościoła. Ty, siostrzyczko - znów zwróciła się bezpośrednio do Holly - nie staraj się sięgać tego, co przed tobą. Z czasem wszystko będzie ci objawione. Dziękuj też siłom dobra za to, że nie zaszlas w stronę zła tam, skąd nie

ma powrotu.

-Tamar - Judy wyjęła dłoń z rekawicy, chwyciła kraj jej sukni i pociągnęła - proszę, musisz stąd uciekać. Ci ludzie są już blisko.

-Co mówią zapiski, które dotrwały do waszych czasów, o tym, co się dziś stało?

-Ze kiedy rozmawiałaś z Sextonem Dimsdale pojawiły się jakieś demony, mężczyźni wystraszyli się i uciekli. Kiedy powrócili, dom i wszystko zniknęło! - odpowiedziała szybko Holly.

-To rzeczywiście wigilia Wszystkich Świętych, kiedy czas może odwrócić się w inną stronę, o ile może być wystarczająco potężne - powiedziała powoli Tamar. Mówiła to bardziej do siebie niż do dzieci. - Malenka - zwróciła się do Judy - jak rosną roślinki, które ci podarowałam?

-Wszystkie już weszły - odpowiedziała Judy. - Niektóre są już takie duże! - pokazała palcami.

-A więc jest już łączące ogniwo! - Dzieci znowu nic nie rozumiały, a Tamar odsunęła pelerynę, uwalniając ręce. Odwróciła się od nich w stronę stołu.

Jego blat tym razem był mniej zagrożony niż poprzednio. Cztery czerwone świece wyznaczały kwadrat, a za nimi stały dwie czarne. Wewnątrz kwadratu leżał wieniec z kolorowych liści przepiękanych drobnymi kwiatkami: złotymi, purpurowymi i rdzawymi. Środek wienca zajmowała metalowa miseczka wypełniona kawałkami brazowej substancji.

Tamar przyglądała się temu przez chwilę z dłońmi na biodrach. Przypominała nieco dziadka zastanawiającego się nad wyborem najlepszego narzędzia do wykonania szczególnie trudnego mebla.

-Czy moja moc będzie wystarczająca? Skąd mam wiedzieć? Okaze się podczas działania. Jednak kiedy wybija godzina otwarcia wrot, przejście będzie możliwe o obie strony: z naszego świata i do niego. Jeżeli...

Holly osmieliła się jej przerwać. - Musimy już wracać do naszego czasu. Będę nas szukać. Było już jednak za późno.

-Hej, wiedzmo! Pokaż swe wstretne oblicze! Wszyscy wzdrygnęli się, słysząc ten okrzyk na zewnątrz domu. Judy stała najbliżej okna. Wyrzała ponad parapetem, który był niemal na wysokości jej oczu.

-Ludzie z pochodniami! - krzyknęła.

Tamar odwróciła się od stołu. - Zostałam ostrzeżona - powiedziała spokojnie. - Wy

zostanie w ukryciu. Nie wiem, czy po tej stronie czasu ktos może was skrzywdzić, ale lepiej nie próbujemy się o tym przekonać.

Bez pośpiechu podeszła do drzwi, otworzyła je i wyszła, a Holly i Crock stłoczyli się z Judy pod oknem. Na dworze zapadły ciemności. Ostre światło pochodni doskonale oświetlało ogródek zmarzniętych ziół. Mężczyźni szli zdeptując grządki, niszcząc ostatnie rośliny, które wciąż jeszcze sprawiały wrażenie żywych.

Holly zadrzała. Nigdy jeszcze nie widziała takiego wyrazu na ludzkich twarzach. Mężczyzna, który szedł o pół kroku przed grupą, trzymał w ręce szablę. Na obnażonej klingie odbijały się czerwone płomienie.

-Czegoż tu szukacie, sąsiedzi? - Tamar stała tuż przed nimi. Dzieci nie widziały jej twarzy. Holly przypomniała sobie jak otwiera się okno i pchnęła jedno skrzydło. Mogli teraz lepiej słyszeć, co mówiono.

-Ty wiedzmo. W swych garnkach śmierć uwarzyłaś, śmierć przyjaciela naszego Increase'a Elkinsa!

-A gdzie to jest teraz pan Elkins, żeby samemu rzucić mi w twarz to oskarżenie, jako sprawiedliwość nakazuje?

-Pismo Święte sprawiedliwie cie ocenia, wiedzmo. Czyż nie mówi jasno: nie pozwólcie wiedzmom żyć między wami?

Ludzie stojący za plecami Sextona Dimsdale wydali z siebie groźny pomruk, potwierdzający słuszność słów swego przywódcy. Judy przycupnęła ze strachu, a Holly uchyliła się jak przed ciosem. Ten pomruk przeraził ją bardziej niż cokolwiek w życiu.

-Ty chcesz mej ziemi, panie Dimsdale. Chyba nie zaprzeczysz temu wobec tej kompanii, która nie raz słyszała, jak o tym mówiłeś? Czyż jest łatwiejszy sposób na osiągnięcie tego celu niż fałszywe oskarżenie rzucone na samotną kobietę? Pomyslcie o tym wy, którzy dzierzycie w dłoniach pochodnie. Widzę cie, Reubenie Fenester. Ciekawe, jak czułaby się teraz twoja dobra żona, gdybym się nią nie opiekowała. O, jesteś i ty, Micahu Hawkinsie, który przyszedłeś do mnie z raną, której nikt nie mógł wyleczyć. Spójrz na rekę, w której trzymasz pochodnie. Widzisz na niej czystą bliznę?

A ty, Rupercie Briggs, masz synka, który żyje, a nie kolejne dziecko spoczywające w grobie. A ty, ty i ty... - Tamar uniosła rekę, wskazując mężczyznę po mężczyźnie. - Wszyscy jesteście moimi dłużnikami za uratowane życie i zagojone rany. Wszyscy idziecie za tym, który, pozadając własności prawnie mi przynależnej, rzuca oszczercze oskarżenie o czary. Pomyslcie o przeszłości, sąsiedzi...

-Nie słuchajcie jej! - krzyk Sextona Dimsdale zagłuszył dalsze słowa Tamar. - Czyż sam diabeł nie radzi tym, których umiłował, jak przekreślić myśli uczciwych ludzi, tak samo jak

pokrecic ich ciala swym jadem? Sluchajcie jej, a poddacie sie diablui jego sztuczkom. Czyz na wlasne oczy nie widzieliscie, co stalo sie z psem, ktory wypil wywar przeznaczony dla Elkinsa? Wsciekli sie i toczyli piane z pyska tak, ze trzeba bylo go zabic, zeby pana swego nie pogryzl. Co staloby sie z Elkinsem, gdyby to wypil? Moze nawet i smierc wydalaby mu sie lepsza od cierpienia spowodowanego przez te czarownice. Znacie wszyscy Pismo Swiete: czy mozemy modlic sie do Pana Boga sprawiedliwego, jednoczesnie zgadzajac sie, by wiedzma zyla miedzy nami? Jakie oczyszczajace kary moglby za to na nas zeslac?

Meczczyni znou cos zamruczeli i postapili krok do przodu. Holly nie byla w stanie patrzec na ich twarze. Przerazali ja tak, ze robilo sie jej niedobrze. Poczula, ze ktos szarpie ja za rekaw - to Crock.

Ciagnal tez Judy za ogon.

-Chodzie! - Glos brata brzmial glucho i dziwnie z wnetrza glowy robota. Holly dostrzegla jego jarzace sie oczy. - Chodzie!

Ruszyla w strone drzwi. Judy usilowala sie wyrwac, ale Crock pchnal ja przed siebie.

-Otworz drzwi - syknal. - Wychodzimy!

Tam, na zewnatrz? Chyba oszalal. Tamar kazala im zostac w ukryciu. Przeciez ci ludzie ich zlapia...

-Ruszajcie! - Crock nie mial watpliwosci. - Sluchajcie - zadudnil z glebi helmu - kiedy Holly otworzy drzwi, wypadniemy na zewnatrz i bedziemy wrzeszczec jak opetani. Rozumiecie?

Dopiero wtedy Holly pojela jego plan. W przebraniach, wrzeszczacy ze wszystkich sil - prawdziwe demony.

Czyzby to oni mieli byc owymi diabletami, ktore powstrzymaly atak na Tamar? Tylko to sie stalo tak dawno temu. Czula w glowie natlok mysli, nad ktorym nie miala czasu zapanowac.

Szarpnela drzwiami, otwierajac je szeroko. Zgodnie z poleceniem brata wybiegla na dwor, wydobywajac z siebie najbardziej niesamowity wrzask. Crock ryczal glucho, poruszajac sie znacznie sztywniej i wolniej od dziewczynek. Judy miauczala nie gorzej od Tomkita, tyle ze duzo glosniej.

Przez dluzsza chwile oniemiaли mezczyzni wpatrywali sie w trzy niesamowite zjawy. Holly podskakiwala, wymachujac rekami w powietrzu i zawodzac jak afrykanska szamanka, ktora widziala w jakimis programie podroznicznym. Crock maszerowal sztywnym krokiem robota, ryczac glucho. Judy miotala sie jak wsciekla kocica, wyciagajac lapy w strone Sextona Dimsdale, jakby miala zamiar go podrapac.

Pan Dimsdale zaczal sie wycofywac. Za nim zakotlowalo sie. Meczczyni nie wytrzymali,

odwrocili się i zaczęli uciekać w popłochu, odrzucając pochodnie. Sexton Dimsdale krzyczał coś za nimi, lecz na widok zbliżającego się Crocka także rzucił się do ucieczki.

-Uważajcie na pochodnie! - krzyknął Crock. - Zasypcie je, bo będzie pożar!

Przez parę chwil Holly i Judy zajmowały się gaszeniem ognia. Crock w swym sztywnym stroju nie bardzo mógł im pomóc. Kiedy ugasili ostatnie iskry, wrócili do domu.

Tamar była już w środku, ale z nią była też... Holly skurczyła się w sobie. Chciała odwrócić się i uciec, czuła jednak, że gdyby to zrobiła, byłaby naprawdę zgubiona.

Hagar stała po drugiej stronie stołu, uśmiechając się i kiwając głową. - Niech tak się stanie, siostró!

-Doprawdy? - spytała Tamar. - Więc to zdołała przewidzieć. I co jeszcze?

-Ten Sexton Dimsdale będzie modlił się do swego Boga, aż klecząc zetrze do krwi kolana, lecz moja kłątwa go nie opuści. A także i to, droga siostró, że przejde przez komnaty czasu do lepszych dni, bardziej odpowiednich do moich celów. Wówczas to ja, nie ty, będę Panią Mocy. I skorzystam z niej, siostró, oj, skorzystam!

-Wiele widziałas...

-Wiele widziałam i wiele uczyniłam, siostró. Ta, która pewna reka sięga po władzę i ma poczucie celu - którego ci brak - może zostać królową i władczynią! Nadchodzi moje królestwo! - Zielone oczy Hagar Isnily, jakby płonely w nich ognie. - Tak, wciągnęłam cię do tego, ponieważ dopiero połączone moce, twoja i moja, mogą mnie doprowadzić tam, dokąd zmierzam. Użyjesz zaklecia o wygiciu czasu, bo musisz to uczynić. Inaczej zginiesz. Potem zamieszkaś we własnej, zapomnianej kieszonce czasu. Znajdziesz tam tak miły ci spokój. Muszę na to zezwolić, bo jesteś moją krewną. Ja jednak pozostanę wolna, a Dimsdale będzie żył pod kłatwą. Dopóki labirynt czasu, który będzie odtąd naszą kłatką, nie zostanie całkowicie zniszczony, będę miała jedynie połowę życia.

-Musisz być bardzo pewna własnej mocy, mówiąc do mnie w ten sposób - powiedziała powoli Tamar.

-Czyż to nie Lewa Ścieżka zawsze okazywała się silniejsza od Prawej w historii ludzkości? Nad światem zapanuje ocean ciemności, ponieważ zrodzeni z Adama zawsze sklaniali się ku lekomy i mrokomy. Taka ich natura. Będziemy robić użytek z ich strachu. Hekate z Piekiła zawsze wychodzi zwycięsko z bitwy...

-Możesz sobie wierzyć, w co chcesz, jednak złamałaś Prawo. Obawiam się, że sama się przekonasz, że to nie blahostka, o której łatwo zapomnieć.

-Prawo? Istnieje więcej niż jedno prawo, siostró. Dzisiaj wigilia Wszystkich Świętych, kiedy

zmarli beda chodzic ze swymi krewnymi i przyjaciolmi, kiedy Lewe Moce zloszcza sie najbardziej. Jednak jest to tez czas, kiedy obie razem bedziemy musialy uzyc naszych zdolnosc, badz zginac calkowicie z rak tych, ktorzy niczego nie rozumieja.

Powoli, z ociaganiem, Tamar skinela glowa. - Niech tak bedzie.

Hagar rozesmiala sie. - Och, jak niechetnie to mowisz, siostro. Nie jestes zbyt madra. Ja przewidzialam te chwile, napracowalam sie, zeby do niej doprowadzic... - Obrzucila Holly szybkim spojrzeniem i dziewczynka zorientowala sie, ze Hagar od poczatku wiedziala o jej obecności.

-Stara krew nigdy nie umiera, nawet w przyszlosci - ciagnela - sa tacy, ktorzy duch rwie sie do pracy, kiedy moc wzywa, ktorzy sa gotowi jej posluchac.

Tamar nie patrzyla na dzieci. - Zrobimy, co musi byc zrobione. Choc to, co z tego wyniknie...

Hagar przerwala jej. - Co z tego wyniknie? Dla ciebie, siostro, pokoj i wieczne zycie w swej kieszonce czasu. Moze niekiedy uznasz takie zycie za nudne, nie majac do kogo ust otworzyc. Wowczas pozalujesz, ze nie jestes wolna jak ja.

-Niczego nie pragne - odpowiedziala Tamar - procz tego, co mi sie nalezy. Zreszta i ty nie mozesz uzyskac niczego wiecej.

-Jednak ja to przewidzialam i przygotowalam. Moja czesc bardzo mi odpowiada. Ale, ale, piasek konczy sie w klepsydrze; czy mozemy sie juz zabrac do pracy, siostro?

Tamar milczac skinela glowa. Hagar nachylila sie nad paleniskiem i szczypcami wyjela z niego rozwarzony wegiel. Wrzucila go do miski otoczonej wiencem. Potem siegnela po jeszcze jeden, mniejszy wegielek i zapalila nim swiece.

Z miski uniosla sie smuzka dymu, ktora gestniejac zaczela sie zawijac. Holly poczula ciezki intensywny zapach, jakby to byly perfumy. Chciala wyjsc z tego domu, wrocic do swiata, ktory znala. Jednak nie mogla sie nawet poruszyc. Dymu bylo coraz wiecej, gestnial tak, ze po chwili nie widziala ani Tamar, ani Hagar stojacych naprzeciw siebie po obu stronach stolu.

Slyszala cichy spiew wydobywajacy sie z oparow, choc nie byla w stanie zrozumiec slow. A moze jednak? Co jakis czas zdarzalo sie jej cos uslyszec, lecz natychmiast to zapominala. Czasami czula dziwne pulsowanie w calym ciele, cos ciagnelo ja do chmury dymu. Zawsze jednak powstrzymywal ja strach.

Spiew wznosil sie wysoko pod sufit. Wydawalo sie, ze uczestnicza w nim nie tylko Hagar i Tamar. Dolaczaly do niego inne, obce glosy. Holly spojrzala na Crocka, na Judy, ale stali przy niej, nie w dymie. Kto jeszcze byl w chacie? Skad przyszedl?

Przez chmure przeswiecały płomienie świec. Nagle dwie zewnętrzne, czarne, zgasły. Z dymu wydobył się krzyk, jękliwy skowyt. Z początku głośny, zamierał, aż nastąpiła cisza.

Chmura zaczęła się kurczyć, gesta w środku, rzadsza na zewnątrz, odsłaniając coraz większą część pomieszczenia. Zwinęła się w kulę, która opadła na miskę i zniknęła.

Tamar stała na swoim miejscu. Zamknęła oczy, wyciągnięte ręce trzymała nad miską. Ale Hagar zniknęła!

Tamar zaczęła mówić, a to, co mówiła brzmiało jak modlitwa:

Straszny Panie, ty, ktoremu jedna ręka daje życie, a drugiej śmierć, roztwórz swe wrota, przez które wszyscy przejdą o oznaczonej godzinie. Dawco pokoju i spoczynku, weź do siebie te, która przychodzi wbrew swej woli. Pozwól, by w oznaczonym czasie narodziła się na nowo, by coś się stało, mogło się odstąpić, zło, zostało naprawione. I niech jej dusza wówczas stanie się tak piękna, jak jej twarz i ciało.

Przez wszystkie moce lądów i morz,

jak mówię: Niech to się stanie już.

Przez całą moc księżyca i słońca,

Niech wola ma spełni się do końca.

W końcu otworzyła oczy i pochyliwszy się nad stołem, zdmuchnęła pozostałe świece. Kiedy odwróciła się do dzieci, była bardzo blada. Zachwiała się tak, że musiała przytrzymać się krzesła.

-Niech się stanie - powiedziała. - Bądź błogosławiona, Hagar, gdyż kiedyś byłaś piękna, szczęśliwa dziewczynka. Niech to się powtórzy.

-Czy Hagar nie żyje? - spytała Holly, nie mogąc przez moment uwierzyć, że wszystko, co tu widziała i słyszała, zdarzyło się naprawdę.

Tamar wzdrygnęła się, jakby zupełnie o nich zapomniała. Teraz spojrzała poważnie na Holly. - To, co nic niewiedzący ludzie zważyli na śmierć, siostrzyczko, jest tylko bramą do innego świata. Hagar wierzyła, że wiązać się z waszym czasem z pomocą tych potężnych roślin, jakie ci dała do wysiania, osiągnie twój świat. Być może zdołałyby jej w tym pomóc, nie wiem, bo nie posiadam jej wiedzy. Ponieważ jednak owe rośliny nie rozkwitły, uwolniła się od tego świata, lecz do waszego nie mogła sięgnąć. W ten sposób powróciła tam, gdzie pierwszy raz rozjarzyła się iskra jej życia, a ja, ja również jestem wolna.

-A gdzie my jesteśmy? - spytała Holly, czując narastający lęk. Jeżeli Tamar zniknęła razem z domem, jak mówiły dawne przysłowia, to i oni gdzieś się zagubili! Nigdy już nie wróci do

siebie! Miała ochotę wykrzyczeć z siebie strach.

-Wy jesteście silnie związani z własnym czasem. Nie бой się. Kiedy przejdziecie przez te drzwi, również będziecie wolni, nie licząc ograniczeń, jakie sami sobie narzucicie. Ja jednak będę wolna wobec czasu, tak jak Hagar, tyle że inaczej. Odtąd też Dimsdale uwolni się od klatwy, jaką rzuciła.

Judy zbliżyła się do niej. - Wciąż już nigdy cię nie zobaczymy?

Tamar uśmiechnęła się. Zmęczenie, ciężar bólu, zniknęły z jej twarzy. Już nie była zwyczajna. Stała się prawdziwą piękną, równie ładna jak Hagar, choć inaczej. Rozpostarła szeroko ręce i roześmiała się, nie jak Hagar, złośliwie i z gniewem, lecz radośnie.

-Niemożliwość bawić się czasem, dziecko. Nie, już się nie spotkamy. - Jednak... - Tamar pochyliła się i dotknęła palcem czoła dziewczynki - tobie zostawiam te z moich umiejętności, które chciałabym z tobą dzielić. W swoim własnym czasie będziesz umiała leczyć, nawet jeżeli będziesz to robić zupełnie inaczej niż ja. Bądź ostrożna i najlepiej jak potrafisz dbaj o rośliny, które ci zostawiłam. Kiedy wyrosną i nabiorą siły, pomogą powrócić na ziemię tym, które w swej zachłanności człowiek skazał na zagładę. Błogosławione są wszelkie działania mające na celu odnowę, nie zniszczenie. Wzrost wiąże się z życiem jedynie wtedy, gdy jest prawdziwie zakorzeniony w ziemi i nie wywodzi się z wyobrażeń ludzi uważających, że są ponad prawnymi prawami.

Tobie, zas - zwróciła się do Crocka - mówię, że odwaga to dar potężniejszy od wszystkiego, co mogłabym ci ofiarować. Ale... - sięgnęła za siebie do stołu i wzięła odrobinę wosku, który spłynął z jednej ze świec - niech twe ręce poznają sztukę i stworzą rzeczy, które nie tylko będą dobrze służyć twoim bliźnim, ale i obdarzone będą pięknem. Weź to i niech to będzie twój amulet, który da ci wiele dobra, lecz jedynie dzięki twoim własnym wysiłkom.

Dla ciebie, siostrze - zwróciła się w końcu do Holly - mam dar, który zatrzymasz w swoim sercu. Jeżeli dobrze się nim zaopiekujesz, pozwoli ci spełnić życzenia tego, czego tak bardzo pragniesz.

Podniosła ze stołu małą książeczkę, oprawioną w drewno z metalową klamrą. Holly wzięła ją niemal niechętnie. Kiedy ją otwierała, czuła się bardzo dziwnie, jakby wiedziała, że odtąd jej życie już nigdy nie będzie takie jak przedtem.

-Miłe spotkanie, miłe rozstanie. - Tamar naciągnęła pelerynę na ramiona. - Mamy niewiele czasu. Bądźcie błogosławieni do dnia swych ostatnich.

Drzwi otworzyły się za nimi, choć żadne z nich nawet ich nie dotknęło. Próbowali się pożegnać, lecz nie potrafili znaleźć odpowiednich słów. Wyszli na zewnątrz, a wówczas...

Ogród, dom - wszystko zniknęło. Żywopłoty labiryntu otaczały ich ze wszystkich stron.

Dostrzegli w nich jednak wyraźną przerwę, w którą pewnie wkraczał Tomkit. Na ich widok miauknął głośno. Holly pomyślała, że to sen. Nie miała najmniejszej ochoty o tym mówić, a Crock i Judy najwyraźniej dzielili jej uczucia.

Nagle Crock spytał: - Ciekawe, która jest godzina.

-Hawkinsowie - może już po nas przyjechali! - Judy ruszyła biegiem.

Holly zupełnie zapomniała o balu. Poczula narastające podniecenie. Nie wolno im się spóźnić! Położyła dłoń na ramieniu Crocka popędzając go. Dokładnie w chwili wyjścia z labiryntu, usłyszeli klakson.

Hawkinsowie! Holly uniosła suknie, wcisnęła książkę za pasek jeansów i obiegła stodołę, pchając Crocka, który starał się, jak mógł.

XIV

Blogosławiona zieleni lawendy!

Było to zupełnie jak przebudzenie się z głębokiego snu. Bal w miasteczku sprawił, że niemal zapomnieli, co się stało. Kiedy Crock zdobył pierwszą nagrodę za najbardziej niezwykle kostium, wszyscy bardzo się ucieszyli. Dziadek przyjechał po nich ciężarówką w samą porę, byli tak zmęczeni, że razem padli na park. Po drodze jednak Judy nagle zaczęła śpiewać:

Lawenda jest niebieska, dilly, dilly!

Lawenda jest zielona,

Kiedy ja będę królem, dilly, dilly!

Ty będziesz królową.

-Tamar jest królową - powiedziała cicho. - Tam, u siebie, jest królową. Zrobię, co mi przepowiedziała. Będę leczyła ludzi, będę prawdziwą lekarką!

-Będziesz musiała długo się uczyć - rzucił Crock. - Powiedziała, że klątwa zejdzie z Dimsdale. Ciekawe, czy to pomoże dziadkowi utrzymać wysypisko?

Holly siedziała z dłońmi splecionymi na podolku. Czowała twarde uciskanie książki. Pytanie Crocka uswiadomiło jej, że wyszli z kłopotów w labiryncie, żeby stawić czoło własnym problemom. Była bardzo zmęczona i teraz, kiedy opadło podniecenie wywołane balami, znowu zaczęła się martwić.

-Musimy coś zrobić. - Dawna niecierpliwość, żeby znowu działać, rozbudziła się na nowo.

-Co? - spytał Crock nie bez powodu. Judy, pogrążona w marzeniach, znowu zanuciła

melodie piosenki.

-No, coz... - Holly wlasciwie nie zastanawiala sie nad tym, co musza teraz zrobic. Crock mial racje: Co mogli zrobic?

-Musimy cos wymyslic - powiedziala, zdajac sobie sprawe z tego, ze brzmi to zupełnie nieprzekonujaco.

-W porzadku, zastanowimy sie. - Crock kolysal na kolanie glowe robota, z ktorej przed chwila pomogly mu sie wydostac. - Dziadek i babcia, zachowywali sie tak, jakby nic sie nie mialo zdarzyc. Jezeli bedziemy musieli sie stad wyprowadzic, dokad pojedziemy?

Pytanie brata wyrwalo Holly z marzen. - Wyjechac stad? Nie mozemy tego zrobic, Crock. Musimy zajmowac sie roslinami Tamar i miec ogrod taki, jak ona. Obiecalismy!

-No wiec? Ty takze musisz troche poglowkowac.

Nikt juz nie spiewal, przestali rozmawiac. Coz mozna bedzie zrobic, jezeli mieszkancy miasta zdecyduja zlikwidowac wysypisko i sprzedac grunt panu Reutherowi? Wszystkie mlode drzewka dziadka, ziola babci, labirynt... Holly zeszywniala. Labirynt! To przeciez cos niezwyklego. Przypusmy, ze daloby sie go otworzyc, uporzadkowac, a w srodku zalozyc zielony ogrod? Babcia przeciez zna wszystkie panie z klubu ogrodnikow. Chodzila na ich zebrania, a one zwracaly sie do niej z pytaniami na temat uprawy ziol. Judy dowiedziala sie tego, zbierajac materialy do swej pracy.

Czy zdolalaby przekonac te panie do glosowania za ocaleniem labiryntu Dimsdale? Moze zuchy i harcerze by ich poparli. Przeciez czesto tu przychodzili. Byl jeszcze pan Correy i pan Lem... Ilu ludzi staneloby w ich obronie?

Inaczej niz kiedyś, tym razem nie dzielila sie z blizniakami swymi myslami. Musi najpierw opracowac plan, dokladny plan, a wowczas im powie. Na razie miala jedynie pomysl.

Po powrocie do domu poszli na gore zdjac przebrania. Tomkit lezal na lozku Judy z glowa na poduszce z labiryntem. Mruczal lagodnie przez sen.

-Ma mile sny - zasmiala sie Judy. - Bedzie jednak musial sie troche przesunac i pozwolic mi usiasc. - Podniosla kota tak delikatnie, ze sie nie obudzil. Poduszczyka wypadla z jej rak i potoczyla sie pod nogi Holly. Holly schylila sie po nia. Z jednej strony byly jeszcze linie labiryntu, lecz druga zdobily drobne kwiatki wyszyte splowialymi nicmi, jakby byly tam zawsze. Mapa drogi do Hagar zniknela.

-Judy - Holly byla zbyt zdumiona, zeby wierzyc wlasnym oczom. - Widzisz to co ja?

Judy z zainteresowaniem przygladala sie kwiatom. - To lawenda - wskazala na najdluzsza lodyge. - To pszczeli balsam, a to jest bardzo stary gatunek rozy, kiedyś popularny. Tu

mamy koper, ten zielony, a to słodkogorz z pomarańczowymi jagodami. Reszty nie znam, ale mogę sprawdzić w zielniku. To wszystko dobre rośliny, Holly, takie, jakie Tamar chciałaby widzieć w swoim ogrodku.

-Ale droga do labiryntu Hagar zniknęła! - Holly nie pojmowała, jak siostra może tak spokojnie to przyjmować. Przecież wyszywanki nie mogą same się zmieniać i to w kilka godzin. W dodatku wszystkie te kwiaty wyglądały równie staro jak mapa labiryntu po drugiej stronie.

-Chyba musiała, nie uważasz? - powiedziała Judy spokojnie. - To była część magii Hagar. Odeszła wraz z nią. - Poglądziła palcem wyszyta lodyżkę lawendy. - Lawenda jest niebieska, a raczej lawendowa, a zanim pojawia się kwiatki, jest zielona. Babcia ją uprawia. Powiedziała mi, że kiedyś panna Elvery nauczyła ją robić lawendowe wachlarze na lato. Trzeba wziąć bardzo cienki lawendowy materiał i między dwie warstwy wysuszone lodygi jako zeberka. Latem spróbuję to zrobić. Zrobię też rozane paciorki i inne rzeczy, które widziałam u Tamar - powiedziała rozmarzona. - Jest tyle rzeczy na świecie, które chciałabym poznać, Holly, tyle chciałabym wiedzieć!

Holly umyła twarz i rozczesywała nastroszone włosy.

Chciała znów być dawna Holly Wade, tu, w Dimsdale, a nie afrykańska księżniczka.

-Nikt nie może wiedzieć wszystkiego - rzuciła. - Nawet Tamar.

-Owszem - zgodziła się Judy. - Ale ona знаła rzeczy, o których dzisiaj nie mamy nawet pojęcia. Holly, przecież ona dała ci książkę. Może jest w niej coś ciekawego.

Holly spojrzała na górną szufladę komodki, do której przed chwilą schowała książkę, wciskając ją pod bieliznę. Miała mieszane uczucia. Chwilami miała ogromną ochotę ją otworzyć, ale częściej się tego bała. Obawiała się, że kiedy zacznie ją czytać, stanie się kimś zupełnie innym niż stara, znajoma Holly Wade.

-Mogłabys zobaczyć - ciągnęła Judy. Przeszła przez pokój, człapiąc futrzanymi kapciami, żeby schować poduszczykę do kartonu z galgankami. - To nie może zaszkodzić.

Trzeba będzie to zrobić. Nie mogła przecież przyznać się młodszej siostrze, że boi się otworzyć jakąś starą książkę. Żeby nie budzić podejrzeń, podeszła zdecydowanie do komodki i wydobyla książkę z szuflady. Przysiadła na łóżku i pierwszy raz dokładnie ją obejrzała.

Okladki zrobiono z cienkich deseczek, lecz grzbiet był skorzany. Tom był zamknięty metalową sprzączką. Holly nigdy nie widziała czegoś takiego. Nacisnęła zapinkę palcem niepewna, czy potrafi ją otworzyć, ale metalowe części dały się łatwo rozdzielić.

Drżąc z niepokoju i ciekawości podniosła okładkę. Stronice również były niezwykle. Holly

nigdy jeszcze nie widziała tak grubego papieru.

Zolte kartki pokrywało ręczne pismo, którego nie potrafiła odcyfrować. Przerzucając strony, trafiła też na rysunki - gwiazdy i krzyże dziwnego kształtu. Otaczało je pismo, jakby wyjaśnienia. Holly nie rozumiała ani słowa. Czula głębokie rozczarowanie. Z rosnącym zniecierpliwieniem przekładała kartki. Jedna była luźna i zsunęła się na łozko. Zorientowała się, że to odrębna kartka, nie strona książki. Ktoś złożył brązowy arkusik papieru i wsunął go do tomiku. Kiedy go dotknęła, drobina papieru odpadła z krawędzi. Biała się, że zniszczy kartkę zanim przekona się, co na niej jest. Pomyślała, żeby przelożyć arkusik na wolną stronę albumu do zdjęć, ale trzeba to zrobić jak najdelikatniej.

-Co to jest? - Judy pochyliła się nad znaleziskiem.

-Nie dotykaj! Jest takie stare, że zaraz się rozpadnie. Spróbuj tego. - Odłożyła nieczytelną książkę i sięgnęła po album, otwierając go na pustej stronie. - Jeśli uda mi się rozłożyć tę kartkę nie niszcząc jej, tu ją włożymy.

-Pomogę ci - zaofiarowała się Judy.

Holly nigdy nie robiła niczego aż tak delikatnie. Tak właśnie musi pracować babcia, sklejjąc stara porcelana. Na szczęście papier kruszył się głównie na obrzeżach i mogła rozłożyć kartkę niewiele tracąc. Był na niej jakiś rysunek, ale zanim go obejrzała, chciała umieścić ją bezpiecznie pod plastikową osłoną albumu.

Gdy to się wreszcie udało, podniosła go bliżej światła lampy. Był to rysunek labiryntu, dokładniejszy od mapki wyszytej na poduszce. W centrum przerywanych kregów znajdował się niewielki ogród, taki sam jak przed domkiem Tamar, choć chatki nie było na obrazku. Zewnętrzne ściany labiryntu okalały rabaty kwiatowe. Niektóre wyglądały dziwnie z kwiatami zgrupowanymi w kwadraty i inne geometryczne kształty.

Obok wypisano wiele słów, być może nazwy kwiatów i krzewów rosnących na rabatach. Na dole dostrzegła napis wykonany znacznie większymi literami, które zdołała przeczytać: Ogród, zaplanowany dla Dimsdale, roku Panskiego 1683, przez pana Herberta Truelowa.

Plan ogrodu, ogrodu Dimsdale, przygotowany przez ojca Tamar! Holly przesunęła palcem po plastikowej osłonie starego rysunku. - Przerysuje to do mojej pracy, Judy. Ale ten rysunek powinien znaleźć się w muzeum, żeby ludzie mogli go oglądać. Załóż się, że nie ma drugiego takiego ogrodu, z labiryntem i tym wszystkim, w całym stanie Massachusetts, a może i w całym kraju! Ciekawe, ile z tego jeszcze pozostało?

-Jest labirynt, może jeszcze można tam wejść. - Judy zderzyła się z głową Holly, przysuwając się bliżej obrazka. - Babcia i dziadek mogą jeszcze coś pamiętać.

Holly ostrożnie wyjęła kartkę z albumu. Kiedy dzwonek babci wezwał ją na kolację, zabrała ją ze sobą. Zastanawiała się, co powie, kiedy spytają, skąd ma ten stary plan. Nie może

powiedzieć o prezencie Tamar, ale przecież nie skłamię mówiąc, że znalazła go między kartkami jakiejś starej książki. Babcia wiedziała, że czasem przegląda zgromadzone na polkach książki, a niektóre z nich były naprawdę bardzo stare.

-Chyba niewiele jeszcze w siebie zmieścicie - powiedział dziadek, kiedy skończył modlitwę.
- Widziałem jak się opychaliscie na zabawie.

-Zjedli wszystko - dodała babcia. - Można by pomyśleć, że te wszystkie dzieciaki od dawna poscily.

Byłam z was dumna - ciągnęła dalej. - Panna Sarah, pani Beach i pani Hawkins mówiły mi, jak bardzo podobają się im wasze kostiumy. Pani Dale nawet poprosiła mnie o wykroj stroju kota, Judy. Mówiła, że przygotowuje przedstawienie o kocie w butach na gwiazdke i że nigdy w życiu nie widziała tak świetnego stroju. Tak, to była świetna zabawa.

Jednak dla Holly balik był już przeszłością. Teraz najważniejszy był dzień dzisiejszy i plan, nad którym pracowała. Czekala aż dziadek skończy zupę i zacznie jeść chleb z galaretką. Dłużej już nie mogła wytrzymać. - Dziadku, czy zostały jeszcze jakieś ślady po dawnym ogrodzie? Wiem, że labirynt zdziczał zupełnie, ale reszta?

Zastanawiał się dłuższą chwilę. - No, coż, trudno powiedzieć. Rosną jeszcze stare bzy, teraz wielkie jak drzewa, ale nie są aż tak stare. Może parę debow. Nie wiem.

Holly czuła się rozczarowana. Jeżeli zupełnie nic nie pozostało ze starego ogrodu, to nikt nie będzie zainteresowany jego rekonstrukcją. Jedyną nadzieją pozostaje więc labirynt.

-Dziadku, a czy byłoby możliwe uporządkowanie labiryntu, odnalezienie dawnej drogi do środka?

-Labirynt! - babcia przyglądała się jej uważnie.

Dziadka jednak zainteresował ten pomysł. - To ciekawe, że właśnie teraz o tym mówisz, Holly. Nie dalej jak dziś rano przechodziłem obok niego. Zobaczyłem jakąś martwą galazkę i pociągnąłem ją, sam nie wiem dlaczego. Zdołałem wyrwać sklebioną masę, zupełnie jakbym nagle coś odkorkował. Wewnątrz zobaczyłem ścieżkę, wybrukowaną ścieżkę. Nie była aż tak zarosnięta, jak myślałem.

-Panna Elvery - wtraciła się babcia - zawsze powtarzała, że mamy się trzymać od niego z daleka.

-Panna Elvery umarła dawno temu, Mercy. Zresztą z daleka labirynt zawsze wyglądał groźnie. Nie był do niczego potrzebny. Jednak dzisiaj, no coż, wydawał mi się nieco inny. Miałem wrażenie, że gdyby go nieco przyciąć i uporządkować, to można by go znowu otworzyć.

Holly siegnęła pod stół plastikowa koperta spoczywająca na jej kolanach. - Dziadku, znalazłam coś, co przypomina mapę. Tak kiedyś wyglądał cały ogród. Znalazłam ją w starej książce. Wypadła spod karteek. Spójrz!

Wztał kartkę i przysunął ją do lampy. - Posłuchaj, Mercy. Pamiętasz tę książkę, którą dałaś pani Sarah, tę dużą, znaną w domu Winslowów, zanim go zburzyli, żeby wybudować nowy motel za rzeką? Były w niej takie dziwne obrazki przedstawiające ogrody i takie tam, różne rzeczy. To może z niej właśnie pochodzić.

Babcia wzięła kartkę, wbiła okulary na szczyt nosa i przyglądała się rysunkowi. - Rzeczywiście, Luther, to bardzo podobne.

-Chcę to skopiować do mojej pracy - oznajmiła Holly. - Dziadku, przecież takich labiryntów nie było wszędzie, prawda?

-Nie słyszałem o żadnym, nie licząc tego u nas.

-Więc byłoby ważne, pokazać ludziom coś takiego - upierała się Holly. - Ludzie z klubu działkowców, harcerze, goście przyjeżdżający na obchody urodzin miasta na pewno byłiby tym zainteresowani. Tu jest napisane, że ten plan zrobiono w roku 1683. Jest prawie tak stary jak nasze miasto, strasznie stary.

Dziadek przestał jęczać. Wyciągnął rękę i odebrał babci rysunek. Przysunął go sobie niemal do nosa, jakby chciał dokładnie obejrzyć każdy, nawet najmniejszy, szczegół.

-Zebranie rady miejskiej! - Babcia odezwała się pierwsza. - Luther, jeżeli zdołalibyśmy stworzyć labirynt, tak, jak mówi Holly, gdyby można go było pokazać...

Dziadek powoli skinął głową. - To dobry pomysł, Mercy. W poniedziałek z samego rana zobaczymy, co da się zrobić.

-Trzeba skreślić w prawo, żeby dojść do środka - powiedziała Judy.

Holly przestraszyła się bezmyślnością siostry. Teraz spytała, skąd to wie. Wydawało się jej, że babcia szykowała się do zadania tego pytania.

-Wiecie, skąd to wiem? - ciągnęła Judy, jeszcze bardziej pograżając się w oczach Holly. - Ponieważ na poduszce jest ten sam wzór. Poczekajcie.

Odeszła od stołu, popędziła w stronę drzwi i zniknęła w mroku.

-Chodzi o tę poduszkę, którą gdzieś znaleźliście? - spytał dziadek. Spojrzył pytająco na Holly, ale nie doczekał się odpowiedzi. Judy pośpiesznie wróciła, niemal przewracając się na schodach. W ręce trzymała poduszkę, którą podała babci siedzącej najbliżej. Palcem pokazała przebieg przerywanych linii. - Spójrz na rysunek, a sama się przekonasz! Widzisz,

to to samo. Jezeli za kazdym razem skrecimy w prawo, dojdziemy do srodka!

-Ona chyba ma racje! - Babcia przesuwala palce po wyszytym wzorze, wstala i przez ramie dziadka obejrzala rysunek. - Labirynty nie byly czymys powszechnym, Luther. Pani Holmes opowiadala nam o jednym takim, ktory widziala w Virginii podczas wycieczki klubu dzialkowcow. To bylo cos niezwyklego. Ludzie przyjezdza z daleka, zeby go obejrzec. Musieli placic za wstep wlascicielowi ogrodu, a on wykorzystywal te pieniadze na utrzymanie go, zatrudnial ogrodnikow do przycinania i tak dalej. Luther, to sie powinno spodobac radzie - zarabianie pieniedzy, szczegolnie podczas obchodow rocznicy. Wszyscy w miescie zastanawiaja sie, jak zgromadzic fundusze na te uroczystosci. Pan Correy chce uruchomic stara kuznie i przyjac kowala, ktory wykuje rozne pamiatki. Sama slyszalam, jak o tym mowil. Idz i sprawdz ten stary labirynt i jezeli uznasz, ze mozna go potraktowac jako atrakcje turystyczna, powiedz o tym panu Correyowi i panu Billowi. To da im dodatkowe argumenty na posiedzenie rady. Luther, w poniedzialek musisz zawiezc ten obrazek do panny Sarah. Ona na pewno nas poprze. Ja opowiem wszystko paniom Pigot i Holmes. Na pewno zdziwia sie slyszac, co mamy tu pod bokiem i nie beda juz musialy jezdzic do Virginii.

Holly znow byla zawiedziona. W koncu, to ona znalazla mape ogrodu, a wszyscy zdawali sie o tym zapomniec. Potem pomyslala o dalszej czesci planu. Powie o nim pani Finch i pani Dale. Crock porozmawia z harcerzami. Beda musieli sie postarac, sprawic, zeby jak najwiecej ludzi z miasteczka wzelo udzial w posiedzeniu rady.

Pomyslala, ze trudno bedzie jej zasnac tej nocy, tyle jeszcze musiala przemyslec. Bylo jednak inaczej. Gdy tylko znalazla sie pod koldra, zapadla w dziwny sen, taki, ktory pamietala po przebudzeniu, co nieczesto sie zdarza,

Byla w chatce Tamar. Czula sie, jak u siebie. Tamar tez tam byla, siedziala na wysokim krzesle przy stole. Nie patrzyla na Holly i nie odzywala sie do niej, jednak dziewczynka byla pewna, ze Tamar wie o jej obecności. To, co robila, pochlanialo ja calkowicie i nie wolno jej bylo przeszkadzac.

Lokcie Tamar spoczywaly na blacie stolu, dlonmi podtrzymywala brode, wpatrujac sie w lezace przed nia lustro. Nie bylo w nim jednak ani odbicia jej twarzy, ani otaczajacych ja przedmiotow. Powierzchnie zwierciadla okrywala srebrna chmura, ruszajaca sie i zmieniajaca ksztalty.

Holly czula sile woli Tamar, ktora chciala cos osiagnac. Dziewczynka tez spogladala na zamglone lustro, ale krecilo sie jej w glowie i nie mogla robic tego zbyt dlugo. Tamar natomiast siedziala nieruchomo, nie odwracajac wzroku, tak nieruchoma, ze wydawalo sie iz nie oddycha.

Chmura w zwierciadle nabierala ksztaltow. Przez moment Holly wydawalo sie, ze dostrzega w niej wyrazny zarys twarzy, ktora natychmiast zniknela. Tamar westchnela i oparla sie o krzeslo. Zamknela oczy. Holly pragnela podejsc do niej, lecz w tym sennym swiecie nie

potrafiła zrobić kroku. Ta twarz w lusterku Tamar. Czy to możliwe, aby była twarzą jej ojca?

Jak tatus mógł dostać się do domu Tamar? Choć Holly rozglądała się rozpaczliwie po pokoju, nigdzie go nie dostrzegła. Wówczas Tamar otworzyła oczy. Patrzyła wprost na Holly, ściągając na siebie jej wzrok. Dziewczynka widziała wargi wypowiadające jakieś słowa. Choć ich nie słyszała, dobrze wiedziała, co znaczą:

Przez wszystkie moce lądów i morz,

Jak mówię: niech to się stanie już.

Przez całą moc księżyca i słońca,

Niech wola ma spełni się do końca.

Potem jeszcze raz robiąc przerwy między słowami, jakby chciała wyryć te słowa w pamięci dziewczynki, powtórzyła: "Niech to się stanie!"

Tamar uniosła dłoń, poruszyła palcami w powietrzu, kreśląc znak, który przez moment rozjarzył się ogniem.

Holly usiadła na łóżku. Otaczały ją kompletne ciemności i tajemnicze odgłosy starego budynku, który każdej nocy, kiedy wszyscy już spali, dodawał sobie otuchy, ciesząc się, że nadal stoi, solidny i mocny.

Dziewczynka wyszeptwała ostatnie życzenie Tamar: "Niech to się stanie!" Nie miała najmniejszych wątpliwości, co do znaczenia tych słów. Przyjdzie jeszcze jeden telegram. No, może nie jutro czy w przyszłym tygodniu, a nawet miesiącu, ale na pewno przyjdzie. Tym razem będzie to dobry telegram. Wówczas ich własny mały świat znów się zmieni z mrocznego na słoneczny. Gdziekolwiek była teraz Tamar, użyła swych czarów dla tatusia. On wróci do domu!

Teraz ona, Holly, musi także zastosować czary dla Dimsdale. Nie miała mocy jak Tamar, a jedynie silną wolę i pomysłowość. Jednak to, czego pragnie, musi się spełnić!

W niedzielny poranek nie mogli obejrzeć labiryntu. Niedziela to dzień kościoła i Holly znów musiała poskromić swą niecierpliwość. Wiedziała też, że nie może podzielić się swym snem absolutnie z nikim, nawet z Judy. Czuli, że to mogłoby przerwać czary Tamar.

Po obiedzie dziadek wyglądał na niespokojnego. Nie zasiadł jak zwykle przy stole magazynów ogrodniczych.

Babcia nie wytrzymała i spytała: - Co cię gryzie, Luther? Wiercisz się, jakbyś szukał wczorajszego dnia.

-Wiem, że dziś jest niedziela, Mercy, ale chyba będę musiał rzucić okiem na ten labirynt. Nie, żeby pracować, tylko rzucić okiem. Sam nie wiem, co mnie napadło, ale po prostu muszę to zrobić.

Babcia nie od razu odpowiedziała. Wstała z krzesła, na którym siedziała, czytając "National Geographic".

-To dziwne, ale i mnie ciągle to chodzi po głowie. W porządku, chyba wszyscy się tam wybierzemy. Jutro mam zawieźć przyprawę ziołową dla pani Holmes. Może będę mogła jej coś powiedzieć i namówić ją, żeby tu przyjechała jeszcze przed zebraniem rady.

Wszyscy udali się wraz z dziadkiem do miejsca, gdzie znalazł wylot w ścianie labiryntu. Holly szukała kotów - strażników. Mimo że krzewy znacznie się rozrosły, była pewna, że gdzieś tam są. Nie bardzo wiedziała, jak zwrócić uwagę dziadka na ich ukryte kształty, ale miała nadzieję, że gdy je odnajdzie, razem postarają się przywrócić je do dawnej świetności.

Wejście było między tymi niewidocznymi jeszcze wartownikami. Widac było przez nie wyłożoną kamiennymi płytkami ścieżkę prowadząca w głąb zielonego tunelu, dostępniejsza, niż można by oczekiwać widząc zmierzwioną i przerosniętą ścianę zewnętrzną. Nie wyglądała na niebezpieczną i odpychającą. Dziadek wszedł do środka.

-Zobaczymy - rzucił przez ramię - jak daleko można wtedy dojść. Wygląda to lepiej niż z zewnątrz.

Wszedł w pierwszy zakręt. Ścieżka nadal nie wyglądała źle. Można by pomyśleć, że labirynt tylko czekał, aby tu przyszedli i zbadali go. Raz po raz babcia pochylała się, dotykając jakiegoś zmarzłej łodyżki lub podnosząc uschły liść.

-Tu była kiedyś regularna ściana lawendy, Luther, krzyknęła podekscytowana. - Jest też mieta i chyba tymianek! Te krzaki dobrze je chroniły. Rozmaryn, patrzcie, prawdziwy rozmaryn!

Mineli kolejny zakręt. Przy czwartym zobaczyli wyraźnie sylwetki kotów. Dziadek stanął jak wryty na ich widok.

-A co to takiego? Patrzcie wszyscy, zobaczcie, jak przycięto te krzewy. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego! - Nagle zamilkł na moment. - No, nie, pamiętasz te zdjęcia w "National Geographic", Mercy? Ten ogród gdzieś w Anglii, gdzie wszystkie krzaki powycinano na podobieństwo ptaków i innych zwierząt. Jutro - coraz bardziej się podniecał - sprowadzę tu pana Correya. Ciekawe, co powie, kiedy to zobaczy.

-Może są jeszcze inne, tylko bardziej zarosnięte i przez to na razie niewidoczne - zasugerował Crock. - Może trzeba je przyciąć na nowo.

-Jasne! - dziadek energicznie pokiwał głową. - Trzeba się będzie dobrze zastanowić, jak to najlepiej zrobić, żeby ich nie uszkodzić. Tak, to trzeba będzie zrobić naprawdę dobrze.

Oglądając krzaczaste figury babcia podtrzymywała okulary na nosie.

-Czegoś takiego - ogłosiła poważnie - z pewnością nie było w tym labiryncie w Wirginii. To jest o wiele lepsze. Luther, możesz sprowadzić tu pana Correya, ale musisz takżeściągnąć panią Holmes. Na pewno się zdziwi, że odtąd nie trzeba będzie jeździć aż do Wirginii, żeby zobaczyć takie cuda!

Dziadek nie mógł rozstać się z kotami, lecz Holly popędzała go dalej. Choć była pewna, że w środku nie będzie już żadnego domu, chciała zobaczyć, co tam zastanie.

Mineli jeszcze trzy zakrety i znaleźli się na polance. Mimo że porastały ją gęsto zwiedle rośliny, wyraźnie widac było zarysy uporządkowanego ogrodu Tamar. Był też stawek skuty lodem.

Babcia rzuciła się na rośliny, w podnieceniu nazywając je na podstawie uschłych łodyg i listków.

-Luther, to po prostu jeden wielki ogród zielony. Oczywiście, wielu z tych roślin nie da się już uratować, ale sam popatrz, co tu rosło przez te wszystkie lata. Trudno uwierzyć, że to w ogóle możliwe, gdybysmy nie byli pewni, że nikt się nimi tak długo nie zajmował. Teraz będzie mogła się nimi opiekować. To zupełnie niesamowite!

Holly poczuła, że ktoś łapie ją za rękę. Odwróciła głowę i zobaczyła szeroki uśmiech Judy. Crock trzymał bliźniaczkę za drugą rękę i także się uśmiechał. Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, Holly szepnęła: "Niech się stanie!"

Była teraz tak samo pewna, że Dimsdale zostanie uratowane, jak tego, że tatus do nich wróci. Przypomniła sobie pożegnanie Tamar:

-Bądźcie błogosławieni! - Wypowiedziała te słowa na głos, ale ani babcia, ani dziadek nie usłyszeli jej. Tylko Judy i Crock poważnie skinęli głowami. - Kłątwa została wreszcie zdjęta z Dimsdale.

Koniec

XV

Jak zrobić różane paciorki Tamar i inne cuda

Różane paciorki

Wybierz w pełni rozkwitłe paki róż o silnym zapachu; ciemnoczerwone są najlepsze. Wyrwij

plutki i wrzuc do mozdierza. Ugniec je na gesta paste. Uformuj paciorki z pasty i za pomoca igly naciagnij je na mocna nic. Mozesz tez schowac je do przewiewnej torebki i wykorzystac do wykladania szuflad z bielizna. Najpierw jednak dobrze je wysusz. Zapach bedzie sie dlugo utrzymywal.

Pomaranczowe dodatki do herbaty

Wez spora pomarancze o grubej skorce i natnij skorke na cwiartki. Obierz owoc. Oстрыm nozem zdrap biala, wewnetrzna czesc skorki tak dokladnie, jak potrafisz. Potem potnij ja na male kwadraty o boku okolo jednego centymetra. Wbij gozdzik w kazdy kwadracik. Wysusz. Przechowuj w zamknietym sloju lub puszce. Kiedy wrzucisz go do goracej herbaty, nabierze ona specjalnego smaku.

Liscie miety w cukrze

Zerwij liscie miety przed rozkwitnieciem kwiatow. Wybieraj listki sredniej wielkosc, a nie te duze z dolnej czesci lodygi ani te male z gornej. Umyj je i osusz na papierowym reczniku. Wez bialko z jednego jajka i lekko roztrzep, az sie spieni. Zanurzaj listki w pianie i obtocz w cukrze.

Rozloz arkusz folii aluminiowej i nastaw piekarnik na najnizsza temperature. Poloz liscie na folii i trzymaj w piekarniku az wyschna. Przechowuj w szczelnie zamknietej butelce lub sloju. Mozna je jesc jak cukierki albo dodac do goracej lub zimnej herbaty.

Aromatyczna kulka

Wybierz dojrzala pomarancze sredniej wielkosc. Za pomoca tasmy samoprzylepnej podziel ja na dwie polowki. Kup dwa pudelka gozdzikow. Zrob dziurki wykalaczka i wbijaj w nie gozdziki tak, zeby calkowicie zakryly skorke.

Zerwij tasme i na jej miejscu zawiaz wstazke, zeby mozna bylo zawiesic na niej kulke. Jezeli umiescisz ja w szafie, przez dlugi czas bedzie wydzielala przyjemny, korzenny zapach. Takie kulki czesto zawieszano w szafach z posciela.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/